PG 7399
.S9 M5
Copy 1

PG 7399
.S9 M5
Copy 1

DODATEK DO NUMERU
JUBILEUSZOWE
„DZIENNIKA CHICAGO

LIBRARY OF CONGRESS
0 002 725 922 4

Z DNIA 15-go GRUDNIA, 1915 ROKU

MISTRZ TWARDOWSKI

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Przez
Stanisława Szwajkarta

DODATEK DO NUMERU JUBILEUSZOWEGO
„DZIENNIKA CHICAGOSKIEGO"
Z DNIA 15-go GRUDNIA, 1915 ROKU

MISTRZ TWARDOWSKI

DRAMAT W 5-ciu AKTACH

PIERWSZA CZĘŚĆ TRYLOGII

PRZEZ

STANISŁAWA SZWAJKARTA

NAKŁADEM I DRUKIEM
SPOŁKI WYDAWNICTWA POLSKIEGO
1455-1457 WEST DIVISION ULICA
CHICAGO, ILLINOIS
COPYRIGHT 1915

PG7399
.S9M5

$0.50

©CLD 42682

DEC 20 1915
no. 1.

99-201212

DO CZYTELNIKA

Dramat niniejszy, tworzący pierwszą część wymarzonej trylogii, wykończony był w formie mniej więcej tu podanej, przed trzydziestu pięciu laty. Przed laty czterdziestu zrodziła się koncepcya trylogii.

Myślą przewodnią zrodzonej w fantazyi trylogii było, w pierwszej jej części przedstawić stan Polski u schyłku czasów Zygmuntowskich, stojącej nad brzegiem przepaści, widocznej dla niewielu wyższych współczesnych umysłów, takich jak Skarga. Druga część trylogii miała przedstawić staczanie się Polski do czyśca i tegoż jej czyśca dzieje. W trzeciej części przedstawić zamierzałem wymarzone zmartwychwstanie Ojczyzny.

Alegorycznym przedstawicielem mojej myśli przewodniej miał być znany w podaniach ludowych „Mistrz Twardowski", którego fantastyczna postać, zdaniem mojem, zbyt lekceważąco dotychczas była traktowaną przez naszych pisarzy (nie wyjmując największych, bo Mickiewicza i Kraszewskiego, Grozy i Szujskiego), a zasługiwała na wyidealizowanie dla celów poetycznych.

Ten to Twardowski w pierwszej części trylogii, — w niniejszym dramacie, — miał mi służyć do przedstawienia najszlachetniejszej cnoty polskiej, patryotyzmu, posuniętego do najostateczniejszej przesady: zasięgnięcia pomocy piekieł, skoro zawiodły inne środki ratowania Ojczyzny.

Dzięki przepięknemu podaniu ludowemu, tenże Twardowski w drugiej części trylogii miał mi stać się istotą przyglądającą się czyścowi Polski astralnemi oczyma, jaśniej od ludzkich spoglądającemi, a równocześnie osobiście czyściec przechodzącą; w trzeciej zaś części trylogii, otrzymawszy pozwolenie dokończenia przerwanej pielgrzymki ziemskiej, miał on powrócić na ziemię, by w sposób alegoryczny wystąpić jako zbawca Polski w chwili kulminacyjnej jej cierpień.

Przez lat trzydzieści nadaremnie karmiłem się nadzieją znalezienia czasu swobodnego do opracowania dwu ostatnich części trylogii, bez których i pierwszej ogłaszać nie chciałem. W chwilach nieco swobodniejszych powstało tylko sporo urywków innych i waryantów części pierwszej, leżących obecnie w tece, zapewne bezużytecznie.

Dziś u schyłku zapewne życia, muszę prawdopodobnie pozbyć się nadziei wykończenia zamierzonego dzieła, a niechcąc, by przynajmniej koncepcya jego marnie przepadła, zdecydowałem się ogłosić drukiem dramat w młodziutkim wieku napisany, pomimo jego usterek i nieudolności, które po większej części znam doskonale. Ofiaruję go w podarunku, na jaki mię stać, czytelnikom „Dziennika Chicagoskiego", którego jestem redaktorem, w dniu jego i mego redaktorstwa srebrnego jubileuszu. Dodać winienem, że przed laty pięciu, w dwudziestą rocznicę założenia „Dziennika Chicagoskiego", jako „Anonim" ogłosiłem w tem piśmie jedną scenę z tego dramatu, poprzedzoną obszernem wyjaśnieniem. Wydawnictwo „Dziennika Chicagoskiego" daje kosztowny swój nakład. Wspaniałe ilustracye są pomysłu i wykonania artysty-malazra, p. Michała Krausa

❖ ❖ ❖

Wprowadzając w akcyę zastępy niebieskie i piekielne (także w drugiej części trylogii czyścowe, o czem wspominam tylko mimochodem), pragnę uprzedzić zarzuty, jakie mogłyby mię spotkać, oświadczeniem, że korzystałem w znacznej wprawdzie mierze z prawa, jakie mojem zdaniem nadaje każdemu piszącemu „licentia poetica", ale zbyt go chyba nie nadużywałem.

Zgodnie z nauką pisarzy Kościoła, wyobrażam sobie dziewięć chórów anielskich, podzielonych na trzy hierarchie. Pierwsza hierarchia obejmuje: sześcioskrzydłych Serafinów, wielookich Cherubinów i Trony (u Skargi Stołecznicy); druga: Panowania (Państwa, Dominationes), Mocy (Siły, Virtutes) i Mocarstwa (Potestates); trzecia zaś: Księstwa (Principatus), Archaniołów i Aniołów. Z tych Pismo św. imiennie wspomina tylko Michała (w wojnie z Lucyferem), Gabryela (posła do Najśw. Maryi Panny) i Rafała (posła do Tobiasza i innych). Otóż pozwoliłem sobie tych trzech, właściwie Archaniołów, nazwać Arcyduchami i uczynić ich przywódcami trzech hierarchij.

Wprowadziłem nadto (głównie dla drugiej części trylogii) trzy sfery lub kręgi w Niebie już mieszkających dusz ludzkich, a mianowicie: Świętych (a między nimi Orędowników, Pośredników, Patronów miast, krajów, ludzi, rzemiosł, zawodów, i t. p.); Błogosławionych (służących do wzorowania się na nich) i Oczyszczonych (t. j. tych, którzy po przebytym czyścu do nieba się dostają). Są oczywiście, zwłaszcza między pierwszymi z nich: Męczennicy i Wyznawcy i Panny, i t. p. Dokładniejszy opis tego wszystkiego przeznaczyłem dla części drugiej trylogii, ale jest o tem wzmianka i w pierwszej.

Bardzo już dowolnie postąpiłem z przedstawieniem hierarchii piekielnej. Rozróżniam tu także trzy hierarchie, a mianowicie: Szatanów, Czartów i Dyabłów, a jako ich naczelników przedstawiam wspomnianych w Piśmie świętem Lucyfera, Lewiatana i Belzebuba.

Szatani — to wojsko piekielne, urzędnicy niejako, ministrowie; przeznaczeni do wojen pozaświatowych, a kierujący także wszystkimi planami, wszystkiemi wielkiemi dziełami piekła.

Czarci przeznaczeni do robót i dręczenia dusz w piekle.

Dyabli przeznaczeni do brojenia na ziemi, do kuszenia ludzi i przybierania na siebie postaci zmysłowych: ludzi, zwierząt, straszydeł, zjaw, i t. p. Rekrutują się zarówno z pierwszej hierarchii, jak i z drugiej, ale po części też i z dusz ludzkich w piekle przeobrażonych jużto w szatanów, już też w czartów. Dowolność tę, zwłaszcza ostatnią, niechaj mi wybaczą zbyt skrupulatni tłómacze prawd teologicznych; fantazya poetycka musi nieraz pewne skrupuły łamać

❖ ❖ ❖

Kilka słów powyższych objaśnienia i usprawiedliwienia uważałem za niezbędne, ażebyś mię zacny Czytelniku, zrozumiał tak, jak zrozumianym być pragnę.

CHICAGO, w lipcu, 1915 r. *AUTOR.*

Bywa zwyczajem dzieło swe dedykować komuś szczególnie umiłowanemu lub czczonemu. Gdyby ta trylogia cała była wykończoną i gdyby na to zasługiwała, to dedykacyę moją zamknąłbym w dwu słowach:

POLSCE — TUŁACZ.

INWOKACYA

W Orędowników krąg niebios przyjęty
Wielki Patronie, Stanisławie Święty,
Ty, który niegdyś, woli Bożej zwiastun,
Nieustraszony praw Chrystusa piastun,
Za mężną Jego Zakonu obronę
W nagrodzie wziąłeś męczeńską koronę —
Któryś u Boga już tu tyle znaczył,
Iż dla Twych modłów wskrzeszać zmarłe raczył,
I który dzisiaj między Patronami
Masz prawo wstawiać się znowu za nami,
Tak, że nam z tego nadzieja wypływa
Iż kiedyś przyjdzie znów chwila szczęśliwa,
W której Przedwieczny karę naszą skróci
I dla Twych modłów Ojczyznę nam wróci; —
Do Ciebie, także mój święty Patronie
Zanoszę prośbę: Stań po mojej stronie,
Zastąp chwilami mi Stróża Anioła
Ilekroć, jako obecnie, powoła
Natchnienie wyższe mię do wyrażania
Mych widzeń słowem żywem: — do pisania...
Więc z Twą pomocą niech najprzód opieję
Ojczyzny naszej najsmutniejsze dzieje:
Epokę, w której nie dotrwała próby...
A potem karę — więc epokę zguby,
W której czyścową przechodziła mękę...
Potem, Patronie, prowadź moją rękę
Na opisanie tryumfów epoki,
Którą gotują nam Pańskie wyroki,
I którą dzisiaj właśnie mi jest dano
Widzieć w przyszłości cudowną, świetlaną...
Okiem cielesnem ja jej nie zobaczę,
Czuciem mem ziemskiem dziś nad Polską płaczę;
Lecz z tego spływa mi w serce otucha,
Co widzieć mi jest dane okiem ducha:
Więc to co widzę mém okiem duchowem,
Wspomóż, Patronie, niech opiszę słowem...

(Scena przedstawia albo przedsień wspaniałego gmachu, albo stoczystość góry, stosownie do urządzenia maszynisty, lub zasobów teatru. W pierwszym wypadku po obu stronach sceny urządzone są kamienne schody, prowadzące ku górnemu piętru, coraz to zbliżające się ku sobie, póki w głębi nie połączą się zupełnie. Są one bez poręczy, tylko w trzech miejscach niskie słupy kamienne je oddzielają. Schody w głębi gubią się w górze. Środek sceny zapełniony posągami, przedstawiającymi grupy z historyi biblijnej. W drugim zaś wypadku miejsce schodów zastępują terasy odpowiednio urządzone: szczyt góry gubi się w obłokach. Każdy z trzech chórów składa się z 12 osób, t. j. 9 statystów i trzech mowców, cokolwiek wysuniętych. Chór środkowy zajmuje miejsce najwyższe: 9 statystów ustawionych jest w wydłużony łuk, trzech mowców stoi przed nimi. Chór prawy i lewy w trzech różnych znajduje się wysokościach; każdy z oddziałów złożony z trzech ludzi i mowcy wysuniętego naprzód i ku środkowi sceny. Chór prawy rozumie się po prawej stronie chóru środkowego (nie publiczności). Stroje chórów są starożytne greckie, rzymskie lub też żydowskie, a barwy szat każdego z chórów mogą być odmienne, ale bardzo jasne. Mowca może się wyróżniać od statystów, jakimś drobnym szczegółem stroju, np. dyademem złotym lub berłem w ręku.

Mowca 1. chóru prawego stoi najniżej, drugi wyżej, trzeci najwyżej. Tak samo w lewym chórze. Mowca 1. chóru środkowego stoi od strony chóru prawego.

„Chór prawy I." oznacza, iż ma przemawiać pierwszy mowca i t. p. Nazwisko w nawiasie oznacza: w chórze prawym Michał mowcę 1., w chórze lewym Lucifer mowcę 1.

Jeżeli przy wymienieniu chóru niema ani liczby, ani nazwiska w nawiasie, natenczas śpiewają lub przemawiają razem i równocześnie wszyscy członkowie chóru.

Na przedstawicieli osób należących do chórów, należy obrać aktorów mężczyzn. Mają to być młodzieńcy: najdorodniejsi i najmłodsi w chórze prawym, najpoważniejsi i najstarsi w chórze środkowym.)

CHÓR ŚRODKOWY.

Sława! Sława! Sława!
Święty, Niepojęty
Jest Pan Bóg Zastępów!
Kornie upadajmy,
Dzięki Mu składajmy
Za Jego wyroki.
Chociaż niepojęte,
Przecież zawsze święte
Są Jego zamiary.
Na twarz upadajmy
Dzięki Mu składajmy,
Sława! Sława! Sława!

CHÓR PRAWY 1.

Wieloskrzydłe Serafiny,
Wielookie Cherubiny
I potężne Niebios Trony
Sławę Jego opiewają,
Bez ustanku rozgłaszają
Imię Jego na wsze strony.

CHÓR LEWY 1.

Arcyduch Michał wszystkim przewodniczy,
Jemu posłuszni wszyscy Stołecznicy;
On wykonawcą jest wyroków Pana
Jemu nad niebem i piekłem moc dana.

CHÓR ŚRODKOWY.

Sława! Sława! Sława!
Święty, Niepojęty
Jest Pan Bóg Zastępów!

CHÓR PRAWY 2.

Dominacye i Mocy
I Mocarstwa, w dzień i w nocy
Łączą z nimi swoje głosy;
Wonnym skrzydeł swych powiewem
I niebiańskim swoim śpiewem
Napełniają wsze niebiosy.

CHÓR LEWY 2.

Arcyduch Gabryel im wszystkim przoduje,
On tłómacz boży wyroki zwiastuje
Chórom Anielskim, i jest Stróżem Słowa,
Które wydaje Anielska Królowa.

CHÓR ŚRODKOWY.

Sława! Sława! Sława!
Święty, Niepojęty
Jest Pan Bóg Zastępów!

CHÓR PRAWY 3.

Księstwa i Archaniołowie
I skrzydlaci Aniołowie
Trójdźwięk nieb uzupełniają
I na świat znikomy niosą
I tą łaski niebios rosą
Miliony ziem skrapiają.

CHÓR LEWY 3.

Arcyduch Rafał jest ich przewodnikiem
I tym dla światów ziemskich pośrednikiem;
Jeśli Bóg wolę swą przesyłać raczy,
On wolę świętą tę ludziom tłómaczy.

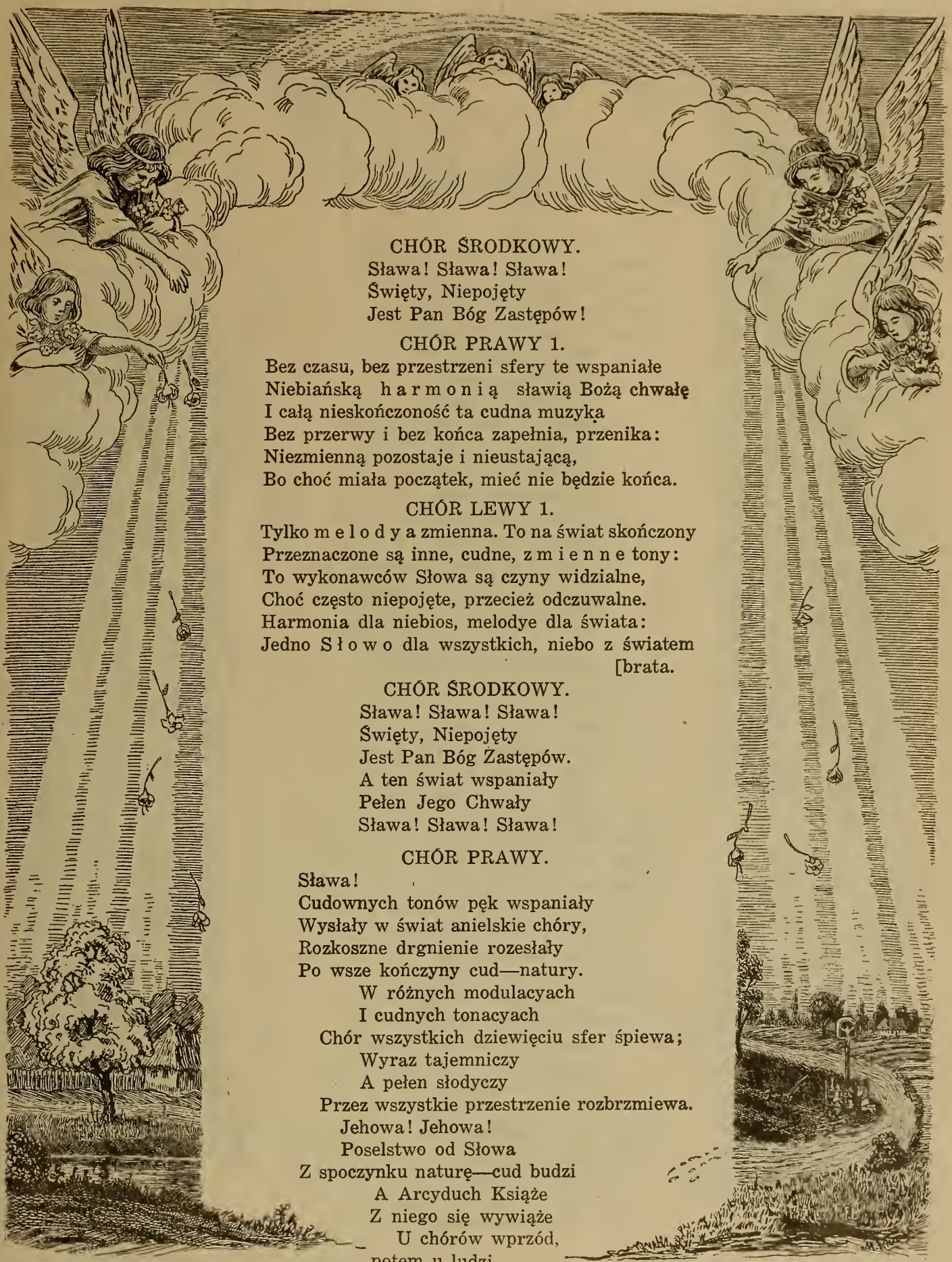

CHÓR ŚRODKOWY.

Sława! Sława! Sława!
Święty, Niepojęty
Jest Pan Bóg Zastępów!

CHÓR PRAWY 1.

Bez czasu, bez przestrzeni sfery te wspaniałe
Niebiańską h a r m o n i ą sławią Bożą chwałę
I całą nieskończoność ta cudna muzyka
Bez przerwy i bez końca zapełnia, przenika:
Niezmienną pozostaje i nieustającą,
Bo choć miała początek, mieć nie będzie końca.

CHÓR LEWY 1.

Tylko m e l o d y a zmienna. To na świat skończony
Przeznaczone są inne, cudne, z m i e n n e tony:
To wykonawców Słowa są czyny widzialne,
Choć często niepojęte, przecież odczuwalne.
Harmonia dla niebios, melodye dla świata:
Jedno S ł o w o dla wszystkich, niebo z światem
[brata.

CHÓR ŚRODKOWY.

Sława! Sława! Sława!
Święty, Niepojęty
Jest Pan Bóg Zastępów.
A ten świat wspaniały
Pełen Jego Chwały
Sława! Sława! Sława!

CHÓR PRAWY.

Sława!
Cudownych tonów pęk wspaniały
Wysłały w świat anielskie chóry,
Rozkoszne drgnienie rozesłały
Po wsze kończyny cud—natury.
W różnych modulacyach
I cudnych tonacyach
Chór wszystkich dziewięciu sfer śpiewa;
Wyraz tajemniczy
A pełen słodyczy
Przez wszystkie przestrzenie rozbrzmiewa.
Jehowa! Jehowa!
Poselstwo od Słowa
Z spoczynku naturę—cud budzi
A Arcyduch Książe
Z niego się wywiąże
U chórów wprzód,
potem u ludzi...

CHÓR LEWY. *(Antistrophe).*

Sława!
Jak świat głęboki i szeroki
Jestestwa wszystkie na kolana!
Głoszone będą nieb wyroki
I wola Słowa ogłaszana.
Czy karę za grzechy,
Czy słowo pociechy
Arcyduch dziś wniesie na światy?
Czy łaski to Boże?
Czy sądy to może?
A może żądania objaty,
By za przewinienia
Dzisiaj przebaczenia
U Pana Zastępów przebłagać:
Przyjmijmy w pokorze
Wyroki te Boże,
Czy cieszyć nas zechce, czy smagać.

CHÓR ŚRODKOWY 1.

Leci poseł srebrnopióry,
Mija wsze Aniołów chóry,
Mija nieba, mija chmury,
Mija światy cud — natury,
Mija wszystkie ziemi kraje,
I—u wrót czeluści staje.
Na otchłanie pada lęk...
Przeraźliwy zgrzyt i jęk;
Biada! Biada! Biada nam!
Miecz ognisty dotknął bram —
Brama państwa Lucyfera,
Brama piekieł się rozwiera.
I z czeluści się wyrywa
Straszny Lewiatana ryk,
Z wszystkich głębin się dobywa
Potępieńców zgrzyt, jęk, syk.
Na skinienie milknie wrzawa,
Przed Aniołem — Szatan stawa.
Poseł Boży doń wysłany,
By oznajmił wyrok święty,
Który wydał Pan nad Pany
Niezbadany, niepojęty...
(Do prawego i lewego chóru)
Wy rozmowy tej słuchajcie,
Co słyszycie, powiadajcie.

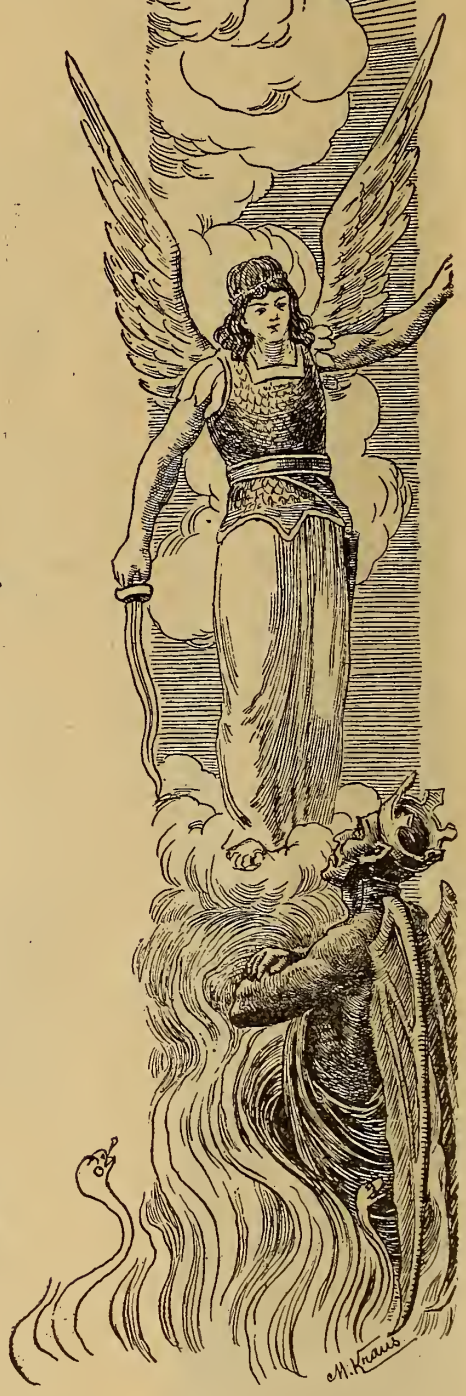

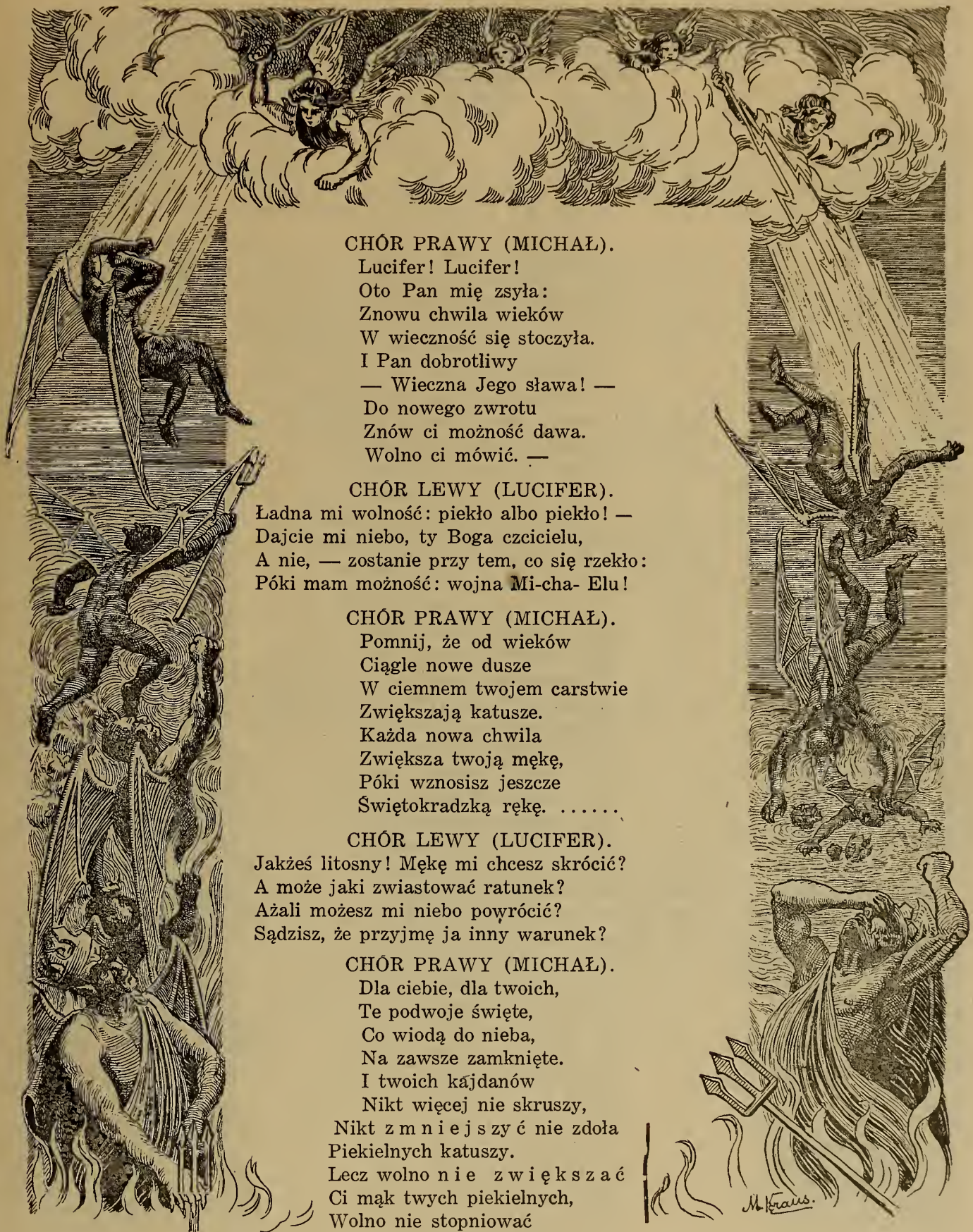

CHÓR PRAWY (MICHAŁ).
Lucifer! Lucifer!
Oto Pan mię zsyła:
Znowu chwila wieków
W wieczność się stoczyła.
I Pan dobrotliwy
— Wieczna Jego sława! —
Do nowego zwrotu
Znów ci możność dawa.
Wolno ci mówić. —

CHÓR LEWY (LUCIFER).
Ładna mi wolność: piekło albo piekło! —
Dajcie mi niebo, ty Boga czcicielu,
A nie, — zostanie przy tem, co się rzekło:
Póki mam możność: wojna Mi-cha- Elu!

CHÓR PRAWY (MICHAŁ).
Pomnij, że od wieków
Ciągle nowe dusze
W ciemnem twojem carstwie
Zwiększają katusze.
Każda nowa chwila
Zwiększa twoją mękę,
Póki wznosisz jeszcze
Świętokradzką rękę. .....

CHÓR LEWY (LUCIFER).
Jakżeś litosny! Mękę mi chcesz skrócić?
A może jaki zwiastować ratunek?
Ażali możesz mi niebo powrócić?
Sądzisz, że przyjmę ja inny warunek?

CHÓR PRAWY (MICHAŁ).
Dla ciebie, dla twoich,
Te podwoje święte,
Co wiodą do nieba,
Na zawsze zamknięte.
I twoich kajdanów
Nikt więcej nie skruszy,
Nikt z m n i e j s z y ć nie zdoła
Piekielnych katuszy.
Lecz wolno n i e z w i ę k s z a ć
Ci mąk twych piekielnych,
Wolno nie stopniować
Cierpień nieśmiertelnych,
Jeśli nieśmiertelni
Wobec swej niemocy
Walki zaprzestaną
W twem królestwie nocy.

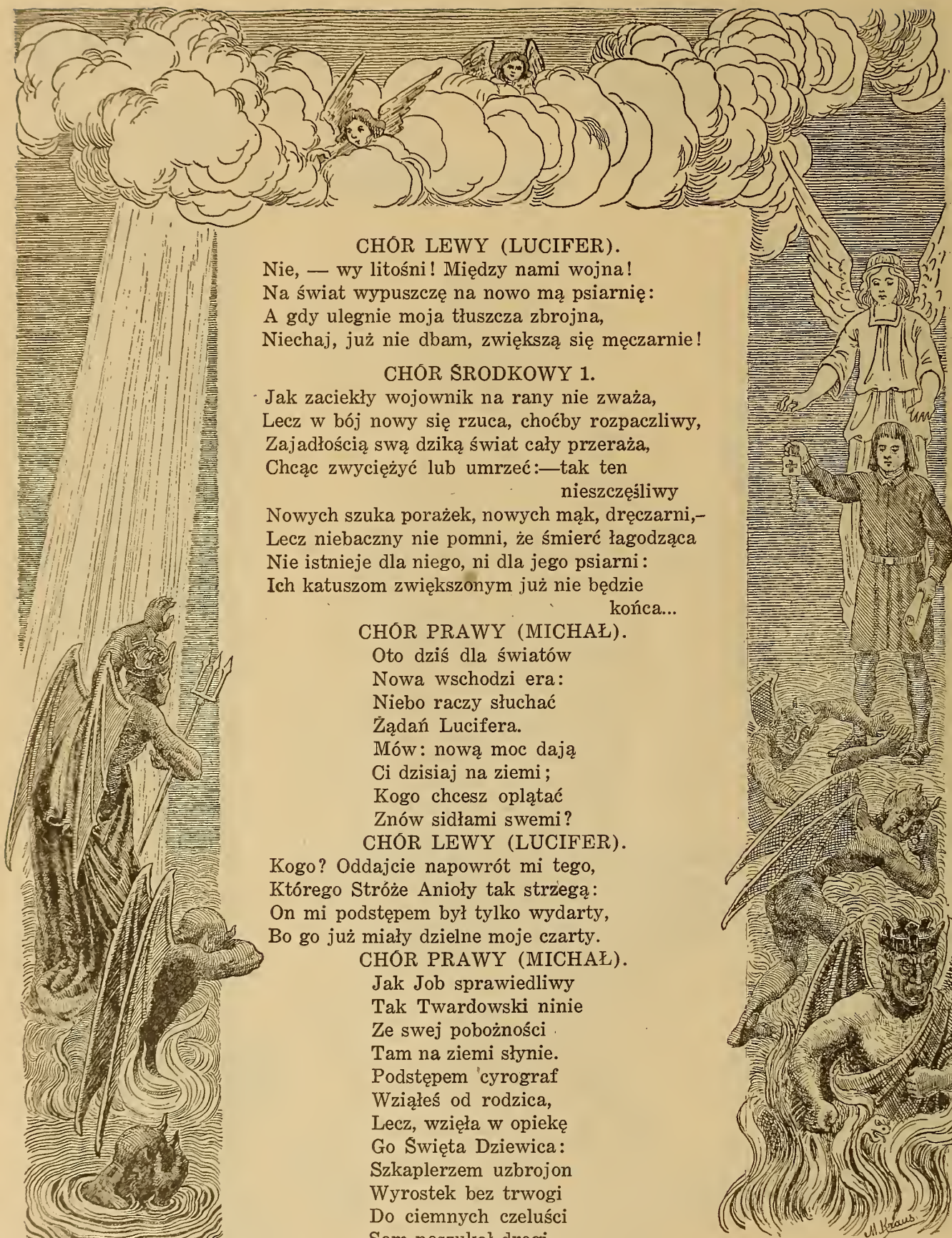

CHÓR LEWY (LUCIFER).

Nie, — wy litośni! Między nami wojna!
Na świat wypuszczę na nowo mą psiarnię:
A gdy ulegnie moja tłuszcza zbrojna,
Niechaj, już nie dbam, zwiększą się męczarnie!

CHÓR ŚRODKOWY 1.

Jak zaciekły wojownik na rany nie zważa,
Lecz w bój nowy się rzuca, choćby rozpaczliwy,
Zajadłością swą dziką świat cały przeraża,
Chcąc zwyciężyć lub umrzeć:—tak ten nieszczęśliwy
Nowych szuka porażek, nowych mąk, dręczarni,—
Lecz niebaczny nie pomni, że śmierć łagodząca
Nie istnieje dla niego, ni dla jego psiarni:
Ich katuszom zwiększonym już nie będzie końca...

CHÓR PRAWY (MICHAŁ).

Oto dziś dla światów
Nowa wschodzi era:
Niebo raczy słuchać
Żądań Lucifera.
Mów: nową moc dają
Ci dzisiaj na ziemi;
Kogo chcesz oplątać
Znów sidłami swemi?

CHÓR LEWY (LUCIFER).

Kogo? Oddajcie napowrót mi tego,
Którego Stróże Anioły tak strzegą:
On mi podstępem był tylko wydarty,
Bo go już miały dzielne moje czarty.

CHÓR PRAWY (MICHAŁ).

Jak Job sprawiedliwy
Tak Twardowski ninie
Ze swej pobożności
Tam na ziemi słynie.
Podstępem cyrograf
Wziąłeś od rodzica,
Lecz, wzięła w opiekę
Go Święta Dziewica:
Szkaplerzem uzbrojon
Wyrostek bez trwogi
Do ciemnych czeluści
Sam poszukał drogi,
I zapis odebrał
I podstęp zniweczył
I piekło zwyciężył
I ojca wyleczył.

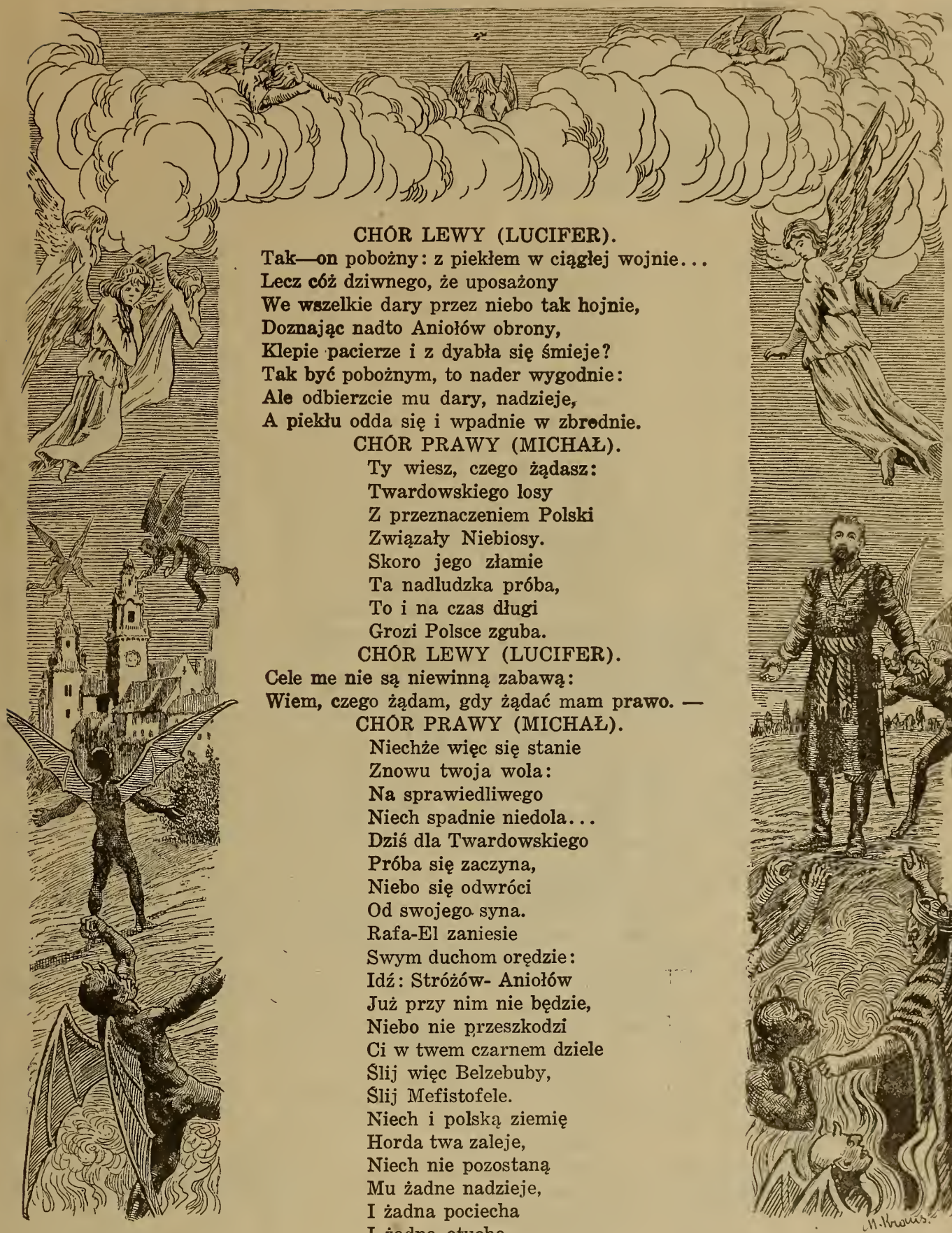

CHÓR LEWY (LUCIFER).

Tak—on pobożny: z piekłem w ciągłej wojnie...
Lecz cóż dziwnego, że uposażony
We wszelkie dary przez niebo tak hojnie,
Doznając nadto Aniołów obrony,
Klepie pacierze i z dyabła się śmieje?
Tak być pobożnym, to nader wygodnie:
Ale odbierzcie mu dary, nadzieje,
A piekłu odda się i wpadnie w zbrodnie.

CHÓR PRAWY (MICHAŁ).

Ty wiesz, czego żądasz:
Twardowskiego losy
Z przeznaczeniem Polski
Związały Niebiosy.
Skoro jego złamie
Ta nadludzka próba,
To i na czas długi
Grozi Polsce zguba.

CHÓR LEWY (LUCIFER).

Cele me nie są niewinną zabawą:
Wiem, czego żądam, gdy żądać mam prawo. —

CHÓR PRAWY (MICHAŁ).

Niechże więc się stanie
Znowu twoja wola:
Na sprawiedliwego
Niech spadnie niedola...
Dziś dla Twardowskiego
Próba się zaczyna,
Niebo się odwróci
Od swojego syna.
Rafa-El zaniesie
Swym duchom orędzie:
Idź: Stróżów- Aniołów
Już przy nim nie będzie,
Niebo nie przeszkodzi
Ci w twem czarnem dziele
Ślij więc Belzebuby,
Ślij Mefistofele.
Niech i polską ziemię
Horda twa zaleje,
Niech nie pozostaną
Mu żadne nadzieje,
I żadna pociecha
I żadna otucha
I żadna podpora
Dla ciała, dla ducha.
Wolno ci też będzie
Do twojej kałuży

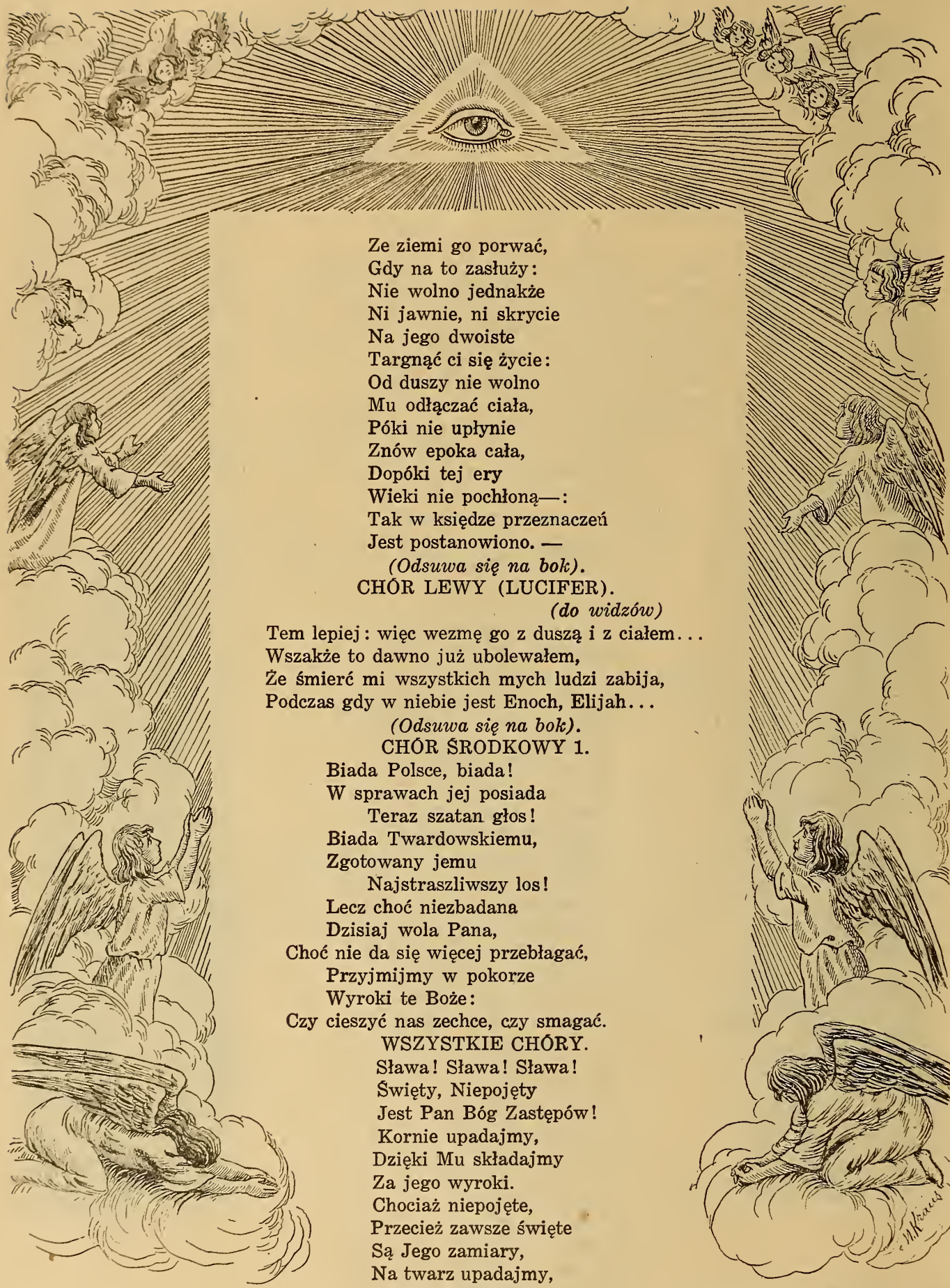

Ze ziemi go porwać,
Gdy na to zasłuży:
Nie wolno jednakże
Ni jawnie, ni skrycie
Na jego dwoiste
Targnąć ci się życie:
Od duszy nie wolno
Mu odłączać ciała,
Póki nie upłynie
Znów epoka cała,
Dopóki tej ery
Wieki nie pochłoną—:
Tak w księdze przeznaczeń
Jest postanowiono. —
(Odsuwa się na bok).

CHÓR LEWY (LUCIFER).
(do widzów)

Tem lepiej: więc wezmę go z duszą i z ciałem...
Wszakże to dawno już ubolewałem,
Że śmierć mi wszystkich mych ludzi zabija,
Podczas gdy w niebie jest Enoch, Elijah...
(Odsuwa się na bok).

CHÓR ŚRODKOWY 1.

Biada Polsce, biada!
W sprawach jej posiada
Teraz szatan głos!
Biada Twardowskiemu,
Zgotowany jemu
Najstraszliwszy los!
Lecz choć niezbadana
Dzisiaj wola Pana,
Choć nie da się więcej przebłagać,
Przyjmijmy w pokorze
Wyroki te Boże:
Czy cieszyć nas zechce, czy smagać.

WSZYSTKIE CHÓRY.

Sława! Sława! Sława!
Święty, Niepojęty
Jest Pan Bóg Zastępów!
Kornie upadajmy,
Dzięki Mu składajmy
Za jego wyroki.
Chociaż niepojęte,
Przecież zawsze święte
Są Jego zamiary,
Na twarz upadajmy,
Dzięki Mu składajmy:
Sława! Sława! Sława!

Koniec Prologu

OSOBY DRAMATU

PERSONAL LUDZKI:

SZCZĘSNY TWARDOWSKI, mistrz Akademii Krakowskiej, w pierwszym akcie liczy lat 34, w następnych lat 40.

FAUST, czarnoksiężnik niemiecki.

MACIEJ GRABOWIECKI, komornik króla Zygmunta Augusta, lat 70.

JÓZEF RYLSKI,
JAN BOROWSKI, } *Dworzanie królewscy.*

JAN MROWIŃSKI, burmistrz Kazimierza.

SZEŚCIU RAJCÓW kazimierskich.

JERZY OPALIŃSKI, przyjaciel Twardowskiego.

HERBURT,
DOWMUNT,
ŻELIGA,
STAROWIEJSKI,
STRAŃSKI,
OCIESKI,
MNISZECH,
RÓŻANOWSKI,
RACIBORSKI, } *szlachta.*

FERNANDO LECCI, Włoch, kuzyn Stelli.

KALINKA, ekonom Herburta.

MACIEK, chłop.

MATEUSZ, sługa Herburta.

WŁOŚCIANIN, ŻEBRAK, SKĄPIEC, GOŚCIE, SŁUŻBA HERBURTA, PACHOŁKOWIE.

MATKA TWARDOWSKIEGO, sędziwa niewiasta, wieśniaczka.

PANI BERTUCCI, Włoszka z fraucymeru królowej Bony.

STELLA, jej córka, później żona Twardowskiego.

HANNA, siostra Herburta.

MARTA, piastunka Hanny.

KOBIETA Z DZIECKIEM.

DZIEWCZYNA.

MOCY PIEKIELNE:

CZARNY KSIĄŻĘ, szatan wysłany specyalnie do Polski, uosobienie zdrady, z Efialtesa w piekle przeobrażony w szatana. Występuje wedle potrzeby w postaci dziewicy ujmującej, choć demonicznej lub w postaci męskiej. Jako dowódzca mocy piekielnych pojawia się w ubraniu męskiem, zgrabnem, z węgierska skrojonem. Włosy czarne, kobiece, zwykle rozpuszczone; w nich mała złota korona, ozdobiona rubinami o pięciu liściach. W ręku trzyma małe złote berło.

BŁĘDNY OGNIK, pierwszy adjutant Czarnego Księcia. Postać młodego mężczyzny, odzież fantastyczna z aksamitu ciemno-karmazynowego; na głowie kołpaczek z głowy czarnego wilka z oczami z karbunkułów; w ręku zamiast berła, mała pochodnia, zwykle płonąca.

SIEDMIU CZARTÓW I CZARCIC, zwanych także KADUKAMI, uosobienie siedmiu grzechów głównych: PYSZKA (pycha), MOKOSZ (łakomstwo), ZIEWONIA (nieczystość), ZAZDRA (zazdrość), KRODE (obżarstwo). JODUT (gniew), FLINS (lenistwo). Jako przywódcy lub naczelnicy legionów, mają zbroje, hełmy, buławy, w sposób fantastyczny przedstawiające ich różne przeznaczenie. Pyszka ma na hełmie pióra pawie, a tarcz z ók pawich złożoną. Zazdra ma buławę w formie pięciozęba.

PORUCZNICY Błędnego Ognika: BORUTA, POŚWIST, MARCHUŁT, MARNA i POPIEL, dyabli powietrza.

MEFISTOFEL, dyabeł niemiecki.

SKIERKA, dyabełek polski.

DYABLI i DYABLICE, pułkownicy i podpułkownicy Kaduków.

BIESI, tworzą wojsko szeregowe.

CZERŃ, służbę, pachołków, przedstawiają różne fantastyczne postacie, zwane RARACHAMI, WCIORNASTKAMI i MATOŁKAMI.

Nie z piekła pochodzą, ale na ziemi przez szatanów utworzone są: STRZYGI, STRZYGONIE, LATAWCE, UPIORY, MARY, WIDMA, LICHA, i t. p.

Rzecz dzieje się w Krakowie i okolicy, w pierwszym akcie w roku 1565, a w następnych w roku 1571.

UWAGA

PRZEDSTAWIENIE niniejszego dramatu wraz z prologiem i epilogiem, dla oszczędzenia zbytecznego znużenia i publiczności i aktorom, wyobrażam sobie w dwu częściach. Pierwszą część, obejmującą prolog, dwa pierwsze akty i pierwszą odsłonę aktu trzeciego, możnaby przedstawić popołudniu od godziny wpół do trzeciej do piątej, a drugą, od drugiej odsłony aktu trzeciego do końca, wieczorem od godziny ósmej do wpół do jedenastej.

AUTOR.

AKT pierwszy

(Komnata u Twardowskiego w Krakowie. W głębi wielkie okna, otwarte, przez które widok na ulicę. Od czasu do czasu widać przez okna przechodniów różnych. Drzwi główne z prawej strony; do innych pokojów z lewej. Sprzęty wytworne XVI wieku.)

Scena pierwsza.

OPALIŃSKI *przechadza się po pokoju z* JANEM MROWIŃSKIM. *Na krzesłach siedzi 6* RAJCÓW *i półgłosem rozmawiają.*

MROWIŃSKI.

Długo zabawia się tam pan Twardowski
I może lepiej przyjść później, niż czekać.

OPALIŃSKI.

Nie śmiem Waszmościów zatrzymywać, chociaż
Lada momentu nadejdzie z pewnością.
Mocno się dziwię, że go jeszcze niema:
Rzecz ważna pewnie go tam zatrzymała.

MROWIŃSKI.

(mówi zawsze rubasznie, ale nie komicznie).

Poczekam jeszcze, *(p. k. m.)* Powiedz mi też [Waszmość,
Ki dyabeł siedzi w tym dziwnym człowieku?
Toć młokos prawie, a zawstydza starych!
Mówią, że nigdy nie było człowieka,
Któryby nauk tyle mógł posiadać; —
Rycerz — ba szukać! — Toć to w pięty poszła
Niemcom i Włochom nauczka od niego;
A przytem poczciw, jak nie znam drugiego.

OPALIŃSKI.

(zawsze trochę przesadnie, ale tak, aby to nie przechodziło w śmieszność).

I jakże pilnie o wszystkiem pamięta,
Co kmiotków jego, wsi, miasta dotyczy, —
Opatrzną ręką tam zawsze posili,
Gdzie jest największa potrzeba i nędza,
I dobrodziejem jest takim ludzkości,
Jako największym nam będzie uczonym:

Drugi Kopernik w nim wcześnie zakwita, —
Rzekłbym, że przejdzie nawet Kopernika.
Skąd jemu wzięła się taka nauka,
Skąd wielkość taka, której cząstka mała
Drugiemu starczy choć na całe życie,
Bóg raczy wiedzieć: to już łaska nieba.

MROWIŃSKI.

A przecież wiedzą, że *natus obscure.*

OPALIŃSKI.

Z tem się nie kryje. Ojciec, gdy umierał,
Otwarcie wyznał, że nieboszczki żony
On synem nie był, lecz nie chciał wyjawić
Nazwiska matki — powiedział mu tylko,
Że synem jego nietylko z adopcyi,
Lecz też z natury był. Zresztą, u niego,
Co sławą przeszedł już w tak młodym wieku
Największych ludzi dotychczas żyjących,
Nie znaczy wiele, że *obscure natus.*
Ja go podziwiam.

MROWIŃSKI.

I ja także, pewnie,
Lecz wielu tego jemu nie wybaczy.

OPALIŃSKI.

Ci, co z *invidią* na tę sławę patrzą.

MROWIŃSKI.

Jednego żal mi; a to, że z tą Włoszką
Chce się ożenić. Ona tutaj znana
Jak cały starej królowej fraucymer,
Że dużo różni się od naszych Polek.

OPALIŃSKI.

O ile znam ją, także od krajanek:
Wszak nie jest lekką i nie jest zalotną,
Ma silną wolę i nie narzucała
Się Twardowskiemu, lecz owszem, kazała
Lat pięć poczekać, czyli się nie zmieni.

MROWIŃSKI.

Przez pięć lat chciała jeszcze użyć świata:
Wszak ją odwiedzał ciągle Włoch ten, Lecci.

OPALIŃSKI.

To brat cioteczny.

MROWIŃSKI.

Ba, ba! brat cioteczny!

OPALIŃSKI.

Pod okiem matki zawsze to się dzieje.

MROWIŃSKI.

Daj Waćpan pokój. Matka jej jest Włoszką,
Ja zaś nie wierzę Włoszkom nawet starym,
I mam przyczyny po temu dostatnie.
Szkoda nam, szkoda Szczęsnego, powtarzam.

Scena druga.

CIŻ SAMI. *Wchodzi* PACHOŁEK *Twardowskiego z prawej; w chwilę potem* MACIEJ GRABOWIECKI, *za którym* RYLSKI i BOROWSKI *niosą złoty łańcuch na bogato ozdobionej poduszce.*

PACHOŁEK *(oznajmiając).*

Jaśnie Wielmożny Pan Maciej Grabowiecki, komornik Jego Królewskiej Mości. *(usuwa się).*

OPALIŃSKI *(witając).*

Nie mały honor dziś ten dom spotyka:
Szczęsny Twardowski niestety nie w domu
Lecz wkrótce wróci —

GRABOWIECKI.

Gdzież jest pan Twardowski?

OPALIŃSKI.

Doktorat z prawa dzisiaj właśnie złożył.
Miał tu być dawno, lecz go doktor Rojsius
Zapewne jeszcze w akademii wstrzymał.

GRABOWIECKI.

Doktorat z prawa? Wszak był teologiem?

OPALIŃSKI.

Tak—i medykiem,—również filozofem;
Dzisiaj ostatni doktorat otrzymał. —

GRABOWIECKI.

Dziwne, Mościeju!... Przy takim majątku
Wszystkim naukom tak pilnie się oddać...
Niebawem wróci?...

OPALIŃSKI.

Czekam go co chwila;
Przykro mu będzie, że dał siebie czekać.
Lecz jako często z przykrości jednego
Wzrasta drugiemu korzyść niespodziana,
Tak z przyjaciela *fortuna adversa*
Ja ciągnę korzyść: bo mam honor witać
W Waszej Miłości druha mego ojca.
Jam Opaliński, syn Jerzego, Jerzy.

GRABOWIECKI.

Opalińskiego syn?! Witaj mi Waszmość!
Jakże się cieszę! Wszak to z ojcem Waszym
Zawód wojskowy poczęliśmy razem
Anno vicesimo przeciw mistrzowi
Brandenburskiemu pod wodzą Firleja; —
Mnie pod Kwidzyniem od śmierci ocalił
Ojciec Waszmości z narażeniem życia;
Odtąd jak bracia żyliśmy ze sobą.
Mościeju Panie, aż gdy Król Jegomość
Objął po ojcu swoim panowanie,
I mnie powołał do dworu swojego,
Ojca waszmości już nie oglądałem:
O śmierci jego wieść doszła mnie w Wilnie.
Witaj mi Waszmość raz jeszcze serdecznie.
Matka czy żyje? A siostra zamężna?

OPALIŃSKI.

Matka umarła trzy miesiące temu,
A siostra—żoną pana Mrowińskiego
(przedstawia go)
Którego oto mam zaszczyt przedstawić
Jako burmistrza Kaźmierza. Dziś właśnie
Z tymi panami, którzy są rajcami,
Przyszedł mój szwagier w imieniu Kaźmierza
Złożyć Szczęsnemu dzięk miasta gorący
Za założenie tam bursy prawników.

GRABOWIECKI *(podając rękę Mrowińskiemu)*.

Bardzo mię cieszy. *(półgłosem)* Hm, dziwne
[Mościeju!
(wskazując na dworzan i przedstawiając ich):
Oto: panowie dworzanie królewscy,
Pan Józef Rylski i pan Jan Borowski.

OPALIŃSKI.

Uprzejmie proszę panów zająć miejsca.
(Dworzanie siadają. Grabowiecki, Opaliński, i Mrowiński przechadzając się po pokoju rozmawiają).

GRABOWIECKI.

Więc wasz Twardowski, to sławna figura?
Doktor, filantrop, rycerz co się zowie—
A! bardzom ciekaw poznać jego przecie.
Odkąd przybyłem do waszego grodu,
Jego nazwisko w każdych słyszę ustach;
Na Litwie nawet, Mościeju, go sławią
I Król Jegomość dużo o nim słyszał,
Tak, że go pragnie mieć około siebie.

MROWIŃSKI *(z pół westchnieniem)*.

Trudno, by przystał.

GRABOWIECKI *(zdziwiony)*.

Co? Trudno, by przystał?

MROWIŃSKI *(jak wyżej)*.

Trudno, by przystał. Właśnie ma się żenić,
A potem pragnie z żoną podróżować.

GRABOWIECKI.

Dziwne, Mościeju! — *(p. k. m.)* Co to z tym
[turniejem
Było w Krakowie, co tyle hałasu
W całej Koronie i Litwie zrobiło?
Mam wręczyć jemu złoty łańcuch za to,
A nie znam jeszcze szczegółów dokładnie.

OPALIŃSKI.

(W czasie całego opowiadania następnego wszyscy przysłuchują się z zajęciem które zwłaszcza uwydatnia się u Józefa Rylskiego. Ten wprawdzie poważnie, ale z takiem zajęciem przysłuchuje się, powstawszy, iż nie zważa na zwrócone cicho do niego, od czasu do czasu, uwagi Borowskiego).

Było to w lutym, kiedy Bona Sforcya
Z całym szeregiem swych wozów ładownych
W przejeździe tutaj wstrzymać się musiała,
Wilga starosta postanowił zostać
Trzy dni w Krakowie, w nadziei, że przyślą
Pogoń z Warszawy, by wozy odebrać. —
Tu wielu panów niemieckich i włoskich,
Co na spotkanie przedtem przyjechali,
Przyjęło Bonę. Aby ją zabawić,
W dzień przed wyjazdem za granicę Polski
Urządzić turniej tu postanowili.
Więc przedtem wszystkich najznaczniejszych
[w mieście
Sproszono, by wzięli udział w turnieju.
Niewielu wprawdzie przyjęło wezwanie,
Lecz przecież kilku,—by Niemcom i Włochom
Nie dać assumptu do jakich żarcików. —
Twardowski widzem był tylko bezczynnym. —
Z różnem tam szczęściem biegali, walczyli,
W pierścień godzili, gonili do kwintan,
Ciskali diskos, — także w pełnej zbroi
Konną szermierkę urządzili Włosi.
Lecz w końcu jakoś widocznie Polacy
Przegrali sprawę i w wszystkich igrzyskach
Włosi lub Niemcy jakoś prym trzymali.

MROWIŃSKI.

Lecz dodaj Waszmość, że bezwąsy prawie
Młokosy w szranki z Włochem wystąpili.
Nie sztuka była dzieciaków pokonać. —

OPALIŃSKI.

To też Twardowski, słysząc jakieś drwinki
I żarty z naszych, wystąpił bez zbroi,
Z swą karabelą jedynie u boku,
Między szermierzy, którzy spoczywali
I głośno najprzód po włosku przemówił —

MROWIŃSKI *(przerywając)*.

A mówi biegle, że niech dyabli biorą —

OPALIŃSKI.

Potem to samo znowu po niemiecku:
„Jakto" — rzekł — „czyliż tego nie widzicie,
„Że tylko żarty z was sobie strojono,
„Że wam umyślnie wysłano dzieciaków,
„Boście nie warci walczyć z mężczyznami?
„Jeden z Polaków, jeden przeciw wszystkim
„Koleją zdoła wystąpić i wygrać;
„I wyż to śmiecie jeszcze drzwinki robić?"
Na taką żywą obelgę rzuconą
W oczy szermierzom, porwało się zaraz
Trzech chłopów z ziemi i groźnie żądali,
Aby odwołał, lub dał satysfakcyę
I udowodnił, że nie mówi kłamstwa.
Twardowski przyjął wyzwanie natychmiast.
W igrzyskach najprzód, w każdym ich rodzaju,
Zwyciężył wszystkich koleją bez trudu
I na tem zeszło całe popołudnie.

(Z giestykulacyą żywą).

Już nad wieczorem, wcale nie zmęczony,
Owszem, zwycięski, dumny, jak bóg wojny,
Zwrócił się zaraz do owych trzech chłopów
I rękawicę rzucił im pod nogi.
Z pierwszym miał konno potykać się, w zbroi,
Walcząc na ostro. — Tamci spoczywali
Ciągle, gdy Szczęsny brał udział w turniejach;
Więc walka była nierówna: my wszyscy,
Którzy przyjaźnią się jego szczycimy,
Zastąpić jego chcieliśmy w tych walkach:
Lecz mówić nie dał.—Przybrał lekką zbroję,
Wskoczył na konia, wziął kopię do ręki,
Objechał miejsce zapasów w około,
Zniżył przed Boną z wdziękiem swoją kopię
I w pełnym biegu wpadł na przeciwnika.
Olbrzym jak kamień runął z swego konia
Pośród okrzyku i śmiechu patrzących.
Krew lała z gardła się jemu strumieniem,
Koń gdzieś pogonił zwolniony z ciężaru
I Niemca z placu boju wyniesiono.
Drugi, Włoch, zaraz wystąpił. Ten szablą
Miał się potykać, bez zbroi, bez konia, —
A miano walczyć aż do upadłego.
Szczęsny zdjął zbroję i z szablą wystąpił.
Długo walczyli. Włoch był silny bardzo,
Szczęsny znużony swymi zapasami — —
I już zdawało się, że on ulegnie,
Już krew bryznęła z prawego ramienia —
Lecz nagle ręką zbluzganą krwią własną
Tak silne cięcie zadał mu przez głowę,
Że Włoch, jęknąwszy padł prawie bez ducha.
Trzeci pozostał: miał walczyć na szpady.
Tu już nietylko my, ale dwóch Włochów
Nawet od walki odwieść się starali,
Bo Szczęsny ranny był w rękę swą prawą.
Zacięty jednak Włoch, na swoją zgubę
Obstawał przy tem, by walczyć z Twardowskim:
Po części słusznie, bowiem był wyzwany.
Twardowski rękę swą obwiązać kazał,
Znowu wystąpił, a po kilku składach
Pchnął przeciwnika w pierś i znów zwyciężył.
(Chwila milczenia. Po chwili z uśmiechem).
Nazajutrz złożył doktorat medyczny.

(Za oknem wrzawa. Głosy: „Łapaj!" „A tuś mi!" Ławnicy i dworzanie przystępują do okien, kilku wychodzi, aby z bramy się przypatrzeć).

GRABOWIECKI.

Hm, dziwne, dziwne, Mościeju łaskawco.
Szeroko w Litwie wieść o tym turnieju
Rozeszła się nawet — król nasz mnie wysłał,
Jadąc na sejmy teraz do Warszawy,
Abym za czyn ten jemu łańcuch — *(wrzawa przygłusza głos jego. Wszyscy zbliżają się do okna).* Co to?!

Scena trzecia.

(Scena za oknem, ale tak, aby ją w części widzieć można przez okna, i aby osoby stojące przy oknach nie całkiem ją zasłoniły. Najlepiej aby jedno okno było otwarte. Chociaż dokładnie wszystkiego nie widać, trzeba z głosów wszystkiego się domyśleć. Głosy żaków wesołe mieszają się z głosami hajduków ścigających MAĆKA: *„Tam się schował!" „Za rogiem tej kamienicy!" „Jest, jest, łapaj, trzymaj!"* KALINKA, *ekonom Herburta: „Związać łajdaka! na wóz z nim! Cóż to? rady sobie z nim nie dacie? Marsz!" (śmiech żaków). Na to wchodzi ulicą* TWARDOWSKI, *ze zwojem pergaminu w ręce, jeszcze w todze doktorskiej).*

ŻACY.

Vivat Twardowski! Chluba całej Polski!

TWARDOWSKI.

(zbliżając się do grupy otaczającej Maćka).
Co tu się dzieje? *(patrząc po otaczających.)* Co [to się oznacza?

MACIEK.

Zlituj się panie! Na śmierć mnie prowadzą!

TWARDOWSKI *(groźnie).*

Co to się znaczy?!

KALINKA.

At, łajdak i złodziej!

MACIEK.

Nic nie ukradłem!

KALINKA.

Milcz łotrze! Hej, wziąć go!

TWARDOWSKI.

Waszmość mi zaraz odpowiesz, dlaczego
Wiążecie tutaj bezbronnego chłopka.
Puścić go zaraz! Czekać jeden z drugim!

KALINKA.

Szkoda wam czasu, Miłościwy Panie,
Dla tego łotra. To zbieg, uciekł z włości
Od swego pana i dzisiaj na targu
Moi go ludzie przypadkiem znaleźli.

TWARDOWSKI.

A kto Waść jesteś? I u kogo służysz?

KALINKA.

Józef Kalinka, i jestem zarządcą
Pana Herburta, dziedzica Wiązowej.

(w pokoju:) GRABOWIECKI.

Zięcia mojego. Spodziewam się przecie,
Że mu Twardowski pełną odda słuszność.
(na dworze) TWARDOWSKI *(do Maćka).*
Zbiegłeś od pana? Dlaczegoż uciekłeś?

MACIEK.

Jaśnie Wielmożny! mnie na śmierć prowadzą!
Zlituj się panie!

TWARDOWSKI.

Powiedz, coś zawinił?

MACIEK.

Panie łaskawy! Zlituj się, zlituj nad biednym sierotą! Mnie tam ubiją!

KALINKA.

Milcz, łotrze, i nie obrażaj uszów tego Wielmożnego Pana swoją plugawą gadaniną!

TWARDOWSKI.

Jemu kazałem mówić. Proszę milczeć!
(do Maćka). Mów chłopcze! Co ci zrobili tam [złego,
A jeśliś winny, powiedz całą prawdę,
Inaczej nic ci pomódz nie potrafię.
(Szmer hajduków i huk żaków: „Vivat Twardowski!" ale na Twardowskiego „Milczeć!" ucisza się wrzawa).

MACIEK.

Ja nic nie winien. Cała wieś poświadczy, że ja nie winien. Litościwy panie! zmiłuj się nad biednym sierotą!

TWARDOWSKI.

Dlaczegoś uciekł?

MACIEK.

Panie Jaśnie Wielmożny! Mnie tam na śmierć chcieli ubić, tak jak ubili mojego—*(zatykają mu usta).*

TWARDOWSKI.

Puścić go zaraz, bo straż miejską zwołam!
(do Kalinki) Waszmość mi za to odpowiesz przed [sądem,
Jeśli nie każesz puścić go bezzwłocznie.
(puszczają Maćka).

KALINKA.

Ależ to chłop, Miłościwy Panie, należący do Jaśnie Wielmożnego Pana Herburta i łże przed waszą Miłością, aby uciec przed prawem.

MACIEK.

Ojca mego ubili! Wieś cała świadkiem! Panie! zlituj się nad biednym!

KALINKA.

Tuszę, że Wasza Miłość więcej nas nie zatrzyma i tego chłopa nie zechce bronić, bo nam sąd musiałby oddać sprawiedliwość.

TWARDOWSKI *(groźnie).*

Z panem Herburtem ja sam mówić będę:
Rozwiązać jego natychmiast i puścić. —
A Waszmość powiesz swemu dziedzicowi,
Że pan Twardowski wiął chłopca do siebie
I że od niego niech go reklamuje.
(równocześnie):

KALINKA.—Lecz panie łaskawy,
MACIEK—Panie! wyrwij mnie od nich!
ŻACY.—Vivat Twardowski!

TWARDOWSKI.

Czyście słyszeli? Rozwiązać go zaraz!

(Pośród wzrastającej wrzawy rozwiązują Maćka. Vivaty się powtarzają. Twardowski z Maćkiem idą do domu, ku lewej stronie i odprowadza ich tłum ludzi, którzy się byli zbiegli. Po chwili tłum się rozchodzi.)

GRABOWIECKI.

(odstępując od okna, z marsem, półgłosem):
Dziwna Mościeju! Co on się poważa?
(głośno) Wasz pan Twardowski trochę dziwny [człowiek!
(półgłosem). Hm, hm, to dziwna! Ba, ba, niesły- [chane!
(Wszyscy wracają na swoje miejsca, także i ci, co wyszli byli prawemi drzwiami. Przez chwilę milczenie).

Scena czwarta.

CI SAMI. SZCZĘSNY TWARDOWSKI *z lewej strony.*

TWARDOWSKI *(z ukłonem).*

Przepraszam bardzo, że nie chcąc dać czekać
Wysokim gościom, nie zmieniłem stroju.
(Do Grabowieckiego) Mam zaszczyt witać?

GRABOWIECKI *(dumnie, z marsem).*

Jestem Grabowiecki;
To zaś pan Rylski, a to pan Borowski;
Jegomość król nasz wysłał nas z listami.

TWARDOWSKI.

Wielki mi honor. *(do Mrowińskiego i rajców).*
Witam Waszmość Panów!
(do Grabowieckiego) Upraszam usiąść i wyba- [czyć z łaski,
Że wprzód z panami tymi się rozmówię.
Czekają oni, jak mi służba mówi,
Już od dwóch godzin.

GRABOWIECKI *(z przyciskiem).*

Jestem Grabowiecki,
Komornik króla, z poselstwem przychodzę.

TWARDOWSKI *(uprzejmie, bez ironii).*

Miałem przyjemność usłyszeć już o tem
I proszę usiąść raz jeszcze.

GRABOWIECKI *(dumnie).*

Mój panie,
Czekałem pana!

TWARDOWSKI.

(trochę zniecierpliwiony, ale zawsze uprzejmie)
Raz jeszcze przepraszam,
Nie moja wina. Lecz że ci panowie
Dłużej czekali —

GRABOWIECKI.

(przerywa, prawie nie wiedząc, co mówi)
Jestem teść Herburta! —

TWARDOWSKI *(z uśmiechem).*
Bardzo się cieszę. *(Wskazując na krzesła).*
Czyż mogę prosić?

GRABOWIECKI.
Mój panie, czekać nie przywykłem nigdy!

TWARDOWSKI *(j. w.)*
Tem bardziej żal mi, żem ja był przyczyną
I że o chwilkę jeszcze muszę prosić. —

MROWIŃSKI.
Chętnie poczekam jeszcze ćwierć godziny.

TWARDOWSKI *(stanowczo).*
Pan Grabowiecki na to nie pozwoli. —
Cóż Waszmość w moje dziś sprowadza progi?

GRABOWIECKI.
(siadając, gniewnie, półgłosem)
Dziwna, Mościeju! — Ba! oburzające!

MROWIŃSKI.
Krótko się sprawię. Rada miasta wczoraj
Uchwałą swoją nas delegowała,
By Waszmość Panu złożyć dzięk gorący
Imieniem miasta, za czyn ów wspaniały,
Którym się w serca wryłeś wszystkich mieszczan.

TWARDOWSKI.
Ja z mojej strony serdecznie dziękuję
Za to uznanie, któregom niegodny.
Jeżeli daję to, czego mam nadto,
Nie jest zasługą, — jest to obowiązkiem,
Który na mojem miejscu każdy spełni.
Dzień ten zaszczytnem mi będzie wspomnieniem,
Uważać będę go za napomnienie,
Iż nagrodzony nad moje zasługi,
Winienem jeszcze wiele odsługiwać.
(odpinając brylantową spinkę od swojej togi)
A na pamiątkę, że Waszmość mi dzisiaj
Dzień ten pamiętnym uczynić raczyłeś,
Na znak przyjaźni proszę pryjąć spinkę,
Która pamiątką jest drogą po ojcu,
Co niegdyś szczycił się pana przyjaźnią.
Upraszam także — i w prośbę mą łączę
Wszystkich Waszmościów—abyście zechcieli
W przyszłą niedzielę, w dzień moich zaręczyn,
Zrobić przyjemność mi swą obecnością.

MROWIŃSKI.
(zakłopotany, jąkając się i czerwieniąc: lecz nie powinien rozśmieszyć, raczej wruszyć)
Panie—Twardowski— ja.. ja— ja— dziękuję!

TWARDOWSKI.
(uprzejmie każdemu podaje rękę i do drzwi ich odprowadza).
Więc do widzenia! Żałuję, że teraz
Dłużej z panami nie mogę pomówić,
Lecz powetuję to sobie w niedzielę.
(Burmistrz i rajcy odchodzą.)

Scena piąta.

GRABOWIECKI, TWARDOWSKI, RYLSKI, BOROWSKI, OPALIŃSKI.

TWARDOWSKI.
Jestem do usług.

GRABOWIECKI.
Mój panie Twardowski,
Muszę otwarcie przyznać się Waszmości,
Że z innem sercem w te progi wstąpiłem,
A z innem, zda się, opuszczać je będę.

TWARDOWSKI *(siadając).*
Żywię nadzieję, że nie mniej przychylnem.

GRABOWIECKI.
(wstając nagle. Twardowski również wstaje).
Ja się obawiam, że właśnie przeciwnie.
Choć stary jestem, choć piastuję urząd,
Który mię stawia pewnie dość wysoko —
A mogę śmiele powiedzieć, że własne
Moje zasługi mi jego zjednały —
To nie wymagałbym przecie dla siebie
Jakichsiś oznak szacunku i cześci:
Nie zważam na to i nie jestem pysznym.
Jednakże będąc tu w króla imieniu
I zastępując tu jego osobę,
Musiałem tkniętym być bardzo niemile,
Że Waszmość ze mną tak lekceważąco,
Tak jakoś z góry — ba! poniżająco
Wpierw postąpiłeś — i to w obecności
Obcych mi osób, tak że teraz mogą
Śmiało drwinkować z mojego poselstwa.
Przypisać mogę to nieopatrzności:
Waszmość na dworach był mało *versatus,*
Jak młody człowiek, za mało ostrożny —
Wszystko to przyznam, lecz pomimo tego
Struna fałszywa już dźwiękła i brzęczy;
Trudno odzyskać mi już ton uprzejmy.
Niech ci to będzie, młodzieńcze, nauką:
Pięknie doktorem zostać wszystkich nauk,
Pięknie rycerskim duchem się odznaczyć,
Wspaniale wsławić się dobroczynnością; —
Nierównie piękniej jednakże, być skromnym
Mimo znaczenia, mimo uczoności. —

TWARDOWSKI.
Dziwny, a przykry mię zarzut dotyka:
Tem mi przykrzejszy, że Wasza go Miłość
Wypowiedziałeś tak niezasłużenie.
Ja zawsze chętnie przyjmuję nauki,
I jestem wdzięczny, jeżeli ktoś starszy
Łaskawie raczy mi zwrócić uwagę,
Jeśli niesłusznie w czemsiś postąpiłem.
Lecz tu nie czuję się winnym, przeciwnie,

Sądzę, że będąc znów w tem położeniu,
Postąpię znowu zupełnie tak samo.
Schylam ja czoło przed wiekiem sędziwym,
Szczerze szanuję zasługi niezwykłe,
Zginam kolano przed króla powagą:
Lecz przytem nigdy też nie zapominam,
Że mam i inne także obowiązki.
Jako młodzieniec starszego posłucham,
Jako poddany przed królem się ugnę,
Jako ten, który nie zyskał znaczenia
Ani urzędem, ani zasługami,
Oddam honory tym, co je zyskali; —
Jako gospodarz jednakże, za pierwszy
Mój obowiązek uważam, dla wszystkich
Mieć grzeczność równą, o ile być może.
I tu uważam wielce na to, komu
Większą attencyę i grzeczność okazać:
Toż pan Mrowiński o tem przekonany,
Że dla Waszmości jam uprzedzający
O wiele więcej, niż dla niego byłem:
Wie, że ku niemu przyjaźń poufałą,
K' Waszej Miłości zaś żywię szacunek;
Wie, że jeżelibyście Waćpanowie
Byli raczyli mnie razem odwiedzić
Przed nimbym Panu oddał był honory:
Jeżeli jednak on o dwie godziny
Przed Panem przybył, — razem z ławnikami
Cierpliwie czekał, póki ja nie wrócę;
Jeślibym wtedy ja jeszcze mu kazał
Dłużej poczekać, dlatego, że zaszczyt
Niezwykły spotkał mnie przez Waszą Miłość;—
To słusznie mógłby nazwać mnie wyniosłym,
Chcącym się pysznić z honoru swojego —
I słusznie mógłby być bardzo dotkniętym,
Bo byłbym działał wbrew prawom grzeczności,
Co większa, nawet wbrew sprawiedliwości.
Sądziłem za to, że Waszej Miłości
Nie będzie dziwnem, jeśli grzecznie proszę
O to, co słuszność sama nakazuje.
Przykro mi było, że w takiej kolizyi
Wraz się znalazłem; ale ani chwili
Nie mogłem wahać się, co mam uczynić.
Gdyby o kwadrans, o dwadzieścia minut
Był pierwej przyszedł pan Mrowiński do mnie
Niż Wasza Miłość — byłbym go poprosił,
Aby zważając na urząd, wiek, godność,
Poczekał chwilę; — ale znużonemu
Czekaniem długiem, dłużej kazać czekać
Było mem zdaniem niesłusznem, niegrzecznem.

GRABOWIECKI.

Hm, dziwna, Panie, taka filozofia:
Więc na minuty?... hm, hm, wieleż minut
Waszmość przeznaczasz na to, aby grzecznym
Albo niegrzecznym można się okazać?...

TWARDOWSKI.

Na tę ironię ja nie zasłużyłem.
Uczucie samo łatwo podyktuje,
Czyli znużonym gość uczuć się musi.

GRABOWIECKI.

Któż to Waszmości powiedział, że ja się
Mojem czekaniem znużony nie czułem?

TWARDOWSKI.

Może, przyznaję, ale nie w tym stopniu;
Zwłaszcza, że pana Mrowińskiego mogłem
Zbyć kilku słowy, by z całą swobodą
Czas swój poświęcić dla Waszej Miłości,
Coby możliwem nie było tak łatwo,
Jeślibym wiedział, że ktoś na mnie czeka.

GRABOWIECKI *(z uśmiechem).*

Zręcznie, Mospanie, choć nie całkiem słusznie.
Lecz dajmy pokój. Gdy Waszmość pobędziesz
Na dworze króla, zmienisz swe pojęcia.
Bo właśnie dzisiaj... Mości Panie Rylski
Zechciej pan sprawić się z swego poselstwa.

RYLSKI.

(podając łańcuch na bogato ozdobnej poduszce)
Jego Królewska Mość przez moje ręce
Waszej Miłości łańcuch ten przesyła
Na znak swej łaski, również na pamiątkę,
Że Waszmość sławę oręża polskiego
W słynnym turnieju świetnie ocaliłeś. —
Miło mi również przy tej sposobności
Być wszystkich dworzan i rycerzy dworu
Słabym tłómaczem — bowiem mnie prosili,
Bym w ich imieniu wyraził uznanie
Waszej Miłości i nasz dzięk serdeczny.

TWARDOWSKI.

Jegomość Król mnie darzy nad zasługi:
Niewielką sztuką było tych pokonać,
Co o turnieju nie mają pojęcia. *(biorąc łańcuch)*
Szczerze dziękuję i pragnę gorąco
Złożyć Królowi dzięki osobiście.
Ja z powołania nie jestem rycerzem,
Książka mą zbroją, pióro moją bronią:
Gdy jednak będzie Ojczyzna w potrzebie,
Stanę w szeregi pewnie nie ostatni
I tam to starać się będę usilnie
Króla przekonać, że darzył godnego.
Wszystkim zaś panom, których Waszmość ra-
[czysz
Dziś zastępować, dziękuję za łaski
I tym uściskiem *(ściskając Rylskiego za rękę)*
[im uścisk posyłam. —

GRABOWIECKI.

Mości Borowski! Kolej na Waćpana.

BOROWSKI *(podając list królewski.)*

Pismem odręcznem Jego Mość Królewska
Waszej Miłości uznanie wyraża
Za słynne pismo przeciw różnowiercom,
Które klejnotem zwie w literaturze.
Jadąc na sejmy teraz do Warszawy,
Jego Mość Król ma najlepsze nadzieje
I kazał ustnie mi jeszcze wyrazić,
Że to zawdzięcza Waszmości działaniu:
Bo Wasze dzieło „o godności księżej",
Choć Lippomano na nie się oburza,
Wzbudziło podziw wszystkich starych księży,
Reformatorów dużo uspokaja,
Wszystkich porywa głębokim pomysłem.

TWARDOWSKI *(odbierając list.)*

Dzięki serdeczne. Dziś dzień najpiękniejszy
W życiu przeżyłem. — Król wynagradzając
Skromne zasługi w sposób tak wspaniały,
Zaskarbia wdzięczność i miłość narodu,
Krzewi nauki, zachęca do pracy:
I jeśli dzisiaj Polska już góruje
Ponad sąsiady mężami nauki,
Jeżeli kwitnie pośród wielu chwastów,
Królom swym światłym wiek złoty zawdzięcza.
Inni panują jako monarchowie;
Król nasz zaskarbia serca swych poddanych,
Jest przyjacielem narodu, nie władcą.

GRABOWIECKI *(z zapałem).*

Najświętszą prawdę wyrzekłeś, młodzieńcze:
Ja nie dożyję, lecz wy dożyjecie
Może tej chwili, kiedy Polska światu
Okaże, ile dokona to państwo,
Gdzie król z narodem, naród z królem idzie.
(powstrzymując się, z uśmiechem)
Waszmość od rzeczy nas odprowadziłeś,
Hej, filozofie, nielogicznie trochę
Odciągnąć chciałeś od siebie uwagę,
A tu o Tobie przybyliśmy mówić. —
(n. s.) Hm, dziwny człowiek! *(głośno)* Więc, Mo-
[ści Twardowski,
Król nasz mniemając, że pan jesteś księdzem,
Chciał zamianować Cię swym spowiednikiem:
Wiem to z ust jego; przezemnie zaś kazał
Zaprosić pana na sejm do Warszawy,
Co ma odprawę dać Lipomanowi.

TWARDOWSKI.

Pośpieszę zaraz, skoro tylko tutaj
Załatwię wszystko, co nie cierpi zwłoki.

GRABOWIECKI.

Masz Waszmość żenić się, słyszałem o tem;
A potem nawet z żoną podróżować?
Hm, za granicę wywozić pieniądze,
By za to tutaj przywozić zepsucie?

TWARDOWSKI.

Ja, za granicę? Za zdradę uważam
Takie podróże, jeśli one nie są
W celu nauki, w usługach Ojczyzny,
Lub w innych ważnych celach przedsięwzięte.
Gdybym chciał podróż odbywać, to miałbym
Dość świata w mojej Ojczyźnie obszernej.
Ale i na to czasu mi nie staje.
Muszę ze żoną na czas jakiś na wieś
Moją pojechać, bo skargi mię doszły,
Że tam się jakieś nieporządki wkradły,
I ludzie moi sobie pozwalają
W nieobecności mojej gnębić kmieci.

GRABOWIECKI *(z chwilowym marsem).*

Hm, hm... A z kim to Waszmość masz się
[żenić?

TWARDOWSKI.

Z siostrą cioteczną Herburta.

GRABOWIECKI.

Ze Stellą?
(z uśmiechem przymuszonym). Toż dla nas zasz-
[czyt... Ale Waszmość teraz
Pana Herburta sobie naraziłeś...

TWARDOWSKI.

Czy tem, że ludziom jego dać nie chciałem
Znęcać się dziko nad biednym sierotą?
Nie sądzę, owszem, myślę, że pan Herburt
Wdzięcznym mi będzie za to postąpienie.

GRABOWIECKI.

Ależ za chłopem jakimś się ujmować!
Zięć mój nie może za to uczuć wdzięczność:
Waszmość poniżasz swą godność szlachecką.

TWARDOWSKI.

Ja bronię owszem godności tej, którą
Niesprawiedliwość jedynie poniża.

GRABOWIECKI.

Swój swego niechaj pilnuje.

TWARDOWSKI.

Swój swego!
Polak Polaka! Król swego narodu,
Możny słabszego — i w tem nasza siła,
Niezwyciężoność nasza w obec innych
Okaże świetnie się kiedyś, gdy wszędzie
Nam sprawiedliwość kierowniczką będzie.

GRABOWIECKI.

Ba! sprawiedliwość, lecz nie czułość jakaś:
Tę sprawiedliwość Herburt ma wymierzyć,
Bo chłop ten jego jest przecie własnością.

TWARDOWSKI.

Własnością? Człowiek?

GRABOWIECKI.

Mój panie Twardowski,
Z Waszmości widać mówi jakaś żyłka,
Żyłka, co hm, hm,...

TWARDOWSKI.

Co pochodzi z ludu?!

(z zapałem) Z ludu pochodzę— i z tem się nie [kryję,
Pochodzę z ludu, który pośród trudu
Wśród upokorzeń między nami żyje,
Który swą pracę i pot swego czoła
Na to nam daje, byśmy go gnębili
Postępowaniem, co o pomstę woła!
W smutnej żyjemy pod tym względem chwili:
Polska nam kwitnie jak bujna roślina
I podziwiają ją inne narody;
Lecz już—już— teraz krzewić się zaczyna
Pasożyt straszny wzajemnej niezgody.
Wszak to już kręcą się wysłańcy cudze
I sieją ziarno w ucho włościanina,
A ono świetne zapuści korzenie,
Wyda przepłodną tę roślinę wkrótce,
Jeśli tak dalej pójdzie, jak jest teraz...
Jako my w królu widzim przyjaciela,
Chętnie oddając jemu kierownictwo —
Tak w nas lud winien widzieć swych przyjaciół
I kierowników. — Jeśli tak nie będzie,
Utinam falsus sim vates, źle będzie.

GRABOWIECKI.

(który przez cały ten czas, gdy Twardowski mówił, muskając wąsa, patrzył na niego w zamyśleniu, po krótkiej chwili:)

Waszmość masz swadę świetną, wierzaj jednak,
Że godna lepszej jest sprawy. Nie mieszam
Więcej się w sprawę tę — to rzecz Herburta.
(po chwili, zabierając się do odejścia)
Nie chcę zabierać już czasu Waszmości.
Wszak się w Warszawie jeszcze zobaczymy?

TWARDOWSKI *(żywo, serdecznie.)*

Spodziewam się, że Wasza Miłość żadnej
Ku mnie nie żywi urazy?

GRABOWIECKI *(podając mu rękę).*

Nie, wcale.
Poczciwym Waszmość jesteś, kochasz Polskę,
Zapatrywania zaś Twoje, — przed laty,
Kiedym młodzieńcem był takim jak Waszmość
Może podobnie sądziłem — i dzisiaj
Dziwić się tobie nie mogę i nie chcę.
Więc do widzenia! *(ściska go za rękę.)*

TWARDOWSKI.

Proszę przyjąć jeszcze
Powtórnie moją serdeczną podziękę.
(podając rękę Rylskiemu i Borowskiemu)
Dziękuję również panom z całej duszy.

GRABOWIECKI.

(do Opalińskiego) A Waszmość, Panie Jerzy [Opaliński,
Jeżeli nie masz co lepszego robić,
Chodź ze mną do mnie, pomówimy trochę
O ojcu twoim.

OPALIŃSKI.

Służę z przyjemnością.
(EXEUNT).

—o—

Zmiana.

Scena szósta.

(Pokoik Stelli Bertucci).

STELLA, HANNA *(siedząc przy stoliku rozmawiają).*

STELLA.

Dość będzie na dzisiaj. Zrobiłaś znaczne postępy i nigdy nie spodziewałam się, ażebyś w przeciągu roku mogła tak dobrze nauczyć się po włosku. Moja uczennica zaszczyt mi czyni.

HANNA.

Zasługa w tem jedynie mojej nauczycielki drogiej. Wiesz przecie, Stello, że nie mam szczególnych zdolności. I myślę, że mając inną nauczycielkę, nigdybym się nie potrafiła była tyle nauczyć, ile tobie zawdzięczam.

STELLA.

Będziesz przynajmniej mogła teraz bez mojej pomocy czytywać naszych autorów, skoro ja za mąż wyjdę.

HANNA.

Kto wie, czy tyle w nich znajdę piękności, ile mi się ich nastręcza przy czytaniu z tobą. Ach, ty jesteś prawdziwą poetką, Stello!

STELLA *(z uśmiechem).*

Któraż z Włoszek nie jest poetką? Włochy! Tam przyroda, niebo, wszystko tchnie poezyą i każde dziecię Włoch rodzi się poetą. Tu *(dreszczem)* zimno w waszej Polsce.

HANNA.

A przecież tę Polskę obrałaś sobie za nową ojczyznę. O! nie mów, że tu brak poezyi! Przyroda tu różne kształty przybiera i w każdej szacie odrębną nęci poezyą; niebo grozą swą piękne w burzy, tem piękniejsze nam się wydaje, gdy się rozjaśni, — tem cenniejsze, gdy odrzuciwszy ołowianą powłokę zimową, obdarza nas pierwszymi wdziękami wiosny; — ludzie zaś... Wyście nie mieli Kopernika, który wzniósł się ponad słońce i nie macie Twardowskiego... Jakżeś ty, Stello, szczęśliwa!

STELLA.

Szczęśliwa?! Dziecko z ciebie, Hanusiu. Słuchaj, skoro z mężem do Włoch pojadę, musisz ty z nami podróż tę odbyć. Wtedy osądzisz, czy można czuć się szczęśliwą w tym kraju, znając południe. Wtedy osądzisz, czyli także człowiek nie musi stać się uczuciem, sercem, całem jestestwem swojem podobnym do rośliny z południa tu przesadzonej, która skarłowaciała, nędzna i tęskna ginie przedwcześnie.

HANNA.

Nigdy nie osądzę na niekorzyść mojej ojczyzny. Ja ciebie pojmuję, Stello; każdy swoją ojczyznę kocha i w niej widzi wszystko najpiękniejsze. Tylko nie pojmuję... jak narzeczona ukochana przez męża największego może na świecie, może czuć brak czegoś do szczęścia swojego...

STELLA *(wstaje)*.

Ukochana? Czyliż Twardowski mnie kocha? Ach, Hanno, ty nie masz pojęcia o miłości prawdziwej, nikt go tutaj nie ma; u nas tylko kochać umieją. U nas każda myśl, każde uczucie, świat cały ginie w jednem uczuciu miłości. Ja kocham Szczęsnego — — — ah! jak go kocham... Ale Twardowski... u niego miłość ojczyzny i zamiłowanie do nauk silniejsze od miłości ku mnie.... Tak jak ja to pojmuję... on mnie nie kocha...

Scena siódma.

TE SAME. FERNANDO LECCI *(głównemi drzwiami)*.

LECCI.

(zbliżywszy się cicho, obejmuje Stellę)

Kto ciebie nie kocha?

STELLA *(pół swawolnie)*.

Ty, ty, ty nieznośny. *(z płaczem)*. Tak mnie przestraszyć!

LECCI.

Ależ Stello, co tobie? *(Hanna wymyka się niespostrzeżenie drzwiami bocznemi. — Lecci bierze za rękę Stellę, a widząc, że ona płacze, po chwili mówi dalej, trochę zniecierpliwiony)*. Uspokój się Stello. Teraz istotnie czasu niema na twoją swawolę. Twardowski przyjdzie tu lada chwilę...

STELLA *(zdziwiona)*.

O tej porze? Wszak zwykle przychodzi aż nad [wieczorem.

LECCI.

Ale dziś już jest wolny od wszelkich zatrudnień. Złożył doktorat z prawa i prawdopodobnie całe dnie teraz spędzać będzie u swojej narzeczonej.

STELLA.

Dlaczego mi to mówisz?! Dla czego mówisz mi to takim tonem?!

LECCI.

Nie chciałem ci uchybić, Stello. Jesteś dziś dziwnie rozdrażnioną, a mam pomówić z tobą spokojnie i poważnie, bo może to ostatni raz możem rozmówić się swobodnie. — Stello, czy posłuchasz mnie spokojnie?

STELLA *(cofając się cokolwiek)*.

Oszczędź sobie trudu, jeżeli chcesz mi robić znowu jakie wyrzuty. Jestem rozdrażnioną, tak jest, bo mi przed oczy stają wasze starania o to, aby mnie sprzedać człowiekowi, którego nie kochałam... dawniej... Pieniądze jego, znaczenie jakie zyskał, koligacye wysokie pochlebiały matce mojej. Ty mnie także doradzałeś wejść w ten związek, jakkolwiek udawałeś, że mnie kochasz....

LECCI *(z wyrzutem)*.

Udawałem, Stello?

STELLA.

Udawałeś, Fernando, bo gdybyś mnie kochał, nie byłbyś mi dawał rad takich....

LECCI *(z gniewem)*.

Stello! Lecciego nie drażnij, bo....

STELLA *(jeszcze się usuwając)*.

Nie byłbyś mi dawał do zrozumienia, że i po mojem zamążpójściu będziemy mogli widywać się często, że chcesz mi zapewnić przyszłość świetną przez Twardowskiego, a rozkosze miłości przez swoją osobę. Podle postąpiłeś....

LECCI.

(porywając i ściskając rękę Stelli).

Stello!....

STELLA *(odtrącając go)*.

Precz!.... Podle postąpiłeś, powtarzam i dzisiaj już ciebie obawiać się nie potrzebuję. Przerachowałeś się, Fernando, bo ja od dawna — kocham Twardowskiego....

LECCI.

(przyskakując z wyciągniętym sztyletem i porywając Stellę za rękę silnie).

A! żmijo! tak to?!.... Twardowskiego kochasz? A czy wiesz ty, dziewczyno, że odemnie zależy, czy zostaniesz panią Twardowską? Czy wiesz ty o pewnych liścikach, które pan Twardowski przeczytawszy, nigdy za żonę nie weźmie kochanki innego?.... Czy wiesz, że mam cię podwójnie w mej mocy?

STELLA.

(z trudnością starając się zachować krew zimną).

Wiem, że Fernando Lecci jest nadto szlachetny, aby się mścił za to, iż pierwszą skłonność niedoświadczonej dziewczyny posiadał.... i zanadto rycerski, aby zabijał bezbronną kobietę.

LECCI *(puszczając ją).*

Ha, ha, ha! Zapewniam ciebie, że ani jedno, ani drugie; — ale Fernando Lecci jest zanadto dumny, aby się ubiegał o łaski dziewki, która kiedyś znów sama mu się rzuci w ramiona! *(rzuca jej listy i szybko odchodzi).*

Scena ósma.

STELLA *(sama).*

Ah! Fernando! Słów tych pożałujesz jeszcze kiedyś! A, jakże go nienawidzę! — — *(podnosząc listy w zamyśleniu).* A przecież on jest szlachetnym; inny tego nie byłby zrobił.... *(chowa listy).* Dzięki Bogu, że to się skończyło, że spokojnie będę mogła jemu w oczy popatrzyć! Czy on mnie kocha? Czy to prawda, co mi się z ust wymknęło przed Hanną?.... Hanna!.... *(powstaje niespokojnie).* Gdzie ona?.... Byłaż świadkiem tegoż zajścia?... Czy wyszła przed przyjściem Fernanda?.... *(pociera czoło w zamyśleniu)* — ale nie — oto jej kapelusz.... Musi być u Mamy.... *(idzie do drzwi)* Hanno! *(w tejże chwili wchodzą Pani Bertucci i Hanna).*

Scena dziewiąta.

STELLA. PANI BERTUCCI. HANNA.

STELLA *(do Hanny).*

Gdzie ty się podziałaś, Hanno?

PANI BERTUCCI.

Gdzie Fernando?

STELLA.

Odszedł właśnie. *(Do Hanny.)* Dla czego poszłaś stąd Hanno?

HANNA.

Nie chciałam wam przeszkadzać i poszłam do twojej mamy, aby poskarżyć na ciebie.

PANI BERTUCCI *(siadając).*

Dlaczego Fernando odszedł tak prędko?

STELLA.

Bośmy się posprzeczali. *(Do Hanny badawczo.)* Czy ty byłaś świadkiem naszego zajścia?

HANNA.

Zajścia?

PANI BERTUCCI.

Zajścia? Cóż się stało?

STELLA.

Z pewnością już nie powróci tak prędko. Proszę Mamy sobie wyobrazić, że poważył się mnie, narzeczoną Twardowskiego, obrażać oświadczynami miłosnemi.

PANI BERTUCCI.

Niepokoisz mnie dziecko. Czyś go obraziła?

STELLA.

Aza niesłusznie? Ja nie pojmuję, dlaczego mama dowiedziawszy się od Hanny, że Fernando jest u mnie, nie wyszła do nas i zostawiła nas sam na sam. *(Siada.)*

PANI BERTUCCI.

Ależ Stello, dziecię moje! Przecież tyle razy byliście....

STELLA.

Tak jest i to właśnie źle było, bo ludzie sobie z tego Bóg wie jakie plotki porobili. Ale też za to dałam mu odprawę należytą i więcej nie poważy on się pewnie przestąpić progu domu mojego.

PANI BERTUCCI.

Więc go obraziłaś! Ależ ten biedny człowiek gotów....

STELLA *(żywo).*

Wierz mi mamo, że nic nie gotów. Pocieszy się prędko. — *(Do Hanny po chwili).* Co to ty mówiłaś, żeś na mnie skarzyła, Haniu?

HANNA.

Że nie kochasz pana Twardowskiego.

STELLA.

Ja go nie kocham?!.... Boję się go, czczę, wielbię, co chcecie, ale także kocham.

HANNA.

Przecieżeś mówiła, że on ciebie nie kocha...

STELLA.

Haneczko, proszę ciebie, tyś zanadto dziecko jeszcze, abyś mogła mówić o takich rzeczach. Ty ich nie rozumiesz. On mnie może nie kocha całem uczuciem swojem, on mnie nie uważa za swoje najdroższe dobro na świecie, ale mnie kocha po waszemu, — a ja — *(swawolnie)* będę się starała nauczyć go kochać tak, jak ja to pojmuję.

PANI BERTUCCI.

Czyżeś się już zdecydowała, aby wasze zaręczyny odbyły się w tę niedzielę?

STELLA.

Bynajmniej, i dzisiaj mu to powiem. To będzie pierwsza lekcya miłości.

HANNA.

Lekcya miłości? Taka?!

STELLA.

Powtarzam, że nie znasz się na tem i zrozumiesz dopiero, gdy z nami zwiedzisz Włochy.

PANI BERTUCCI.

Ależ on i do Włoch nie chce jechać i dziś właśnie pisałam do wuja twojego, że niema nadziei, abyśmy prędko byli we Włoszech.

STELLA *(żywo).*

Proszę tego listu nie odsyłać. Dziś Szczęsny zdecyduje się na podróż!

PANI BERTUCCI.

Jak chcesz, dziecko, ale ja sądzę, że Twardowski nie tak łatwo odstąpi od swoich zamiarów.

HANNA.

Nigdy, jeżeli są powzięte stanowczo.

STELLA.

Nigdy? A ja was przekonam — — Lecz cicho! Słyszę go, idzie!

Scena dziesiąta.

TE SAME. TWARDOWSKI *(w tej scenie już w kontuszu).*

TWARDOWSKI *(pukając).*

Wolno?

STELLA *(swawolnie).*

Nie wolno!

TWARDOWSKI *(wchodząc).*

Sam sobie pozwolę.

STELLA *(z dąsem).*

Pan Szczęsny wcześnie gra małżonka rolę.

TWARDOWSKI *(całując ją w rękę).*

Ćwiczę się wcześnie, by ją umieć potem.

STELLA.

Jesteś doktorem praw?

TWARDOWSKI.

Wątpiłaś o tem?

STELLA.

Mogłażbym wątpić? Lecz przecieżby była
Światu to jakaś niespodzianka miła,
Jeśliby upadł raz przy egzaminie
Twardowski, który z mądrości swej słynie.
Wszak i nowostki potrzebne dla ludzi:
Bo wreszcie ciągła jednostajność nudzi.

TWARDOWSKI.

Tak? Więc ty jesteś także tego zdania?

STELLA.

Czyż mi pan Szczęsny mieć zdanie zabrania?

TWARDOWSKI.

Boże uchowaj! *(witając panią Bertucci)*
Jak się Mama miewa?
Czy lepiej dzisiaj?

PANI BERTUCCI.

O znacznie! Dziękuję;
Lekarstwo twoje zaraz skutkowało.

TWARDOWSKI *(witając Hannę).*

A panna Hanna rozkwita jak róża;
Z każdym dniem rośnie....

HANNA *(n. s. z dąsem).*

On mówi, żem duża!
Czyżem ja dziecko?....

TWARDOWSKI.

Była dzisiaj lekcya?

HANNA.

Tak, ale Stella mi dzisiaj mówiła,
Że to ostatnia.

TWARDOWSKI.

Pewnie, bo w niedzielę,
Jej zaręczyny — potem ślub znów wkrótce,
Więc czasu pewnie na lekcye nie stanie.

STELLA *(swawolnie).*

W niedzielę? Wielkie to jeszcze pytanie.

TWARDOWSKI.

Jak to rozumiesz, droga Stello moja?

STELLA *(j. w.)*

Czyż to, co powiesz, już świętem być musi?

TWARDOWSKI.

Stello, to jakaś znów swawola nowa.

STELLA.

Nie, alem jeszcze nie przygotowana
Wszak przygotowań jakichsiś potrzeba.

TWARDOWSKI.

Jakichże, droga? Ja znowu nie mogę
Dłużej odkładać, bo nawet już wszystkich
Na zaręczyny w ten dzień zaprosiłem.

STELLA.

Wszakże odprosić to niewielki kłopot,
A ja nie mogę, na seryo nie mogę....

TWARDOWSKI.

Mnie niemożliwem znów dłużej odwlekać,
Bo ślub nasz musi być za dwa tygodnie.

STELLA.

Dla czegoż proszę, jeśli wolno spytać?

TWARDOWSKI.

Bo dziś od króla miałem zawezwanie,
Abym pojechał na sejm do Warszawy
Który otworzą już za sześć tygodni.
Przedtem zaś chciałbym jechać z tobą na wieś,
Bo mam tam różne załatwić sprawunki,
Nim wieś opuszczę znów na trzy miesiące.

STELLA.

Ja znów nie mogę, nie mogę się zgodzić,
Aby się odbył ślub za dwa tygodnie.
Wszakże nic jeszcze nie mam gotowego,
Nieprawdaż mamo?

PANI BERTUCCI.

Istotnie, że trudno
Byłoby wszystko na czas przygotować;
I mnie nowiną jest to niespodzianą.

TWARDOWSKI.

A przecież musi być tak, jak mówiłem.
Stello kochana, ustąpiłbym przecie,
Jeśliby tylko możliwem mi było.
Ale nie mogę, wierzaj mi, nie mogę,
I proszę bardzo, byś gotową była
Za dwa tygodnie stanąć przed ołtarzem.
Nie będzie trudnem to, gdy seryo zechcesz.

STELLA.

Ależ....

TWARDOWSKI *(obejmując ją).*

Nic ale, zrobisz, jak prosiłem,
Nieprawdaż Stello?

STELLA *(rozpaczliwie).*

Nie — nie — nie — nie mogę. *(Płacze.)*

TWARDOWSKI.

Łzy, Stello? Broń to jest niegodna ciebie.

STELLA *(powstrzymując płacz).*

Ja też nie płaczę.

TWARDOWSKI *(pieszczotliwie).*

Uśmiechnij się droga!
Tak, jeszcze szczerzej. Więc — za dwa
[tygodnie?
Nieprawdaż, luba?

STELLA.

(podając mu ręce, uśmiechając się przez łzy).
Ty jesteś tyranem!

TWARDOWSKI *(całując ją w rękę).*

Dziękuję ci, Stello. Widzi mama droga,
Jak kochającą mi daje małżonkę.
O, Stello, nigdy tego nie zapomnę,
Na rękach za to ciebie będę nosił,
Boś mi powolną, kochającą żoną!

STELLA *(przymilając się).*

Lecz prawda, potem do Włoch pojedziemy?

TWARDOWSKI.

Do Włoch, Estello?.... Jedziem do Warszawy,
Stamtąd na Litwę, potem wielkiem kołem
Objedziem Polskę — i wrócim do domu,
Gdzie życie pędzić będziemy rozkoszne,
Do Włoch jednakże nie pojedziem wcale.
Chciałbym ja widzieć ten kraj, w którym
[Stella
Na światło dzienne raz pierwszy spojrzała;
Ażebym potem mógł przez porównanie
Drogiej małżonce okazać zalety,
W jakie jej nowa ojczyzna celuje; —
Chciałbym ci także przyjemność uczynić,
Lecz niemożliwem jest mi myśleć o tem:
Mam obowiązki, które mię do kraju
Wiążą mojego; — przez dary, którymi
Bóg mnie obdarzył, mam tu spełniać wiele,
Od czego choć na krótko się uchylać
Byłoby zbrodnią nie do darowania.
Jeżeli moja gołąbka zatęskni,
Zechce ojczyste swe drzewa obaczyć, —
To wtedy z Mamą pojedzie na krótko,
By powróciwszy, powiedzieć mi znowu,
Że ze mną lepiej jej, niż na południu. —
Nieprawdaż Stello?

STELLA *(rozczarowana).*

A więc nie pojedziesz?

TWARDOWSKI.

Czy ty mnie kochasz?

STELLA *(z zapałem).*

Czy ja kocham ciebie?!
Ileż to razy tyś mię zapytywał;
Ileż to razy ja odpowiadałam,
Że pytasz kwiatu, czy kocha swe słońce:
Tak przeogromne, tak zda się dalekie,
Ale tak drogie, do życia niezbędne,
Że tego kwiatka byt, woń, krasa, wartość
Od muskań jego promieni zależy.
Tyś mojem wszystkiem: bez ciebie świat byłby
Dla mnie pustynią; ja — ziarnkiem w pustyni!
Czy to jest miłość?.... To, co zwią miłością,
Mego uczucia określić nie może:
W tobie me życie, a bez ciebie — nicość!

TWARDOWSKI.

Stello najdroższa! Raj sobie stworzymy, —
Na cóż Włoch jeszcze do takiego szczęścia?
W Włoszech niegodnym się stałbym miłości, —
Tu będę wielkim i zasłużę na nią!
(p. k. m.)
Pozwolisz teraz, że kilka słów z mamą
Naszą pomówię w ważnym interesie.
(Podając ramię pani Bertucci.)
Czy mogę prosić? — *(Do Stelli)* Powrócę za
[chwilę.
(Pani Bertucci i Twardowski wychodzą.)

Scena jedenasta.

STELLA. HANNA.

HANNA *(p. k. m. z uśmiechem).*

Kiedyż zaręczysz się?

STELLA *(z udaną rezygnacyą).*

Już w tę niedzielę!

HANNA *(j. w.).*

A do Włoch jedziem?

STELLA *(uniewinniając się).*

Wszakżę on nie może!
(Hanna ją obejmuje i swawolnie pociąga w taniec.)

Zasłona spada.

Koniec aktu pierwszego.

AKT drugi

Pomiędzy aktem I a II upływa lat sześć.

Scena pierwsza.

(Kancelarya Twardowskiego. Książki, narzędzia, ale bez przeładowania alchemistów XV i XVI wieku, bez dziwacznych sprzętów.)

TWARDOWSKI *siedzi przy stoliku i pisze.*

OPALIŃSKI *wchodzi drzwiami w głębi.*

OPALIŃSKI *(wchodząc).*

Szczęsny! Tyś wielki!

TWARDOWSKI *(odkładając pióro, ale nie wstaje).*

Jak się miewasz, Jerzy.
I cóż powodem twojego wykrzyku?

OPALIŃSKI.

Sława ci, Szczęsny! Przychodzę z kościoła;
Właśnie śpiewano twe pieśni nabożne;
Nie dość ci nauk być wszystkich doktorem,
Jesteś poetą! I jakim poetą!

TWARDOWSKI.

Daj pokój, Jerzy. — I cóż Twoja Hanna?

OPALIŃSKI *(siada).*

Hanna?... Nie dla mnie spełnienie snów złotych;
Snem było wszystko — jak sen uleciało...
Hanna nie kocha mnie...

TWARDOWSKI *(zdziwiony).*

Nie kocha ciebie?
Cóż to się znaczy? Mów mi, co się stało?

OPALIŃSKI.

Mówiła tylko, że nie chce wyjść za mąż,
To wszystko... Lepiej nie mówmy już o tem...

TWARDOWSKI.

Jakto, mój Jerzy? Tyś tak obojętny?

OPALIŃSKI.

Nie obojętny, lecz zrezygnowany...

TWARDOWSKI.

Dziwnyś ty człowiek. Nie pojmuję ciebie.

OPALIŃSKI *(z przesadą).*

Mężczyzna wielkim winien być w boleści,
Nie dać się ugiąć żadnym przeciwnościom,
I jako skała przeciw wszystkim burzom
Stać niezachwianie, jeśli go coś dotknie!
Ja czuję boleść... ja boleję srodze,
Lecz ludziom nie dam poznać mej boleści.
Tyś mi przykładem przepięknym, mój Szczęsny:
Wszak i ty zniosłeś z spokojem przedziwnym
Niesprawiedliwość krzyczącą, gdy ciebie
Obrano najprzód rektorem, a potem
W dni kilka znowu z urzędu złożono.
O, gdybyś wiedział, jak nas oburzyło
To Grabowieckich, Herburtów, Ocieskich
I Mniszchów dzieło...

TWARDOWSKI *(przerywając).*

Zostaw to, mój Jerzy;
Każdy ma przecie swoich nieprzyjaciół.

OPALIŃSKI.

Mało kto zyskał ich przez swoją prawość.

TWARDOWSKI.

Lepiej to, niż ich unikać przez błędy.
(umyślnie odwodząc od przedmiotu, szuka między swymi papierami)
Mam tu nowinę ciekawą dla ciebie.
Dzisiaj wieczorem *(szuka)* mam schadzkę za
[miastem...

OPALIŃSKI *(zaciekawiony.)*

Z kim schadzkę?

TWARDOWSKI *(podaje mu list).*

Czytaj. Coś w tem dziwacznego.

OPALIŃSKI *(czytając adres).*

Zabawny tytuł! „Mistrz Twardowski w miej-
[scu!"
(otwiera list i czyta) „Przez Kraków jadąc,
[chciałbym jego chlubę
„Po drodze poznać. Jutro przed północą
„Przy Bierzanowie w lesie czekam pana. —
„Faust" podpisano. *(zdumiony)* Faust? Ten
[czarnoksiężnik?

TWARDOWSKI *(z uśmiechem).*

Tak mi się zdaje.

OPALIŃSKI.

Kiedyś list ten dostał?

TWARDOWSKI.

Wczoraj mi jakiś chłopak jego przyniósł.

OPALIŃSKI.

Lecci wie o tem?

TWARDOWSKI.

Wie; był wtedy u mnie.

OPALIŃSKI.

A ciebie list ten, czy nie zastanowił?

TWARDOWSKI.

Wyznaję szczerze, żem ciekaw spotkania.

OPALIŃSKI *(z wahaniem).*

Czy wiesz ty, Szczęsny, że... że ludzie mówią...
Że tyś już także... *(milknie zakłopotany).*

TWARDOWSKI *(z uśmiechem).*

Zapisał się dyabłu?

OPALIŃSKI *(prędko).*

Lecz ja nie wierzę *(powoli z wahaniem).* Cho-
[ciaż wierz mi Szczęsny,
Że to przyjaźni mejby nie zmniejszyło...
Tyś zawsze wielki!

TWARDOWSKI.

(powstaje gwałtownie i chodzi dużymi krokami po pokoju).

Wielki! zawsze wielki!
O, ludzie dziwni! — Jakże mało trzeba,
By w waszych oczach wielkim—wielkim!—
[zostać!...
Jam wielki?!... *(staje przed Opal.)* Słuchaj,
[czyli ten jest wielkim,
Co widząc w koło bezrząd, nędzę, zbytki,
Któremu pęka serce na ten widok,
Który upadek ojczyzny swej widzi,
Ojczyzny, co jest treścią jego życia —
I nic nie umie poradzić, nic zmienić?
Czy ten jest wielkim, co czując bezsilność,
Ręce bezwładnie opuszcza na łono
I obojętnie patrzy na to wszystko,
Co wyszukaną męczarnią rwie serce?...
(stopniując) Czy ten jest wielkim, co prądowi
[złemu
Daje się porwać i unosić zawsze?...
Gorzkie szyderstwo się mieści w tem słowie,
Dla mnie, którego wy wielkim zowiecie, —
O! bom bezsilny, słaby jak kobieta!!...
(p. k. m., spokojniej, ale gorzko).
Mówią, żem dyabłu zapisał swą duszę!
Szaleńcy! — Dyabła daleko szukają;
Niech się obejrzą — znajdą go przy sobie,
Bo z nich połowa już jest opętaną! —
Szatan opętał naszą Polską drogą,
Wkradł się w najwyższe klasy społeczeństwa
I do najniższych znalazł przystęp łatwy:
Patrzycie na to — nie pojmując tego;
Ja patrzę na to — i mnie serce pęka...
O, bo... Wiesz Jerzy, kogo zwałbym wielkim?...

Gdyby kto wyzwał szatana do walki,
Umiał zwyciężyć, ojczyznę swą zbawił, —
Za taką cenę, warto oddać duszę!...
Wielkim był Krakus, który smoka zabił,
Bo swą ojczyznę uwolnił od plagi; —
Lecz dziś minęły już Krakusów czasy,
Dzisiaj — umieją podziwiać swych przodków,
Dziwić się czynom ich — o nich rozprawiać
I nimi chlubić się, siedząc bezczynnie
Przy swej dziewczynie, albo przy węgrzynie...
(p. k. m., w marzeniu).
Niedawne czasy... Ja na nie patrzyłem,
Tak było błogo, tak szczęśliwie u nas...
Polska jaśniała pomiędzy państwami
Że przeznaczoną zdała się zawładnąć
Losem Europy... A chociaż już wtedy
Buta u szlachty, rozterki i kłótnie
Poczęły trwożyć widza bezstronnego,
Tom przecież ufał, że nasz Zygmunt August,
Który prowadził świetnie ojca dzieło,
Potrafi wszystko zakończyć szczęśliwie.
Byłem spokojny: Wszak patrzyłem na to,
Jak on pomimo oporu silnego
Unią, dzieło wiekopomne stworzył —
A dzisiaj—dzisiaj—Dziś ten Zygmunt August
Babom się oddał i swym zausznikom,
Którzy go kradną i kraj okradają...
Upadł dobrobyt włościan, treści kraju,
Znikła powaga nasza w obec innych;
U panów buta—serwilizm u kmieci,
Waśnie, rozterki, zamieszanie straszne...
My w przepaść lecim... *(szyderczo)* Twar-
[dowski z wszystkimi,
Wielki Twardowski leci wraz z wszystkimi...
(krótka pauza).

OPALIŃSKI.

Mój Szczęsny, jesteś wielkim pessymistą...

TWARDOWSKI.

Mój Jerzy, jesteś wielkim optymistą; —
Wszyscy różowo na tę rzecz patrzycie:
I wam wybaczam; — zguby nie widzicie...
Ale ja patrzę w tę przyszłość okropną,
Widzę już otchłań, w której niewstrzymani
Musimy zginąć — i słyszę piekielne
Śmiechy szatanów na łup czyhających —
I jestem zimny, spokojny, bezczynny,
Miasto szatana wyzwać, hydrę stłumić,
Ręce upuszczam bezwładnie na łono,
Zamiast rzec śmiele: Wzywam cię, szatanie!!...
(wchodzi Maciek)

Scena druga.

CI SAMI. MACIEK.

MACIEK.

Proszę pana, jacyś państwo chcą się widzieć
[z panem.

TWARDOWSKI.

Kto taki?

MACIEK.

Ja nie wiem. Zdaje mi się, że to małżeństwo, a ona cosik słaba — tak dziwacznie rękoma rzuca i gada od rzeczy.

TWARDOWSKI.

Proś!

(Maciek odchodzi).

OPALIŃSKI.

Czy mam odejść?

TWARDOWSKI.

Wejdź tam do sypialni.

(Opaliński odchodzi drzwiami po prawej).

Scena trzecia.

TWARDOWSKI. MEFISTOFIL. CZARNY KSIĄŻĘ *(jako brat i siostra).*

(Mefistofil w ubiorze mieszczanina. Czarny Książę w postaci pięknej dziewicy skromnie, ale gustownie czarno ubrany).

CZARNY KSIĄŻĘ *(Siostra).*

(wchodzi, zbliża się do Twardowskiego)

To mój kochanek?... Ah, to on! poznaję!

(Twardowski cofa się zmieszany).

MEFISTOFIL *(Brat).*

Przychodzę prosić pana o poradę.
Siostra ma chora... *(wskazuje na czoło).*

TWARDOWSKI *(nie spuszczając oka z Siostry).*

Ah! rozumiem pana!
Upraszam usiąść.

BRAT *(do Siostry).*

Usiądź siostro moja.

SIOSTRA.

(siadając nie odwraca od Twardowskiego oczu).

Czy on mnie nie zna?... Wszakże znać powi-
[nien...
Kiedy bujałam po obłokach lotnych... *(przed wzrokiem Twardowskiego zmuszoną jest spuścić oczy. Na pół z drżeniem:)*
Chodźmy braciszku. Tu nie moje miejsce.
Tu ciasno strasznie—i on— on— mnie nie zna...
(spuszcza głowę) A tam—wesoło, tak swobodnie
[w górze...
(zamyślona opiera na ręce głowę).

BRAT. *(półgłosem do Twardowskiego).*
Jest obłąkaną.
TWARDOWSKI *(nie odwraca oczu od* SIOSTRY)
Czy trwa to od dawna?

BRAT. *(j. w.)*
Od trzech miesięcy. Jest całkiem spokojną,
Lecz zdaje jej się, że w chmurach mieszkała,
Dziwi ją wszystko, co widzi wokoło
I szuka jakby swojego kochanka.

SIOSTRA *(jakby w zadumie).*
Niewierny obłok rzucił mnie na ziemię,
Aby mi wskazać mojego kochanka —
I sam uleciał — a mój — mój najdroższy
(kryje twarz w dłonie)
Nie chce mnie teraz — Obłok mój uleciał —
Czemu uleciał?... *(płacze).*

TWARDOWSKI. *(cicho do* BRATA)
Wejdziemy w jej myśli,
A może znajdziem środek uleczenia.
(do Siostry) Powiedz mi pani, co widziałaś w [górze?
(Chce wziąć jej rękę w celu zbadania pulsu).

SIOSTRA. *(usuwa rękę).*
Widziałam smutek, żal i narzekania.
Wielki tłum ludzi w złocistej krainie,
Jak zanieczyszczał i brudził to złoto; —
(podnosi wzrok na Twardowskiego)
Widziałam męża, który ich przerastał;
Gwiazda boskości zdobiła mu czoło,
Że zdawał bogiem się nad tymi ludźmi.
Ale on nie chciał wznieść się nad te tłumy
I razem z nimi poruszał się chwiejnie...
I orzeł biały lecąc krakał do mnie:
„Patrz, mógłby bogiem być u ludzi, ale
„Nie ma dość siły, związać się z duchami!"
TWARDOWSKI *(zapominając się).*
Na Boga! siłę posiada, lecz nie chce!
(opamiętawszy się, wzrok spuszcza i mówi spokojnie, znów oczy podnosząc)
Mów pani dalej... Ja — się zapomniałem...

SIOSTRA.
Jaskółka chyża przelatując, rzekła:
„Biada mężowi, że brata się z tłumem,
„Gdy mu niebianie mogą być podlegli!"
I znów skowronek zaświergotał w locie:
„Patrz—twój kochanek—unieś go w obłoki!"
I tuż pod obłok zsunęła się tęcza,
Białe gołąbki wprzęgły się do chmurki
I po tym łuku spłynęłam na ziemię....
(Twardowski wstaje i przechadza się po pokoju).
Ale ten obłok uleciał — uleciał —
I mnie tak tęskno — kochanek mnie rzuca —
Tęskno za chmurką — za towarzyszkami....
(opiera głowę na ręce).

TWARDOWSKI *(do brata).*
Kto Waćpan jesteś? Kto jest twoja siostra?

BRAT.
Jam biedny pachciarz. Ludzie mi mówili,
Że w mojej siostrze sobie upodobał
Bóg sam, ażeby mówić przez jej usta....
Potem radzili, bym wiódł ją do pana.
Cóż sądzisz, panie?
TWARDOWSKI. *(więcej do siebie w zadumie).*
W tej pięknej postaci
Anioł lub szatan obrał swe mieszkanie.
Lecz nie — nie... Szatan nie mógłby się ważyć
Dotknąć tej cudnej postaci dziewiczej....
I — grzechem może byłoby ją leczyć....

SIOSTRA. *(wstaje, do Brata).*
Chodźmy braciszku. Może znajdę tęczę,
A może znajdę tego, co jest wielkim.

TWARDOWSKI *(szybko).*
Pozostań pani. Zostań jeszcze chwilkę....

BRAT.
Masz pan nadzieję wyleczyć mą siostrę?

TWARDOWSKI.
Ja nie wiem jeszcze. Muszę parę pytań
Zadać jej jeszcze. *(n. s.)* Cóż jej mam powie- [dzieć?
(głośno) Powiedz mi pani, czy żadne z tych pta- [sząt
Coś nie mówiło... *(n. s.)* Czyżem ja szalony?!...
Wszak obłąkaną mam tu do leczenia....
O tej chorobie mówi Hippokrates....
Jak dziwny wzrok jej! Co za postać luba!

SIOSTRA.
(patrząc na Twardowskiego ciągle do Brata):
Czemuż czekamy?

TWARDOWSKI *(głośno).*
Podaj mi twą rękę.
(bierze podaną rękę szukając pulsu)
(n. s.) Dziwny żar luby z jej ręki przechodzi...
Ah.... tracę zmysły.... Tętna nie znajduję...
(odrywa rękę gwałtownie i na pół się odwraca)
Co mi się stało?! Czyż i jam oszalał?!....

SIOSTRA *(j. w.)*
Czemu czekamy?

TWARDOWSKI.
Czy ci nie mówiło
Żadne z tych ptasząt — że on — on nie może—
Mając rodzinę — różne obowiązki --
Że — że — nie może — boby tem się splamił —

SIOSTRA.
(jeszcze patrzy na Twardowskiego, który wzrok spuszcza. Wtedy odwraca się od niego do BRATA)
Chodźmy, braciszku. *(patrzy przypadkowo [przez okno)*
Patrz — patrz — dwa gołąbki!

(Podbiega do okna, opiera się o nie i śpiewa lub deklamuje).

„Gołąbeczku, kochaneczku,
„Od rodzinnych lecisz wrót!
„Czyż ci źle już w twem gniazdeczku?
„Dokąd, dokąd zwracasz lot?"

„„Gołąbeczko, kochaneczko,
„„Wrócę, wrócę wkrótce znów,
„„A powitam me gniazdeczko
„„Jako zgromca dzikich lwów!!""

„Gołąbeczku drogi, luby,
„Nieopatrznie lecisz w świat!....
„Wszak do pewnej lecisz zguby;
„Szkoda twoich młodych lat!"

„ „Gołąbeczko moja biała
„ „Wielkim, sławnym muszę być!
„„Lepiej, by mnie śmierć porwała,
.. ..Niż mam tu w ukryciu żyć!""

„Gołąbeczku miły, złoty
„Czyż ci tak już nas źle,
„Że opuszczasz nas sieroty,
„Gniazdko, żonę, dzieci swe?"

„ „Gołąbeczko, kochaneczko,
„ „Zabiłbym ja lwa tuż tuż,
„ „Lecz mi ciebie żal, żoneczko,
„ „Więc chyba zostanę już!" "

Chachachachachacha! —
Chodźmy, braciszku!

TWARDOWSKI.

[*który podczas tej deklamacyi skropił sobie skronie wodą święconą pod obrazem Maryi,—staje zupełnie spokojny przed Siostrą i mówi zimno:)*
Powiedz gołąbkom swoim, piękna pani,
Że nadaremna była ich rozmowa. *(groźnie)*
I czary twoje były nadaremne:
Śmiech zdradził ciebie! Tak się szatan śmieje!
(do Brata) Siostra twa, panie, przez czarnego [księcia
Jest opętaną. Szkoda tej postaci,
Szkoda tych włosów i ślicznej twarzyczki —
Jeżeli jednak pragniesz ją uleczyć,
Musisz dać ostrzydz te jej piękne włosy,
A potem głowę jej zlewać codziennie
Trzy razy rano, trzy razy wieczorem,
Wodą święconą z chrzcielnicy katedry.

BRAT *(cicho).*

Ciszej mów Waćpan. Wszakże ona słyszy!

TWARDOWSKI.

Nic to nie szkodzi. Ona nic nie słyszy,
I tylko szatan, co w niej mieszka, słyszy.
Proszę przyjść do mnie za trzy dni, lub cztery,
Lecz przedtem ściśle wypełnić, com zlecił.

SIOSTRA.

(wieszając się na ramieniu brata, ze śmiechem)
Głupiec Twardowski, choć myśli, że mądry.

TWARDOWSKI. *(groźnie).*

Apage! Zamilcz, przeklęty szatanie!

SIOSTRA. *(seryo i rozkazująco do Brata).*

Chodźmy!

BRAT. *(żegnając się z Twardowskim).*

Wypełnię twe panie, zlecenia.
(Wychodzą).

Scena czwarta.

TWARDOWSKI, OPALIŃSKI *(wchodzi).*

OPALIŃSKI.

Jakieś szczególne miałeś odwiedziny.

TWARDOWSKI.

Śliczna dzieweczka jakaś opętana.
Szkoda, tak piękna....

OPALIŃSKI.

Czy da się wyleczyć?

TWARDOWSKI.

Miejmy nadzieję. Słuchajno, mój Jerzy,
Muszę iść teraz do miasta, by Stelli
Na jutro wybrać jakiś podarunek.
Jutro obchodzim rocznicę zaślubin.
Dziś popołudniu nie będę miał czasu,
A do objadu jeszcze dwie godziny —
Trzeba korzystać z czasu. Pójdziesz ze mną?

OPALIŃSKI.

Chętnie. *(zbierają się do wyjścia)*
Rocznica to już sześcioletnia?

TWARDOWSKI.

Już sześcioletnia. Czas ten szybko przeszedł,
Choć tyle różnych wypadków zawierał!

OPALIŃSKI.

Cóż jej wybierzesz?

TWARDOWSKI.

Coś już wynajdziemy.
(woła) Maciek! *(Maciek wchodzi).*
Jeżeli się pani zapyta,
Powiedz, żem poszedł do miasta. Powrócę
Niebawem. Jeśli kto przyjdzie, niech czeka.
Gotóweś, Jerzy?

OPALIŃSKI.

Gotów jestem.

TWARDOWSKI.

Chodźmy. *(wychodzą).*
(Scena przez chwilkę pusta).

Scena piąta.

STELLA TWARDOWSKA. FERNANDO LECCI *(z lewej strony).*

FERNANDO.

(za sceną do Maćka, podczas gdy Stella już wchodzi i przystępuje do biurka Szczęsnego).

Słuchaj, Maćku, z tym listem pójdziesz do pana Ocieskiego, a tymczasem my tu poczekamy na pana i ciebie usprawiedliwimy.

MACIEK.

Dobrze, proszę pana. Będzie jaka odpowiedź?

FERNANDO.

Nie. Możesz zaraz wracać. *(wchodzi).*

STELLA.

(przez całą tę scenę z niepokojem widocznym). Tu jego sekretarzyk, — a w tej skrytce.... ma swoje papiery....

FERNANDO. *(przystępując z kluczem)* Możemy więc —

STELLA. *(powstrzymując go).*

Nie, Fernando, nie teraz. Może wkrótce wrócić. Mógłby popołudniu spostrzedz, że nie ma tych papierów. Wieczorem go nie będzie i wtedy....

FERNANDO.

Powtarzam ci, Stello, że teraz sposobność najlepsza: wieczorem czem innem będziemy zajęci i pewnie nawet dogodnej sposobności nie znajdziemy do dostania się tutaj. Pozwól mi, Stello....

STELLA *(j. w.)*

Nie, nie, Fernando! A może ci nie tak koniecznie potrzeba tych papierów....

FERNANDO.

Wiesz Stello, że koniecznie.

STELLA.

Może ktoś nadejść....

FERNANDO.

Maćka wysłałem na drugi koniec miasta. Nikt nam nie przeszkadza.... Jeśli mnie kochasz, to mi dozwolisz....

STELLA.

(siada przy biurku, osłabiona oporem i zakrywa sobą szufladę).

Jeśli cię kocham, Fernando.... Czyż ci nie daję dowodów?.... Ale to zbrodnia!.... To kradzież!....

FERNANDO.

Kradzież? Jeśli to czynię dla dobra jego?

STELLA.

Ja nie mogę w to wierzyć, aby mu to korzyść przyniosło....

FERNANDO.

Czyż nie widzisz tego, że na największe niebezpieczeństwo naraża się przez te skrypta?.... Że to gardłowa sprawa?.... Gdy ciebie straci, na nic oglądać się nie będzie i da je wytłoczyć, a wtedy....

STELLA.

Cóż ty chcesz uczynić z tymi papierami?

FERNANDO.

Spalę je.

STELLA.

Dlaczegóż ty chcesz na jego korzyść pracować? Ja tego nie pojmuję!

FERNANDO.

Bo jestem jego przyjacielem i chcę go uchronić od najgorszych następstw, jakie mu zgotuje moje sprzeniewierzenie się, gdy silniejsze uczucie, aniżeli przyjaźni, każe mi go obrabować z najdroższego klejnotu. *(obejmuje Stellę).*

STELLA *(nie broniąc się).*

Fernando, ja ci chcę wierzyć, a nie mogę... Ty może i mnie.... Ah Fernando, gdyby....

FERNANDO.

Dziecko jesteś, Stello. Nie traćmy czasu.... *(zbliża się znów z kluczem).* Wszak mówiłem ci. że tylko za tę cenę....

STELLA.

Za tę cenę.... ja przecie tego nie pojmuję.

FERNANDO.

Nie wyjadę stąd, póki pewnym nie będę, że że go uchronię od tego niebezpieczeństwa. Jeśli nie chcesz, to nie wyjmę tych papierów, ale także.... nie będziemy mogli wyjechać....

STELLA.

Przecież ja chcę ci.... *(oddala się, ale znów się zbliża i powstrzymuje Fernanda).* Fernando, czy spalisz te papiery tu, zaraz?....

FERNANDO.

Ależ to niemożliwe: — spostrzegłby popioły natychmiast, domyśliłby się i bylibyśmy przedwcześnie odkryci.

STELLA.

A — a dasz mi — a przysięgniesz mi na wszystko, co masz najdroższego, że spalisz te skrypta?

FERNANDO *(ze złośliwym podstępem).*

Przysięgam na to, co mam najdroższego, na miłość moją ku tobie!

STELLA.

To mi nie wystarcza, Fernando! Przysięgnij na — na — cóż u ciebie jest świętego? — *(ciągnąc go do obrazu).* Na Matkę Boga mi przysięgnij!

FERNANDO.

Stello, czy ty kochasz jeszcze męża?

STELLA.

Ja — ja nie wiem. On mnie nie umie kochać i ja — ja go nie kocham. — Ale obawiam się popełnić zdradę. — *(Ciągnie go znów do obrazu).* — Chodź!

FERNANDO. *(odpychając ją gwałtownie).*

Cicho! Ktoś idzie!.... (śpieszy do biórka i wyjmuje szybko papiery. Stella chce mu przeszkodzić, ale widząc, że za późno, załamuje ręce).

STELLA.

Przysięgnij!!....

FERNANDO. *(szybko odchodząc).*

Nie zapomnij o dziewiątej!

(Stella pada osłabiona na krzesło).

—o—

Zmiana.

Scena szósta.

(Las koło Bierzanowa: miejsce schadzek polskich dyabłów i dyablic. Około kotła w głębi po lewej stronie rozłożeni gwarzą kaduki, dowódcy legionów piekielnych; jest ich siedmiu, a między nimi trzy kobiety, PYSZKA, MOKOSZ, ZIEWONIA, ZAZDRA, KRODE, JODUT I FLINT. *Odznaczają ich różnej barwy i różnego kształtu pancerze, tarcze, miecze i hełmy; częścią na nich, częścią leżące na ziemi. Gromady legionistów i legionistek w różny sposób się zabawiają; roznoszą kubki i dzbany rarachy fantastyczne. Postacie po większej części nadobne; stroje mogą być dziwaczne, ale nie odrażające. Więcej na przodzie sceny stoją i rozmawiają porucznicy dyabelscy:* BORUTA, MARCHUŁT, POPIEL I DYABLICA MARNA.).

BORUTA.

Myślisz, że to się ukryje? O zakład, że Czarny Książę już wie o niefortunnej twojej wyprawie i swoim zwyczajem za karę zamieni cię albo w puszczyka i osadzi na straszaka w starem zamczysku, albo w ropuchę przy jaskini eremita przysłuchującą się pacierzom, lub też w pająka w dzwonnicy cmentarnej.

MARCHUŁT.

Lepiej nam się zwierz, w czem ci się nie powiodło, a może ci poradzim.

MARNA.

Jesteś nowicyuszem, więc nie znasz ludzi, choć sam byłeś człowiekiem. Stare wygi, jak my, cenne ci mogą dać wskazówki. Mów, co ci się stało?

POPIEL.

Oj co nowicyusz, to nowicyusz. Pięć blisko wieków macerowano mię w piekle; gdy na świat puszczono, przypomniało mi się, czem byłem jako człowiek: ale świat tyle się zmienił! Ludzie tacy inni!

BORUTA.

Nie dziw, że z nimi rady dać sobie nie możesz i popełniasz omyłki. Radź się starszych.

MARCHUŁT.

A przedewszystkiem pełń ślepo, co ci nakazano; na własną rękę niczego się nie podejmuj.

POPIEL.

Kiedy to czasem tak łatwo, a czasem tak trudno! Człowiek do człowieka niepodobny.

MARNA.

Więc mów nam o swojej przygodzie. Gdzie otrąciłeś sobie rogi?

POPIEL.

A więc słuchajcie. Błędny Ognik polecił mnie i Poświstowi z chmarami strzyg, pokus, widm, upiorów i strzygoniów psoty robić przez całą noc w ogródku starego Gintowta, pana Bierzanowa. Hulaliśmy też, co się zowie, a niejeden ze swawoli wpadł to w pszczołę, to w puhacza, to w szczura, to w świnię i używał. Jakoś po północy ujrzałem skradającego się pod ogród skośnookiego hajduka. Choć jeszcze dotychczas nie próbowałem, wzięła mię chętka opętać człowieka. I nad podziw mi się udało. Biedak sam siebie pewnie nie poznał, gdy zaczął szaleć. Nie puściłem, póki jednemu chłopu uszu nie obciął, drugiemu nóg nie połamał, a dziewięcioletniego dziewczęcia na śmierć nie zamęczył. Wyleciawszy z niego, już kiedy świtało, spostrzegłem pana Bierzanowa w lekkiej odzieży porannej. Chciałem w nim sobie pohulać i z wielkim animuszem wpadłem na niego....

MARCHUŁT.

I otrąciłeś sobie rogi? Chachacha!

POPIEL.

Gdybyć to tylko! Człowiek to pozornie słaby, bezsilny, ledwie odziany. A jednak w chwili dotknięcia go odczułem u niego jakoby miecz ostry, tarcz twardą, pancerz nieprzebity: miecz rogi mi otrącił, pancerz milionem ukłuł szpilek, puklerz odbił mię jak piłkę,iż koziołkując w tył, aż na stary dąb w lesie tutejszym upadłem.... Co to za człowiek?....

BORUTA.

Tego nie tykaj. Po ludzku, pancerz chrztem się nazywa, puklerz bierzmowaniem, a miecz chlebem w ciało zmienionym.

MARCHUŁT.

Tak zbrojnych znajdziesz w Polsce dużo. Bez rozkazu i bez przygotowań niema do nich przystępu.

POPIEL.

A przygotowania?

MARNA.

Są różne. Gdy się uda znaleźć chwilę, że miecz odłożony, można podstępem i puklerz ściągnąć, a wtedy da się przebić i pancerz. Ale to kaduków zadanie, a ci z wyższych tylko rozkazów z wielkiemi ostrożnościami do tego się biorą. Dopiero gdy przystęp otwarty, młodsi wejść mogą.

MARCHUŁT.

Tymczasem się nie obawiaj: jużeś ukarany, więc zapewne płazem ci to ujdzie. Co najwięcej Błędny Ognik na kilka dni do piekła cię odeśle.

BORUTA.

Otóż i on. Ale co za dziwną przyprowadza figurę? Ach, to Mefistofil!

(Wchodzi Błędny Ognik z Mefistofilem).

CZARCI I CZARCICE.

(zerwawszy się i przyłączywszy się do grupy na przodzie).

Hurra Mefisto! Skąd tu się wziąłeś? *(Popiel, Boruta, Marchułt i Marna usuwają się w głąb).*

MEFISTOFIL.

(kłania się z elegancyą, zdejmując czapkę).

Kłaniam waszmościom!

BŁĘDNY OGNIK.

Ma chwilę wolną, przyszedł nas odwiedzić.

PYSZKA.

Spuścił go Faust ze smyczy? *(Śmiech).*

MEFISTOFIL.

Ktoś ty, ćmo pstrokata, pawico napuszona? *(śmiech).*

BŁĘDNY OGNIK. *(śmiejąc się).*

Muszę ci ich przedstawić, bo choć oni znają ciebie, ty ich w polskiej powłoce zapewne nie poznajesz. *(Wskazuje na Pyszkę).* Oto Pyszka, alias Here, alias Wąż rajski, pierwszy z kaduków. Na tarczy swej ma już sto trzynaście ók pawich: tyle za jej sprawą namnożyło się już wyznań w Polsce. Hufiec jej ciągle czynny i rozlatuje się często za granicę, by zdobycz do Polski wprowadzać. Ona sama aż na dwór królewski się dostawała i swych dyablików w głowy sekretarzy królewskich powkręcała. Raz nawet udało się jej wieść konia królewskiego ku naszej stodole; łotr w białym habicie jednak przeszkodził.

MEFISTOFIL.

Zakonnik? Z takimi ja umiem sobie dawać radę. Marcinek mój to był pupil.

MOKOSZ.

Oj, łżesz, Mefisto! Luter bił się z tobą i kałamarz rzucił na ciebie!

MEFISTOFIL.

Cóż to znowu za brodacz?

BŁĘDNY OGNIK *(ze śmiechem).*

Mokosz, nasz weteran. Dużo wieków spędził w Polsce: za Kazimierza Wielkiego osadził tu „lud wybrany" i nad nim roztacza opiekę. Ma wielką przyszłość i dzisiaj powoli, lecz pewnie, nienasycone, wiecznie głodne żołądki swych baranków zapełnia lekkomyślnością możnych paniczów tracących mienie swych ojców. Legion jego troić się musi, tyle ma zajęcia.

MEFISTOFIL.

Śmierdzące zajęcie. Winszuję, ale nie zazdroszczę. — A cóż to za synogarliczka? Ot, gdybym ją miał przy sobie, możeby Faust ani Małgorzaty ani Heleny nie szukał!

BŁĘDNY OGNIK.

Ziewonia, nasza, Afrodyta, Voluptas, znana ci przecie. Mocno przydatna ze swym hufcem dyabliczek; śpiewa jej chwałę piewca z Czarnolasu, bo odkąd Książę ją tu sprowadził, „granaty na pługi skowano, a w przyłbicach kwoczki siedzą." Stroje, zabawy, lubieżność, — oto kwiatki przez nią hodowane.

MEFISTOFIL.

A ta druga kumoszka?

BŁĘDNY OGNIK.

Zazdra, przez Księcia z Ziewonią ściągnięta. Ma z sobą legion z pięciu różnobarwnych oddziałów, w pięć różnych warstw narodu pędzonych, by waśnie, zazdrość, niezgody szerzyły i w jednym narodzie pięć wrogich, kąsających się wzajemnie, odmiennych gromad tworzyły. Kmiecie, mieszczanie, szlachta, duchowieństwo i dwór królewski, — to pięć zębów jej wideł, którymi zgartuje plon piekła.

MEFISTOFIL.

Piękne towarzystwo, ani słowa! — Tych trzech to poznaję, chociaż w przebraniu: to Bakchus, Wulkan i Saturn.

BŁĘDNY OGNIK.

Lecz trochę odmienne ich zadania i nazwy zmienione. Krode z Bakchusa w Polaka zmieniony, uczy tu szlachtę jeść dobrze, pić lepiej i pasa popuszczać; Jodut żarzewie gromadzi u granic mało obronnych i dmucha w płomienie nienawiści sąsiadów; Flins zaś błogą obojętność, bezradność i prywatę rozsiewa jak ziarna makowe....

MEFISTOFIL.

Potężne to moce nagromadził wasz Czarny Książę! Fiu, fiu, siedmiu czarcich kaduków ze siedmiu legionami, nie licząc milionów czerni rozmaitej, a i ciebie do pomocy! Dziw tylko, że takiem go zaufaniem Lucyfer obdarzył, boć to nie szatan z szatanów, tylko człowiek zszataniony!

BŁĘDNY OGNIK.

Snać dla celów piekła najlepszy.

MEFISTOFIL.

I wy go słuchacie? Wyście mu poddani? Czy nie poniżenie to dla was?

ZIEWONIA.

Co to? Chcesz nas buntować, Mefisto?

MEFISTOFIL.

Nie żałby zbuntować takie czarnobrewy i zabrać do Niemiec. Szalenie tam nudno: tu z wami wesoło.

ZAZDRA.

A szatanów i czartów taom na łańcuchu prowadzą uczeni!

KRODE. *(wskazując na Mefistofila.)*.

Ut figura docet.

JODUT.

Bardzo cię męczy twój doktór?

FLINS.

Opowiedz nam co o Fauście!

INNI KADUCY.

Opowiedz, opowiedz! Psia służba, nieprawdaż?

MEFISTOFIL.

Głupiście wy! Więcej ja tam mogę, niż wasz Czarny Książę, wraz z wami i legionami waszymi, choć mniej doborowy i mniej liczny mam personal. On bawi się tu polityką i jednostkami pogardza: my tam jednostki kształcimy, by na masy działały i nam służyły, napędzając je gromadami w nasze więcierze.

PYSZKA.

Przechwałki twe niczem w obec faktu, że za głupich wy w oczach ludzi uchodzicie. „Dummer Teufel!" was zowią Niemiaszki; nas głupimi nikt nazwać się nie waży.

KADUKI.

„Dummer Teufel!" Chachachacha! Głupi Mefisto na łańcuchu u Fausta!

BŁĘDNY OGNIK. *(śmiejąc się)*.

A czy to się godzi tak gościa wyśmiewać? Hejże rarachy! Miodu gościowi! A potem niech się wytłómaczy!

(Służba dyabelska nadbiega z dzbanami i kubkami, które napełnia).

MEFISTOFIL. *(biorąc kubek)*.

Chyba oczarował was Książę i oślepił bez ratunku. Cóż on? Czy aby choć jedną wędę wynalazł?

MOKOSZ. *(pijąc wraz z innymi)*.

A cóżeś ty wynalazł hanswurszcie?

KADUKI. *(wznosząc kubki ze śmiechem)*.

Niech żyje hanswurszt Mefisto!

MEFISTOFIL.

A proch strzelniczy?

FLINS.

Mnicha wynalazek!

MEFISTOFIL. *(ironicznie)*.

Przez białego Anioła podszepnięty, nieprawdaż?.... A druk?

JODUT.

Cóż druk? Czy także węda piekła, czy także twój wymysł?

MEFISTOFIL.

Otóż wasze zacofanie, jeżeli doniosłości druku nie znacie! Nasi to niemieccy uczeni, bez naszych specyalnych trudów, całe nam trzody napędzają do sieci za pośrednictwem drukowanych swych pomysłów przez nas im wstrzykiwanych. U was tu jeszcze odłogiem ta ze sztuk największa.

BŁĘDNY OGNIK.

Nieprawda. Wiem, że Czarny Książe dużo wagi do sztuki tej przywiązuje i teraz dopiero pojmuję jego różne w tym względzie polecenia.

MEFISTOFIL.

To jeszcze nie wszystko. Coś nowego mam na myśli i gęby pootwieracie, kiedy zobaczycie skutki.

ZAZDRA.

Oho! Mefisto chce całe państwo porwać do piekła! *(Śmiech)*.

MEFISTOFIL.

Śmiejcie się, ale śmiać się nie będziecie, gdy z czasem całą ludzkość do piekła sprowadzę. Mam plany....

KRODE.

Cichojcie! Mefisto ma plany!

MEFISTOFIL.

Pewnie, że mam plany. Pokazywałem je Lucyferowi, który.... No, on powiada, że to od wieków już istnieje, ale to nieprawda, bo co istnieje, jest pstrokacizną głupią bez sensu i bez systemu. Ja system zaprowadzę.

ZIEWONIA.

Mefistofilku, co chcesz uczynić?

MEFISTOFIL.

Stworzę modę!

ZAZDRA.

Co to jest moda?

MEFISTOFIL.

Co to jest moda? Patrz, to jest moda! *(Porywa porzucony kocieł, obraca go dnem do góry, wybija w nim dziurę i wkłada na Zazdrę w ten sposób, by dokładnie wyglądał jak krynolina)*. Patrz, oto jest moda!

ZIEWONIA *(obracając się)* I PYSZKA.

To jest moda?

MEFISTOFIL.

To dla kobiet. A to znowu dla mężczyzn! *(Odrzuca płaszcz i ukazuje się w czarnym surducie niezbyt długim).*

PYSZKA.

Ogon ci widać, Mefistofilu! Fi! Jak nieprzyzwoicie!

MEFISTOFIL.

(Obraca się w kółko szybko, a podczas tego, gdy się pochyla, Zazdra wciska mu na głowę porwaną ze ziemi krótką rurę z kotła z nasadą, tak, iż okrycie głowy ma kształt cylindra). Ogon mi widać? *(Do Ziewonii).* Chodź-no tu kochaneczko!

ZIEWONIA *(zbliża się).*

Czego chcesz?

MEFISTOFIL.

Odedrzyj-no mi te poły. *(Ziewonia to czyni).* A teraz przyczep z tyłu! *(Kiedy Ziewonia wykonywa to zlecenie, nowy strój Mefistofila o ile możności wygląda jak frak niezbyt dziwaczny).* A co?.... Nie widać ogona?.... Ma foi! To musi wejść w modę!

PYSZKA.

Dummer Teufel! Czy myślisz, że ludzie tacy głupi?

MEFISTOFIL.

Im głupszy wymysł, tem łatwiej się przyjmie, wierzcie wyjadaczowi. A teraz pokażę wam, jak ich nauczę tańcować.

KADUKI.

Tańcować? Nowy taniec?

MEFISTOFIL.

Utrafunkennagelneu! Cudowny taniec, w czasie którego u tańczących setki lufcików dla dyablików się otworzą. Tylko spojrzyjcie! Hej tam muzyka!

(W czasie gdy mówił, bierze w pas Zazdrę w krynolinie, przyciska do siebie i puszcza się w taniec, podczas gdy z drzew, skał, krzaków i dziwacznych instrumentów kilku dyablików odzywa się piekielna i szalona muzyka w tempie szybkiego walca).

KADUKI I DYABLI.

Dummer Teufel! Taki śmieszny! Ano spróbujmy! *(Taniec staje się ogólny).*

Scena siódma.

(Piorun. Nagle wszystko znika i przez parę sekund najkompletniej czarną i niewidzialną staje się scena. Następują szybko po sobie dwa pioruny. Ukazuje się w oświetleniu różowem grupa następująca: Na podwyższeniu utworzonem z pnia, lub odnogi grubego korzenia, stoi Czarny Książę w środku, zwrócony twarzą ku publiczności. Ma strój męski, nieco przypominający węgierskie ubrania, czarny ze ziotem szamerowaniem: w ręku małe berło. We włosach długich rozpuszczonych, dyadem lub mała korona. Przed nim w półkolu kaduki w pełnej zbroi, z hełmami na głowach, klęczący na lewem kolanie, odwróceni od publiczności. Po prawej jego stronie stoi nieco niżej Błędny Ognik; po lewej Mefistofil w swym płaszczu czerwonym i w czapce z piórem koguciem: stoi z rękami założonemi i patrzy na Czarnego Księcia pół-drwiąco, ale z niejakim podziwem).

CZARNY KSIĄŻĘ.

(daje znak berłem, wszyscy powstają).

Hej, dość wesoło przyjmujecie gościa!

MEFISTOFIL.

Bom ich rozruszał. Ty ich tu zanudzisz.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Kto z was się nudzi?

WSZYSCY.

Nikt, nikt! Łże Mefisto!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Niema też czasu na nudy tu u nas.
Mam sprawy pilne, więc każdy bez zwłoki
Niechaj się uda na swe stanowisko,
I ściśle pełni moje polecenia.
Zaznaczyć możem sukces niepośledni:
W Parczewie rozszedł się sejm tam zwołany,
Łby szlachty w ogniu, plon obfity pewny.
Lecz z innej strony grozi nam błysk nowy,
Który zrujnować może naszą pracę,
Jeśli w zarodku zgnieść go nie zdołamy. — —
Ile ók pawich masz na tarczy, Pyszko?

PYSZKA *(chełpliwie).*

Dziś sto trzynaste właśnie dołączyłam.

CZARNY KSIĄŻĘ *(surowo).*

Zbytnią odznaczasz mi się gorliwością!
A jakiej liczby żądałem od ciebie?

PYSZKA *(zmartwiona).*

Siedmdziesiąt tylko. Ale ja sądziłam...

CZARNY KSIĄŻĘ *(ostro).*

Nie sądzić twoją jest rzeczą, lecz słuchać!
Krótkowidząca, nie wiesz, coś zbroiła,
I wybaczonem ci jeszcze to będzie.
Lecz weź te ślepia i spojrzyj w około:
(C. K. podaje Pyszce małą lornetkę, którą miał zawieszoną na łańcuszku u pasa, podaje jej rękę, wciąga na podwyższenie ku sobie i wskazuje ramieniem w głąb sceny. Pyszka przykłada do oczu przyrząd, który natychmiast przedłuża się w dość długą podwójną lunetkę i patrzy ze wzrastającem przerażeniem, podczas gdy C. K. mówi):

Twych sto trzynaście gadzin, żądła swoje
Na siebie wzajem groźnie dziś wystawia;
Pyrchają, syczą, kłują się wzajemnie,
A z ich posoki nowe gady rosną,
Lecz nędzne, słabe, choć złe, choć zacięte.
A spojrzyj dalej, jak ich moc jest nędzną:
Na widok smoka rzymskiego łby kryją
I w mysze dziury ukryć się starają.

(Pyszka upokorzona zstępuje i zsuniętą lornetkę oddaje Czarnemu Księciu).

Do walki z smokiem ja mieć zamierzyłem
Potężną hydrę siedmdziesięciogłową,
A mam dziś nędznych gadów sto trzynaście!
To zmienić trzeba a zmienić dziś trudno,
Bo piekłu łatwo zło płodne utworzyć,
Ale jednoczyć nieskończenie trudno...
Słuchaj mię teraz. Król nosi się z planem
Poruczyć pracę nad wiar zjednoczeniem
Uczonym ludziom. Moja już w tem głowa,
By rozkaz dostał Andrzej Frycz Modrzewski,
A nie Twardowski, jak to król zamierza.
Do Modrzewskiego przystęp mamy łatwy:
Jest sekretarzem królewskim, jest chłopem,
Z szlachtą na bakier, z chłopstwem poróżniony,
Na Aryanów nowinki ciekawy, — — .
Otóż go pilnuj. Przy jego pomocy
Może naprawisz błędy popełnione.

(Daje znak, by odstąpiła. Mefistofil ziewa głośno i siada na pniu).

Mokosz mi powie, jak stoi z Herburtem.

MOKOSZ.

Nasz jest. Kompletnie prawie zrujnowany,
W łapach lichwiarza, żyda Augsburgera,
A w dobrach jego znaczony chłop każdy:
Ten nos, ten ucho, ów kciuk ma obcięty;
Dziewki zaś w inny sposób są znaczone...
Bruździ nam Hanna.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Nic to. Ja wiem o tem;
Na to nie zważaj. Mam w tem własne plany.
Ognik ci jeszcze pożyczy Popiela,
Który skosztował już ludzkiego ciała:
Niechaj z nim hula wedle twych wskazówek.
Zbliż się Joducie!

(Mokosz odstępuje, zbliża się Jodut).

Właśnie Kommendoni
Przybył do Polski z poselstwem raz wtóry,
W celu wciągnięcia jej w boje z Turkami.
Staraj się, aby przeszedł bez przeszkody
Aż do Warszawy, bo chcą mu po drodze
Stawiać przeszkody jego przeciwnicy. —
Flins niech wystąpi!

(Jodut się cofa, Flins występuje).

O pięćdziesiąt kroków
Za karczmą zwaną na Rozdrożu, właśnie
Biedna żebraczka upadła z znużenia;
W parku Herburtów przechadza się Hanna:
Weź na się postać wiewiórki swawolnej,
By zgrabnym pląsem i figlarnym susem
Wywabić Hannę z parku, przez drożynę
Aż na to miejsce, gdzie znajdzie żebraczkę,
Ażeby pomoc zaniosła biedaczce. —

MEFISTOFIL *(do publiczności).*

To się nazywa: przypadkowość zdarzeń.
Dowcip to stary i nieba i piekła.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ziewonio!

(Flins cofa się; występuje Ziewonia).

Pojdziesz do zamku Knyszyna.
Fogelfedera lekarstwa u króla
Niedobry skutek wywarły i znów król
Zawezwie rady bab albo znachorów.
Zgubić go mogą. Włóż więc zdrowie—ziele
Między lekarstwa, które mu zgotują.
Nadto zaś włosy Barbary Giżanki
Ściemnisz cokolwiek, łuk brwi zaokrąglisz,
By podobieństwo do Radziwiłłównej
Było zupełne. Spiesz się; sprawa pilna.

(Chwila milczenia).

MEFISTOFIL.

Słuchajno Książę: długo będziesz nudził?
Mam z tobą mówić, a tu chyba zasnę.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Śpij zdrów. Obudzę cię, kiedy czas przyjdzie.

(Przybiera ton bardzo surowy).

Zazdra pięcioząb odda w moje ręce.

ZAZDRA.

(przerażona i rozgniewana cofa się krokiem)
Za co?

CZARNY KSIĄŻĘ *(groźnie).*

Boś słaba, głupia, niedołężna!
Przez twe to błędy nie do przebaczenia
Powstają skały może niezdobyte,
Które pokruszą może wiele rogów!
Czemu to Popiel ma rogi złamane?

ZAZDRA *(ze złym uśmiechem).*

A więc o tego błazna tobie chodzi?
Mogłam przewidzieć: pomiot to człowieczy.
Nie dziw, że w tobie znalazł protektora!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Podła! Wiesz dobrze, o co ciebie pytam.
Dlaczego skałą dziś jest dom Gintowta?
Dlaczego staruch, którego już Krode
Za połę chwytał, któremu i Pyszka
W głowie mąciła z znacznem powodzeniem,
I u którego nawet twój Paramuz
Wkradał się zgrabnie i w serce i w głowę.
Dlaczego dzisiaj stał się nietykalny?
Kto temu winien?

ZAZDRA *(ponuro).*

Nie ja. Inne sprawy
Miałam ważniejsze. Nie dbałam o niego.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak to? Nie dbałaś? A czyż najwyraźniej
Ci nie kazałem mieć na niego oko?

ZAZDRA.

Jakiegoś Jurka tam Skarga im wkręcił...

CZARNY KSIĄŻĘ.

I ty cofnęłaś się przed pacholęciem,
Nie wybadawszy, co zacz, z czego złożon!
A to pacholę czartów wypędziło
I żaden szatan nie wie, skąd ma moc tę!

ZAZDRA.

Od Skargi ma ją. Skarga jest Aniołem.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Skarga jest w Wiedniu przy synu Tęczyńskich.
Lecz dość mi rozpraw! Niezliczone szkody
Twe niedołęstwo zrządziło w mych planach,
Pięciozą̨b oddasz w ręce Paramuza,
Ty zaś — —

ZAZDRA *(zuchwale).*

Kończ, Książę!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ty swoją zapłatę
W piekle odbierzesz za zdradzieckie czyny!

ZAZDRA.

(z tłumioną wściekłością zbliża się ku Czarnemu Księciu)

Mylisz się, Książę! Przeceniasz swą władzę!
Jam jest czarica, a nie płód człowieka;
Ja mam swą godność od świata stworzenia,
(powoli i z przyciskiem).
Mnie sam Lucyfer tylko sądzić może!

CZARNY KSIĄŻĘ.

(z groźnym majestatycznym spokojem wyciąga rękę)

A więc osądzi ciebie sam Lucyfer!
(Pioruny, pośród których robi się na scenie zupełnie jasno; Zazdra przerażona pada na kolana, i wznosząc ręce upuszcza pięciozą̨b u stóp Czarnego Księcia. Rozwiera się pod nią ziemia i chłonie ją, poczem z głębi płomienie się ukazują. Gdy Czarny Książę rękę opuszcza, ziemia się zawiera. Czarny Książę wskazując na leżący pięciozą̨b, mówi do Błędnego Ognika):

Oddasz buławę tę Paramuzowi,
Który się zgłosi do mnie po rozkazy.

(Zwracając się do wszystkich, z uprzejmym już uśmiechem).

Możecie rozejść się do waszych zajęć;
Pamiętać jednak proszę com polecił,
By bez przeszkody drogę odbył Lecci,
Który ze Stellą Twardowską uchodzi,
Aż do tej karczmy, co jest na granicy:
Tam zaś zatrzymać się musi koniecznie,
Póki ja dalszych nie wydam rozkazów.
Ufam, że będę z was kontent, jak zawsze.
(Wszyscy się rozchodzą; pozostaje Czarny Książę z Mefistofilem).

Scena ósma.

CZARNY KSIĄŻĘ. MEFISTOFIL.

CZARNY KSIĄŻĘ *(z uśmiechem).*

Cóż to tak dziwnie mi się przypatrujesz?

MEFISTOFIL.

Wiesz ty, mój Książę, że ciebie zaskarżę?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mnie? A to za co?

MEFISTOFIL.

Za cześć przywłaszczoną,
Do jakiej prawo ma tylko Lucyfer.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Cześć? — Ty się mylisz. Miłują mnie tylko.

MEFISTOFIL *(żartobliwie)*

Piękną twarzyczkę twą, nieprawdaż, Książę?
(p. k. m.)
Hm, cóżem winien, żem nie tak powabny?
Zda się, że w piekle w tobie się kochają;
Mnie — Fausta dali; tobie — Twardowskiego;
O mnie tam milczą — a ciebie tak sławią,
Jakbyś tu cudów dokonał na ziemi.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Widocznie jakaś zachodzi różnica.
Faust — ciebie zmusił, abyś jemu służył;
Ja Twardowskiego zmuszę, by mnie wezwał;—
Faust—ciebie wodzi ze sobą, gdzie zechce;
Ja—Twardowskiego zawiodę, gdzie nie chce.
Faust—to figura wyschła, nędzna, sucha,
W nim żądza wiedzy ułatwia zadanie,
On wszystko stracił,—skeptycyzmem zdjęty,
Popsuty długiem przeżyciem się, chwycił
Za czary głupie, by mieć gust do życia:
Ale Twardowski, bez skazy, bez grzechu,
Bez żądzy żadnej i bez słabej strony,
Bogaty, w życiu domowem szczęśliwy,
Prawdziwie mądry, gorący patryota,
Dyabła nie boi się, bo wierzy w Boga,—
Walki się nawet z dyabłem podjąć pragnie;
Tego zwyciężyć i tego przymusić,
By dobrowolnie sam się oddał duchom,

Oto Czarnego Księcia godny problem.
Ty się zabawiasz jednostką przeżytą —
Ja w ręce biorę całe państwa losy;
Tobie o Fausta chodziło jedynie,
U mnie Twardowski podrzędną figurą,
O tyle ważną, że szkodzi mym planom,
Że go usunąć z spraw publicznych pragnę
I zwrócić jego do spraw osobistych.

MEFISTOFIL.

Katby się w sprawy państw całych chciał [mięszać!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Godne szatana tak piękne zadanie.

MEFISTOFIL.

Piękne!... Pięknego też sobie wybrali!
Gdyś przyszedł do nas—pamiętam jak dzisiaj—
Wszakże nosiłeś Efialtesa imię — —

CZARNY KSIĄŻĘ *(groźnie)*

Zamilcz!!....

(łagodniej, ale bardzo seryo)

Mefisto, co na świecie było,
O tem się nigdy nie rozmawia u nas...
(Podczas tego, co następuje, Mefistofil układa włosy Czarnego Księcia w wysoką fryzurę, tak, iż tego C. K. nie widzi. Przy końcu Mefisto bierze się za boki i patrzy figlarnie na Czarnego Księcia. Czarny Książę mówiąc to, co następuje, to siada na pniu, to wstaje, według uczuć, które nim miotają; Mefistofil przy tem komiczne wyprawia gesta, aby ufryzować Księcia na sposób XVIII wieku, nie zdejmując korony z głowy)
Byłem na świecie szatanem, ohydą, —
I za to przecież dzisiaj cierpieć muszę;

(gorzko)

Za to mam własnem staraniem sprowadzić
Tyle występków podobnych mojemu,
W tylu mych wnukach odrodzić się zdrajcą—
I tyle razy czuć ból, który czułem—
Tam—w Termopilach—ile żyć zgubiłem,
Ile oburzeń ludzi zasłużyłem
I ilu jęków stałem się przyczyną...
Któż ma pojęcie...?
Mefisto, ty cierpisz
Także, bo każdy z nas cierpi za karę,
Nikt z was jednakże tej męki nie znosi,
Którą... *(boleśnie)*
Me serce do Polski włożono.
Ono korzenie zarzuciło mnogie —
W niej Grecyę drugą odnaleźć musiałem,
Lecz stysiącznionem życiem i uczuciem.
I każdy jęk jej, każde tętno, los jej
Rwie w straszny sposób me pośmiertne ciało.
Oh! piekło nie zna tych boleści strasznych,
Których doznawać tu muszę przez wieki, —
Jak każdy objaw tu błogosławieństwa
Strasznem szarpnięciem rozrywa mnie, rani—
Tysiąckroć szarpie w tysiącu mych życiach
We wnukach moich — — *(szatańsko)*
Zygmuncie Auguście!
Szczęsny Twardowski! Na was kolej teraz,
By mnie katować — lecz biada wam, biada!
Biada nasieniu, które zasiewacie,
Biada krajowi, w którym mieszka zdrada!...
(Chodzi rozdrażniony. Uspokaja się z wolna i staje przed Mefistofilem, który żartobliwie patrzy na niego).
(łagodnie):
Mefisto, tyś winien; dajesz mi się unieść;
Pocóż wspominać o tem, co minęło?...
(nagle)
Cóż na mnie patrzysz?

MEFISTOFIL *(podając mu ręczne zwierciadło).*

Popatrz do źwierciadła.
To wejdzie w modę, jak prababkę kocham!

CZARNY KSIĄŻĘ.

(z niechęcią, rozpuszczając napowrót włosy)
Ach! tobie figle, ciągle figle w głowie!

MEFISTOFIL.

Lustig Bruderku! Zatańczymy walca!

CZARNY KSIĄŻĘ *(j. w.)*

Mefisto, przecież ciebie nie pojmuję!

MEFISTOFIL.

Trochęm wesoły, bo Faust nie jest przy mnie.
Djablo poważna to figura — wiesz ty,
Że od tysięcy lat znów poraz pierwszy
Niedawno usnąć musiałem, gdy zaczął
Swą filozofią dręczyć mnie i nudzić.
Aby więc teraz znów nie zasnąć, kiedy
Ty tu zacząłeś treny swe wywodzić,
Musiałem sobie wynaleźć zabawkę.

(na pół przez łzy)

Lustig, Bruderku! Chcesz? Zatańczym sobie!

(coraz rzewniej)

Ot, by na chwilę zapomnieć — *(płacze)*

CZARNY KSIĄŻĘ *(śmieje się)*

Cha, cha, cha,
Głupi Mefisto!

MEFISTOFIL *(otrząsając się ze wzruszenia).*

Alem cię rozśmieszył.
Słuchajno, jak ty chwycisz Twardowskiego?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Jak ja go chwycę? Zdradą, mem rzemiosłem;
Zdradą usunę go od spraw publicznych;
(każdy wyraz „zdrada" tonem przeraźliwego szyderstwa)

Lecci go zdradził — zdradziła go żona —
Zdradzi go Maciek — zdradzi Opaliński —
Hanna go zdradzi — jego matka zdradzi —
I on też zdradzi Polskę swą kochaną.
(szyderczo)
Sztuki jednakże dokaże niezwykłej,
Jeżeli zdradzić i dyabła potrafi.

MEFISTOFIL.

Tego wszystkiego ty — ty chcesz dokonać?!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tego dokonam ja — ja, Czarny Książę.

MEFISTOFIL.

Ale podziękuj mnie przynajmniej, bracie,
Wszak ci to Fausta tutaj sprowadziłem.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mefistofilu! Więc naprawdę sądzisz,
Iż Faust przez twoje zabiegi tu przybył? —
Mnie to potrzebne było do mych planów
I ja was obu tutaj sprowadziłem.

MEFISTOFIL.

Ty tu—nas obu—? Więc chcesz we mnie [wmówić,
Że dyabeł dał się opętać przez dyabła?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Powiedz mi bracie, skąd tuście się wzięli?

MEFISTOFIL.

Pewien podróżny dużo nam nagadał
O tym Twardowskim, więc chciałem go poznać.
I Fausta także wkrótce namówiłem,
Tak, — że nareszcie—zboczyliśmy z drogi —

CZARNY KSIĄŻĘ *(z uśmiechem)*.

A ten podróżny...?

MEFISTOFIL.

(patrzy na niego uważnie, nareszcie pojmując).
To ty byłeś, książę?!
(uderza się w czoło)
Lecz mnie oszukać! Mnie starego wygę!
Niechże ci nóżka za to skopytnieje!
Sam dyabeł prawie mógłby ciebie bać się
Tyle podstępu w tej pięknej postaci!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Zło pięknem być musi,
Inaczej nie skusi.

MEFISTOFIL.

Nie chciałbym siedzieć, w skórze Twardow- [skiego!
Słuchaj, więc żywcem nam jego przyniesiesz?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Jeśli go prośba matki nie obroni.

MEFISTOFIL.

Prośba — pro— prośba jego matki może——?

GŁOS FAUSTA *(za sceną)*.

Mefisto!

MEFISTOFIL *(przestraszony)*.

Doktor! *(szybko odchodzi)*.

CZARNY KSIĄŻĘ *(patrząc za scenę)*.

Twardowski się zbliża!
(uderza nogą o podłogę i zapada się).

Scena dziewiąta.

TWARDOWSKI, MACIEK.

W chwilę później FAUST.

TWARDOWSKI.

(wchodzi na scenę, ogląda się w koło i spostrzega Maćka kryjącego się za drzewa).
(z marsem)
Maciek! Tu tutaj skąd się znowu wziąłeś?

MACIEK *(zmieszany)*.

Ja — ja — przyszedłem —

TWARDOWSKI *(groźnie)*.

Idź zaraz do domu!
(widząc zmartwienie Maćka, daje mu rękę do pocałowania, i mówi łagodniej)
Ja się nie gniewam — ale — idź do domu.
(Maciek odchodzi, ale w czasie następnych scen wraca i kryje się za krzaki).

FAUST.

(spuszczając się na płaszczu lub wchodząc z za kulis)
Witam cię Mistrzu! *(podaje rękę Twardow- [skiemu)*.

TWARDOWSKI.

Mistrzem ciebie witam!

FAUST *(z uśmiechem)*.

Mistrz stary wita młodego tem mianem.

TWARDOWSKI.

Faust zawsze młody: — nie ciałem, to duchem.

FAUST.

Męką duch młody w przestarzałem ciele.

TWARDOWSKI.

U Fausta nigdy! Duch ciało odmładza.

FAUST.

I duch nakoniec znuży się młodością:
Wszystko rozpoznać, w wszystkiem znaleźć [nicość,
Poznać, że niczem jest człowiek w przyrodzie,
Że Bogiem—duchem złączon z ziemią—ciałem
Pragnień duchowych nieskończenie wiele,
Zaspokojenia w świecie bardzo mało
Doznawać musi przez całe swe życie, —
Oto jest chyba cel życia człowieka.
Duch mój jest może pragnieniem swem młody,
Lecz doświadczeniem nieskończenie stary;
Już prawie pragnie zrzucić tę powłokę,
I wznieść się wolno ku nieskończoności. —
Swawolą boską jest to połączenie:
Niech ciało martwe w martwości zostaje,
A duch niech wolno buja po wszechstrzeni.

TWARDOWSKI.

Przeciwnie sądzę: boskie to złączenie,
Boska zachcianka i boska potęga
Z ciała martwego, z punkcika wszechświata,
Zrobić istotę, co światom panuje,
Zdoła je poznać, pojąć, sobie poddać.
Boska to moc w tem, uszlachetnić twór swój,
Dając mu część swej twórczości i władzy.
Piękne zadanie ma człowiek w udziele:
Jeżeli dążąc do uszlachetnienia
Stanie się godnym tej boskiej zachcianki,
Gdy tę powłokę, nędzne, martwe ciało
Postawi w równi z najwyższą istotą.

FAUST.

Lecz nędzny człowiek tego nie potrafi,
Jeśli mu wolne, niezwiązane duchy
Boskością swoją nie dadzą pomocy.

TWARDOWSKI.

Boskość w nim mieszka: niech z tego korzysta.

FAUST.

Lecz jego ciało obezwładnia boskość.

TWARDOWSKI.

Ciało za słabe, by na duch wpłynęło.

FAUST.

Mamy dowody, że aż nadto silne.

TWARDOWSKI.

A te dowody?

FAUST.

W tysiącu przykładach:
Duch sam nas wiedzie ku nieskończoności,
Ku rozpoznaniu wszech rzeczy w stworzeniu;—
A jeśli duch nasz jest cząstką boskości,
To także zdoła objąć sobą wszystko; —
Lecz ciało nasze, zlepek prochu ziemi
Wzbrania mu wznieść się, ciągnie go ku ziemi
I nie pozwala spojrzyć w nieskończoność.
Tylko jeżeli duch wolny od ciała,
Bóg, anioł, albo nawet duch ciemności
Z swoją pomocą przyjdzie człowiekowi,
Wtedy dopiero można pojąć wszechświat,
Pojąć jak strasznem *nic* jest marność ziemi!
Bóg z Aniołami w Swoim majestacie
Dumnie spogląda na ten nędzny twór swój,
Tajemniczością się lubi okrywać
I nie da sobie spojrzeć oko w oko.
Lecz za to szatan gotów na usługi
Stawi się, jeśli go się wezwie tylko:
Więc Bóg sam winien wzywaniu szatana.

TWARDOWSKI.

Dziwię się, mistrzu, twoim sofizmatom.
Jeżeli człowiek powstanie na ziemi,
To do wyboru stają mu dwie drogi:
Już starożytni bajką o Herkulu
Tego dowiedli, że wiedzieli o tem.
Jedna i druga wiodą go do celu,
Którym jest zawsze przecież nieskończoność.
Cnotę obrawszy ma się życie piękne,
A nieskończoność stokrotnie piękniejszą,
Bo tysiąckrotnie w niej szczęście się zyska,
Które tu w życiu nam było w udziele. —
Kto złą obierze, zyska obrzydzenie,
K' samemu sobie już w tem krótkiem życiu,
W nieskończoności—w tysiąckrotnem życiu.
Drogą poznania zowiesz drogę drugą?
Marność marności ona okazuje; —
Lecz chciej zapytać o to także pierwszą,
A wskaże pewnie, że życie jest skarbem,
Że nie nicością, nie znikomym punktem
Jest nasze życie, lecz nieśmiertelnością,
Jeśli kto umie go użyć jak trzeba.
Nieśmiertelnością tu każdy czyn dobry,
Bo nieskończenie wiele innych rodzi; —
Nieśmiertelnością tu każde odkrycie,
Bo dla milionów będzie pożytecznem;
Nieśmiertelnością samo imię nawet:
Męża wielkiego nikt nie zapomina!
Kto siebie patrząc, wzniesie się nad tłumy,
Dla siebie żyje i sobie dogadza,
W złą drogę puszcza się, by zyskać szczęście:
(Szczęście znikome, nie szczęście prawdziwe),
Ten sieje kąkol pomiędzy pszenicę,
Co ciągle owoc bujniejszy wydaje — —
Odpowiedzialność ten bierze na siebie
Za tyle złego — nie ile uczynił,
Lecz ile ono później napłodziło.

FAUST.

Dziwna, mój panie, twoja filozofia:
Odpowiedzialność? Złe sumienie może?
Na cóż to życie, jeżeli go nie mam
Sobie ukształcić, jak mi najprzyjemniej?
Na cóż się męczyć? Dla nieśmiertelności?
Tę zyska pewnie Faust, szatana władca
Prędzej, niżeli Twardowski, mąż święty.
Odpowiedzialność? To mrzonki mój panie!
Patrz, ja, Faust, nie mam bynajmniej sumienia
I mnie z tem dobrze, — bo żyję jak pragnę.

TWARDOWSKI.

Wszak sam mówiłeś mi, że życie całe
Tobie się przykrzy,—że radbyś je rzucić,
Boś niesmak znalazł w niem, marność marności!
Szatańska wiedza i szatańska mądrość
Tam doprowadza, dokąd ty zaszedłeś.
Dla mnie zaś życie ma piękne znaczenie.
Walczyć z złem, swoją okazać potęgę,
Wskazać, że niższym będąc od boskości,
Przecież się większym jest od duchów nocy,
Wyzwać szatana, by jego pokonać, —
Walką zaciętą, chociażby morderczą,
Pokusom oprzeć się i zwalczać zdrady —
Oto jest godne człowieka zadanie!

Wtedy to zyska się zadowolenie,
Zamiłowanie do ziemskiego życia. — —
A kiedy koniec niezmienny się zbliży,
Z pogodną twarzą można patrzeć w przeszłość,
Rzec sobie: „byłem czemem być powinien!" —
Nieśmiertelności Twardowski nie pragnie
W swojem imieniu — tylko w cichych czynach
Lecz jeśli kiedy—jeśli czas ten przyjdzie,
Że wyzwać będzie musiał duchów nocy,
To i zwycięży; — wtedy jego imię
Z pewnością Fausta nazwisko przerośnie.

FAUST.

Z szatanem walczyć! Żałuję cię, mistrzu.
Może dasz wkrótce dowód, czy potrafisz!

TWARDOWSKI *(w zamyśleniu).*

Może dam dowód... Ojczyzna ma kona,
A z każdym jękiem jej śmiertelnym u mnie
Budzi się siła i energia czynu.
Czas może blisko...

FAUST.

O i nadto blisko!

TWARDOWSKI *(zdziwiony).*

Co mówisz, Mistrzu?

FAUST.

Ja — nic nie mówiłem. —
(P. k. m.)
Dziwna to polska ta miłość ojczyzny.
Ojczyzna?!—Cały świat moją ojczyzną!
Ziomek mój? Rodak? Ludzkość moim ziomkiem,
Ludziom należę, a nie szmatom ziemi.

TWARDOWSKI.

O Mistrzu, zostaw Polakom ojczyznę!
Masz żądzę wiedzy — tej ci nie zazdrościm —
Zostaw nam miłość ku drogiej opczyźnie!

FAUST.

Lecz jako człowiek jej się dziwić mogę.
Wszak ludzkość dążyć powinna, ażeby
Jeden był owczarz i jedna owczarnia!
Lud jeden, język, prawo, wszystko jedno!

TWARDOWSKI.

To niemożliwa. Miłość ku ojczyźnie
Nas uszlachetnia i jest nam wrodzoną.

FAUST.

Ah! uszlachetnia! Frazes oklepany!
Lecz rozum zimny — czyż ci nie powiada —
Wszak filozofii doktorem zostałeś —
Czy nie powiada, że to mrzonki tylko,
Że szlachetniejszą ludzkość cała będzie,
Gdy ziemię — swoją uczyni ojczyzną?

TWARDOWSKI.

Rozum tam milknie, gdzie mówi uczucie.

FAUST.

Czyż ma być panem rozumu uczucie?

TWARDOWSKI.

Nie, — ale w parze iść zawsze powinny.

FAUST.

Rozum, duch boski, podnosi człowieka.

TWARDOWSKI.

Rozum ma także i szatan, — a miłość
Ma tylko Bóg sam i twór jego, człowiek.

FAUST.

Są to frazesy. Wszakżeś filozofem:
Filozoficznie wytłómacz patryotzm.

TWARDOWSKI.

I to uczynię; — chociaż rzecz tę świętą
Rozumowaniem się może znieważa. —
Czy mógłbyś, Mistrzu, mi to wytłómaczyć,
Czemu nam drogie są związki rodzinne?

FAUST *(z uśmiechem).*

Nie, panie, podstęp ten ci się nie uda:
Ja w bracie widzę innego człowieka —
I sądzę jego także jak człowieka.
Nie miałem brata; lecz gdybym go miał był,
Z pewnością takżebym tak sądził, wierz mi,

TWARDOWSKI.

Lecz siebie kochasz?

FAUST.

Temu nie zaprzeczam.

TWARDOWSKI.

A, gdybyś, Mistrzu, innego człowieka
Z twemi wadami i z twemi cnotami
Ze swoją twarzą i z swojem uczuciem
Znalazł na ziemi;—czyżbyś jego kochał?

FAUST.

To wątpię bardzo. Przymioty-bym uznał, —
Wady potępiłbym jednak stanowczo.
Kochać jednakże? Dla przymiotów kochać?
Ja nie pojmuję żadnego kochania.

TWARDOWSKI.

Prócz egoizmu?

FAUST.

I to nie kochanie; —
Chęć dogodzenia sobie i nic więcej.

TWARDOWSKI.

Mistrzu! Czyż nigdy — nigdy nie kochałeś?
Rodziców swoich — lub tylko kochankę?

FAUST.

Każdy był przecież raz w życiu szaleńcem.
Tak jest, kochałem;—lecz cała ta miłość
Tem się skończyła,—czem—zwykle się kończy.

TWARDOWSKI.

Więc nie znasz, Mistrzu, miłości prawdziwej?
Żałuję ciebie;—to i patryotyzmu
Nie pojmiesz pewnie. Jeśli w obcym kraju,
Między obcymi, odmiennymi ludźmi,

Napotkasz ziomka—mowę swą usłyszysz;
Wśród obcych krajów znajdziesz swe zwyczaje,
I może domek tak wybudowany,
Jak w Heidelbergu inny jaki domek —
Czyż nie ucieszysz ty się na ten widok?
Czy żywiej serce nie uderzy w łonie?...

FAUST.

Może—nie przeczę—Ale tu w Europie
Wszędzie zwyczaje i wszystkie jednakie,
A mowa sama,—strój, są bez znaczenia.

TWARDOWSKI.

Lecz udowadniasz tem swojem wyznaniem,
Że lubisz przecież te swoje zwyczaje.
A jeśli każdy najdrobniejszy szczegół,
Jeśli i mowa i strój,—wszystko, wszystko,
W czem przez swe życie całe się wzrastało,
Z czem nieoddzielnie łączy się już byt nasz,
Bez czego obcym nam się świat wydaje,—
Jeśli to wszystko łączy nas z ziomkami,
Jeśli jak w domu, w ojczyźnie się czujem,
Jakżeż nie kochać tej swojej ojczyzny?

FAUST.

To nie kochanie. To chciwość wygódek,
Których gdzie indziej, u innych brak może.

TWARDOWSKI.

A jakżeż nazwiesz życzenie gorące,
Aby ziomkowie ci, cała ojczyzna
Wzorem dla innych była przymiotami?
Życzenie, aby tym braciom w ojczyźnie,
Błogo, szczęśliwie życie upływało?
Czyż to życzenie nas nie uszlachetnia?
Wszakżeż z życzenia powstaje działanie!
A to życzenie—to miłość ojczyzny.

FAUST.

To duma tylko, pycha narodowa,
Pragnienie, aby przed światem brylować,
By módz się chlubić pochodzeniem stamtąd,
Gdzie jest najwyższa potęga, lub świetność.

TWARDOWSKI.

Ale pojmujesz przecie tę pychę, mój Mistrzu?
Przyznajesz przecie, że ma racyę bytu?

FAUST.

Może—nie przeczę—ja jej sam doznaję,
Lecz to nie miłość, powtarzam, lecz pycha.

TWARDOWSKI.

A jeśli kiedy ojczyzna w potrzebie,
Gdy mimo tego, każdy z synów wiernych
Pragnie, by w dawnej świetności powstała,
Jeśli on nigdy nie jest apostatą
I innej obrać ojczyzny nie pragnie
Jeśli swe życie za nią odda chętnie —
Czy to pojmujesz?

FAUST.

Możebym i pojął,
Choć sambym nigdy nie był tak gorącym.
Lecz tego także nie zwałbym miłością:
To połączenie jest pychy, ze żądzą
Wygódek. Sądzę, że to rzecz widoczna.
A to pragnienie śmierci za ojczyznę
Wyradza wojny, największe zło w świecie.

TWARDOWSKI.

Wojen nie pragnie dobry patryota:
On w innych pragnie widzieć swych przyjaciół,
A w ziomkach swoich za to widzi braci.
Wojny są tylko malum necessarium,
Które się znosi, bo znosić się musi,
Póki nie wstanie jakiś mąż niezwykły,
Co zło usunie środkiem radykalnym.
Dość, że pojmujesz te wszystkie uczucia:
Wolno ci nazwać to, Mistrzu, jak zechcesz,
Ja to nazywam miłością ojczyzny; —
Bo ja sam siebie przy tem zapominam
I tylko widzę Ojczyznę w mych celach.

FAUST.

I dla niej pragniesz, choćby walkę stoczyć
Z duchem ciemności?...

TWARDOWSKI.

Choćby walkę stoczyć...
(p. k. m.) Lecz nie czas jeszcze...

FAUST *(zagadkowo).*

Kto wie? Może dzisiaj...

TWARDOWSKI *(zdziwiony).*

Jak to rozumiesz?

FAUST *(z uśmiechem, wzruszając ramionami).*

Dzisiaj masz sposobność.
(wskazuje w około)
Tutaj królestwo jest Czarnego Księcia,
Stąd on rozsyła swoich wysłanników
Po całej Polsce;—tutaj uknuł plany,
Które krzyżują twe piękne zamiary — —
I nawet teraz, kiedy rozmawiamy,
Słyszy nas pewnie. —

TWARDOWSKI.

On jeszcze bezsilny!
Jeszcze Twardowski ma środki, zniweczyć
Wszystkie te plany szatańskie i zdrady... —
— Niechaj mnie słyszy!

FAUST.

Żałuję Cię, Mistrzu;
Dziś tyś bezsilny!

TWARDOWSKI.

O, świat się przekona,
Czylim bezsilny!

FAUST.

Nie—ty się przekonasz!...
(p. k. m.)
(patrząc na Twardowskiego badawczo).
Jest pokój ładny. W nim drzwi troje wiedzie
W trzy różne strony. Przy głównych drzwiach
[stoi
Wielki stół, na tym rozliczne papiery,
Obok zaś wielkie krzesło staroświeckie.
Po lewej stronie od drzwi tych, tam znowu,
Gdzie drzwi prowadzą do sypialni skromnej
Jest sekretarzyk...

TWARDOWSKI *(przerywając, zdziwiony).*

Cóż to znaczy, Mistrzu?
To jest mój pokój!

FAUST.

W tem biurku, na górze
Są dzieła różne wyborowe. Jest tam
Przy Kochanowskim Modrzewski, Górnicki,
Długosz i Kottwicz, Czepiel, Zaborowski,
Dalej Kopernik, Brudzewski, Łańcucki,
Gdzieś tam głęboko Wrocławski, Stebnicki...

TWARDOWSKI *(j. w.)*

Ja się nie dziwię, Mistrzu, że wiesz o tem:
Wszak posługujesz się swoją wszechwiedzą,
Którą zyskałeś od Mefistofila.
Lecz cóż powiedzieć chcesz przez to?

FAUST.

W tem biurku
Jest pewna skrytka...

TWARDOWSKI *(przerażony).*

FAUST.

W niej cztery pakiety
Wstążkami pięknie, starannie związane.

TWARDOWSKI *(schmurzony).*

Znasz treść ich, Mistrzu?

FAUST.

O, znam ją dokładnie!
Przed laty pięciu, czy sześciu,—nie pomnę,—
Szczęsny Twardowski, ożywion zapałem,
A widząc braki różne w swej ojczyźnie,
Pragnął skutecznie im cicho zaradzić.
Starał się zyskać innych zagorzalców
Słowem, podstępem i jak tylko umiał,
Aby z pomocą mu wierną stanęli.
Najprzód chodziło mu, by butę panów
Śmiało ukrócić, potem, by stan kmiecy
Podnieść, oświecić,—wreszcie, by ojczyźnie
W razie potrzeby nieść skuteczną pomoc.
Więc związał z sobą kilku równie młodych,
Którzy pisemnie się zobowiązali
Czynem i słowem wspierać jego cele.
By ich być pewnym, Twardowski zażądał,
Aby mu dali dowody na piśmie,
Iż seryo rzecz tę traktują. I oni
Dali na piśmie, tak, że gdyby kiedy
Pisma te w inne ręce mogły popaść,
To mnóstwo osób się skompromituje.
To pakiet pierwszy. W drugim zaś pakiecie
Ciekawe rzeczy, wielkie tajemnice,
Z dokumentami są nagromadzone
O tych magnatach, co są niebezpieczni
Czy to swą dumą, czy też swą chciwością.
Czy żądzą sławy na koszt swej ojczyzny, —
A to w tym celu, aby ich uczynić
Nieszkodliwymi, gdy zajdzie potrzeba,
Tą skandaliczną kroniką ich życia.
Pracy to wiele, — wiele kosztowało;
Ale Twardowski podjął się tej pracy
I tak uzyskał ten pakiecik drugi.
W trzecim pakiecie są znów pamiętniki
Samego Mistrza, prześlicznie spisane,
O państwie polskiem, o jego upadku,
O groźnej całej perspektywie państwa,
O planach różnych, jak temu zaradzić, —
Nic tam nie szczędzi waleczny Twardowski,
Króla samego przed sąd ostro stawi,
Nawet na dworzan najśmielej uderza,
Co niebezpieczniej jest, niźli na króla. — —
W pakiecie czwartym są jego papiery.

TWARDOWSKI.

(słuchał z początku schmurzony, potem z czołem coraz jaśniejszem. Teraz mówi z uśmiechem):
Cyż sądzisz, Mistrzu, że to broń za słaba,
By zwalczyć nawet i Czarnego Księcia?
Mam wielu, bardzo wielu sprzymierzonych;
Wielu uczynię znów nieszkodliwymi —
Czegoż obawiać się przy świętej sprawie?

FAUST.

Niczego prawie, oprócz chyba zdrady. —
O tych papierach wiedzą ci jedynie,
Którzy należą też do sprzysiężenia, —
A między tymi najprzód Opaliński,
A potem Lecci...

TWARDOWSKI.

O, tych jestem pewny!

FAUST *(z zimnem szyderstwem).*

Lecz Lecci dzisiaj papiery te wykradł
Na prośby wszystkich w tem udział biorących
I dał je wszystkie tym, co go prosili.

TWARDOWSKI *(przerażony).*

To podstęp, kłamstwo!!...

FAUST *(zimno, ironicznie).*

O, nie z mojej strony:
Wszak obojętną mi jest cała sprawa.
Wykradł i oddał pakiet pierwszy Strańskim,

Pakiecik drugi wraz z trzecim Herburtom,
A pakiet czwarty zachował dla siebie.

TWARDOWSKI *(z wzrastającym niepokojem).*
To niepodobna! Mistrzu, ty wybaczysz,
Ja muszę odejść...

FAUST.
Zaczekaj chwileczkę.
(woła).
Mefisto!

MEFISTOFIL *(zjawia się).*
Jestem!

FAUST.
Sekretarz doktora!
(przygotowany za sceną sekretarzyk wnoszą dyabli niemieccy i odchodzą. Mefistofil zostaje. Twardowski przypada do biurka i nie mogąc otworzyć szuflady, wyrywa ją).

TWARDOWSKI.
Zdrada!!...

FAUST *(szyderczo).*
Oto jest miejsce po temu:
Wołaj, a Książę stanie na wyzwanie,
Gdy chcesz z nim walczyć.

TWARDOWSKI *(patrząc na swe biurko ciągle).*
Nie, to być nie może!
(przegląda papiery i ogląda biurko)
Moje papiery! Moje biurko! *(otwiera znów szufladę i odtrąca biurko tak gwałtownie, iż książki, papiery i biurko padają na ziemię)*
Zdrada!!...

FAUST *(z zimną obojętnością).*
Zdrada. —
(do Mefistofila)
Mefisto! Jedziem do Hellady!
(unoszą się na płaszczu).

Scena dziesiąta.

TWARDOWSKI. MACIEK *(w ukryciu).*

TWARDOWSKI.
(stoi przez długi czas z załamanemi rękoma nad biurkiem. Tonem złamanym)
Zdrada!...
(po długiej chwili, patrząc w niebo, z początku powoli, głosem tłumionego bólu, potem stopniując stosownie).
O Boże! Nie zechcesz dopuścić,
By moje dzieło, by święte me cele
Na pastwę zdrady zostały oddane!...
Boże, nie zechcesz, by szatan zwyciężył,
Gdyś we mnie włożył te wielkie zamiary!
Boże! Ty Polski nie zechcesz opuścić!
(p. k. m.)
Czyż tryumfować ma ten duch ciemności?
Nie masz-że gromu w Swem niebie dla niego?
Nie masz-że Swoich aniołów na pomoc,
Na pomoc dla mnie, wiernego Ci syna?
Z Twojej-że woli oni tutaj broją?
Z Twojej-że woli zdradzają Twych wiernych?
Boże! weź życie, ale ocal Polskę,
Weź życie me nędzne, co będzie ciężarem,
Jeśli nie będę mógł oddać go ziomkom.
(wyjmuje szablę i ugina kolano).
Boże! Ja Tobie poświęcam ten miecz mój,
Tobie poświęcam me słowa, me czyny, —
Ocal mą Polskę! Daj prawdzie zwycięstwo!
Niech szatan stanie przedemną do walki —
Nie z własnej woli, lecz z Twego rozkazu —
I daj zwycięstwo, daj Swojemu słudze — —
O, nie dla niego: — dla jego ojczyzny!...
Nie pragnę sławy, — pragnę tylko prawdy —
O Boże, Boże, daj prawdzie zwycięstwo!
(schylając czoło).
A jeśli — jeśli mi już przeznaczyłeś
Spełnić aż do dna ten kielich goryczy,
To wtedy niechaj się wola Twa stanie!
(powstaje z twarzą natchnioną i wznosi miecz).
Wynijdź szatanie! *(piorun).* Wynijdź Czarny [Książę! *(piorun).*
Do walki wynijdź z godnym przeciwnikiem! *(piorun).*
Wzywam Cię! *(piorun).* Wzywam Cię duchu [ciemności! *(piorun)...*
Jeszcze raz wzywam! *(piorun)* Po siedemkroć wzywam! *(trzy razy piorun uderza).*

Koniec aktu drugiego.

Zasłona NIE spada; ATTACCA:

AKT trzeci

Scena pierwsza.

TWARDOWSKI, CZARNY KSIĄŻĘ, MACIEK *(w ukryciu)*.

CZARNY KSIĄŻĘ *(wchodzi, z godnością:)*
Jestem, doktorze!

TWARDOWSKI *(zdumiony, opuszcza szablę)*.
Ty — Tyś Czarny Książę?...

CZARNY KSIĄŻĘ *(z uśmiechem)*.
Czyż cię to dziwi? Wszakżeż już się znamy?

TWARDOWSKI *(j. w.)*
Ty—Czarny Książę? W tej pięknej postaci?
Szatan w tej cudnej postaci dziewiczej?!...

CZARNY KSIĄŻĘ *(uprzejmie, ale seryo)*.
Jakie jest twoje żądanie, doktorze?

TWARDOWSKI.
(wznosi i spuszcza szablę, po krótkiej walce ze sobą):
Nie! — ja z kobietą orężem nie walczę!

CZARNY KSIĄŻĘ *(j. w.)*
Mówmy rozsądnie; — wszakże wiesz, doktorze,
Że nieśmiertelnych szabla nie dotyka.
Powiedz mi, jakie jest twoje żądanie...

TWARDOWSKI *(odrzuca szablę)*.
Nie! — Dzięki Niebu , mam ja oręż inny,
Przed którym ty się nawet musisz korzyć!
A tym jest imię Boga Wszechmocnego!
Przez imię Trójcy rozkazuję tobie...

CZARNY KSIĄŻĘ.
Chachachachacha! Zostaw to, mój Mistrzu!...
Czyliż Twardowski, tak rozsądny człowiek,
To śmieszne zdanie motłochu podziela,
Że szatan boi się imienia Boga?...
Boi się Tego, z którym ciągle walczy?
Boi się Tego, co go wiecznie karze?
Boi się Imię wymówić zwycięzcy?
Jakież to Imię dla mnie ma znaczenie,
Jeśli Je ciągle, gdzie mogę, znieważam?...
Jakżeż to Imię może mię przerażać,

Jeżeli Boga — tylko nienawidzę?
Gdybym Go bał się, tobym się nie ważył
Tak postępować, jak On nie pozwala.
Tam niema pewnie zbrodni ni występku,
Gdzie trwożnie imię Boga się wspomina!
Tylko tam państwo jest Książąt ciemności,
Gdzie Krzyż się depce, Boga się znieważa
I z urąganiem Jego się wspomina!
Odrzuć te śmieszne przesądy, mój Mistrzu,
I powiedz wreszcie, czego chcesz odemnie?

TWARDOWSKI.

(z przerażeniem patrzył na Czarnego Księcia; tonem zlamanym):

Boże! Czyż nie masz gromu dla bluźniercy?
Czyliż dozwolisz Się tak — tak znieważać?...

CZARNY KSIĄŻĘ *(szyderczo).*

O, Bóg do tego już przyzwyczajony.
Czy mógłbym prosić, abyś mi powiedział — ?
Mało mam czasu — —

TWARDOWSKI *(przygnębiony).*

Ja nic nie chcę więcej...
Jestem bezsilny... Odejdź, Czarny Książę.

CZARNY KSIĄŻĘ *(uprzejmie).*

Żal mi cię, Mistrzu. Wierz mi, jeśli mogę,
To chętnie spełnię każde twe żądanie.

TWARDOWSKI *(w długich pauzach).*

Jeżeli możesz?... Czegoż ty nie możesz?...
Bóg ci dał wielką potęgę na ziemi,
Pewnie, by swoich wiernych wypróbować...
(p. k. m. patrząc wątpliwie na Czarnego Księcia)
Chcesz mi wypełnić każde me żądanie?...
A więc papiery, które mi skradł Lecci,
Zwróć mi napowrót...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wszakżeż ja ich nie mam!

TWARDOWSKI.

Ale mieć możesz.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak jest, może mógłbym,
Jednakże zwrócić ich nie mogę tobie —
I chyba tylko — jeślibyś zezwolił,
Abym je spalił tutaj w twoich oczach,
To wtedy — wtedy możebym je znalazł....

TWARDOWSKI *(wątpliwie).*

Abyś je spalił?....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wszakżeż lepiej, Mistrzu,
Abym je spalił, niżby miały zostać
W ręku tych wszystkich, co ci mogą szkodzić.

TWARDOWSKI.

(przechadza się chwilę w zamyśleniu, a potem staje przed Czarnym Księciem i pyta się z wahaniem)

A — czego żądasz za taką przysługę?

CZARNY KSIĄŻĘ *(z uśmiechem).*

Niczego, Mistrzu. Czyż sądzisz naprawdę,
Że za nagrodę tylko pracujemy?
Chcę ci jedynie wyświadczyć przysługę,
A dostateczną nagrodą mi będzie,
Jeśli Twardowski będzie kontent ze mnie.

TWARDOWSKI.

Ty — ty niczego nie żądałbyś za to?....

CZARNY KSIĄŻĘ *(j. w.).*

Pozwolisz, Mistrzu? Sprowadzę papiery
I w twoich oczach je spalę. — Pozwolisz?....

TWARDOWSKI *(mechanicznie).*

Niechaj tak będzie.

CZARNY KSIĄŻĘ *(w kulisy.).*

Skierko!

SKIERKA

(wchodzi i klęka przed Czarnym Księciem).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Te papiery!

(Skierka podaje papiery wyjęte z zanadrza i na skinienie Czarnego Księcia odchodzi).

CZARNY KSIĄŻĘ.

(podaje papiery Twardowskiemu).
Czy to te same?

TWARDOWSKI *(biorąc je zdumiony).*

Ty mi je powierzasz?!....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wszakżeż mi oddasz je w celu spalenia?

TWARDOWSKI *(wahając się).*

A jeśli — jeśli papierów nie zwrócę?....

CZARNY KSIĄŻĘ *(patrzy na niego uważnie).*

Ja wiem, że jesteś mężem honorowym.

TWARDOWSKI

(przeglądnąwszy uważnie papiery, zwraca je Księciu).

Oto papiery.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Dziękuję ci, Mistrzu.

(uderza nogą w ziemię, która się rozwiera i ukazuje się ogień, w który Czarny Książę wrzuca papiery. Ziemia się zawiera).

(z uśmiechem). Zresztą ja ciebie tylko doświadczałem.
Wszakże widziałeś, jak mię mało trudu
To kosztowało, by dostać papiery:
Także od ciebie mógłbym je odzyskać; —
Choćbyś w kościele pod krzyżem je złożył —
A nawet wtedy z tem większą chciwością.
(p. k. m.) Czyli ci jeszczem potrzebny doktorze?

TWARDOWSKI (bezmyślnie).

Potrzebny jeszcze...? *(przechadza się w zamyśleniu)*
(n. s.) Czyż ta piękna postać,
Ten czyn szlachetny — tak — tak mogą łudzić..?

CZARNY KSIĄŻĘ *(żartobliwie).*
O, nie daj złudzić się piękności, Mistrzu,
Pod różą zwykle zdradny cierń się kryje!

TWARDOWSKI *(zdumiony).*
Tyż mi to mówisz?....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Zawsze mówię prawdę.

TWARDOWSKI.
Czemuż mi dajesz dowód szlachetności,
Że — że nie mogę już pogardzać tobą?

CZARNY KSIĄŻĘ *(bardzo seryo).*
Ach! ty mnie sądzisz niesłusznie, mój Mistrzu.
Sądzisz, że szatan dla swej przyjemności
Na świecie sieje wszędzie mnóstwo zbrodni,
Że drugim Bogiem jest, Bogiem ciemności....
Nie pomnisz wcale ,że kary ponosim,
Kary, o jakich ty nie masz pojęcia, —
Że każda chwila naszego istnienia
Straszną jest męką. Sądzisz, żeśmy wolni,
Że możem czynić, co nam się podoba.

TWARDOWSKI.
Nie! — ja wiem o tem, że szatan potępion,
Ażeby kary ponosić za zbrodnie.
Wiem, że ta zbrodnia, którą on popełnił,
Rodzi tysiące innych, w innych ludziach,
I że on w ludzi tych wszystkich wpleciony
Tysiąckroć cierpi za swoje występki.
Wiem, że chcąc ulżyć swoim strasznym mękom
Usuwa dobro, aby w swem nasieniu
Mniej cierpiał przez ten antagonizm dobra; —
Ale że przez to, zamiast sobie ulżyć,
Tem bardziej cierpi, płodząc nowe zbrodnie, —
I tak zmuszony cierpieć w nieskończoność....
Jakież twe imię? I jaka twa kara?

CZARNY KSIĄŻĘ. *(j. w.).*
Słuchaj i zadrżyj! Imię moje: zdrada!!....

TWARDOWSKI.
(cofa się przerażony. Po długiej chwili z wielkim niepokojem).
Ah! więc pojmuję i twój czyn poprzedni!
Paląc papiery popełniłeś zdradę,
Chociaż ja nie wiem jeszcze, jaką zdradę!...

CZARNY KSIĄŻĘ. *(z smutnym uśmiechem).*
Mylisz się, Mistrzu. Spełniłem ofiarę,
A może — będzie mi to policzonem,
Bo za to ciężkie jeszcze zniosę męki....

TWARDOWSKI.
Czemuż ty ofiar nie chcesz więcej spełniać?...
Dlaczegoż nie chcesz też dobra zasiewać,
Które ci kiedyś policzonem będzie?
Czemu ty siejesz tak okropne zbrodnie
I do upadku przywodzisz nam Polskę?....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Ty nie znasz, Mistrzu, tych strasznych mąk [moich,
Które ponoszę w tysiąckrotnem życiu,
Jeśli dobrobyt i cnoty panują. ——

TWARDOWSKI.
Ale poniósłszy te piekielne męki,
Ukrócisz może czas twych kar pośmiertnych, —
I może z czasem zginie twe nasienie,
I może z czasem uzyskasz nagrodę,
Jeśli sam siebie karając, swe męki,
Które ponosisz, z swej woli powiększysz....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Nie umiem tego — bo mi brak doradcy *(smut- [nie zwiesza głowę).*
(Twardowski uderzony myślą, która mu przychodzi nagle, zwraca oblicze ku niebu).

TWARDOWSKI *(n. s.).*
O Boże! Czyliż Twą wolę pojmuję?
Czy niegodnego sługę Twego, Panie
Obrałeś woli Twej świętej narzędziem?....
(po chwili zwraca się do Czarnego Księcia z obliczem natchnionem).
Ja ci doradcą, przewodnikiem będę!

CZARNY KSIĄŻĘ.
(patrzy na niego, jakoby wahając się).
Nie mogę, Mistrzu! Nie wiesz, co przyrzekasz.
Kto ma szatana pod swoim rozkazem,
Kto się szatanem w świecie posługuje,
Ten wraz z nim musi też zstąpić do piekieł.

TWARDOWSKI.
O nie! — Jeżeli cele nasze święte,
To Bóg nie będzie tak niesprawiedliwym,
Aby nas obu miał skarać tak srogo!

CZARNY KSIĄŻĘ.
Nie mogę, Mistrzu! Mnie nie wolno, Tobie
Poddać się nigdy, póki nie przyrzekniesz,
Że w chwili skonu oddasz siebie piekłu.
Nie mogę, Mistrzu! Żal mi ciebie jeszcze —
Czy mi uwierzysz, że żałuję ciebie?

TWARDOWSKI.
O, ja ci wierzę, bo ponosisz karę!

CZARNY KSIĄŻĘ.
Więc drogi nasze muszą się rozdzielić.
Skoro odejdę, rozpoczętą pracę
Muszę dokończyć; — ty będziesz za słabym,
Abyś mógł walczyć skutecznie z szatanem —
I Polska twoja musi — musi upaść!
To przeznaczenie. A cóżem ja winien,
Że jam narzędziem tego przeznaczenia?....

TWARDOWSKI *(wahając się).*
A jeśli — jeśli ja tobie się oddam?....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Ty chciałbyś, Mistrzu?.... Nie, to niemożliwe!

TWARDOWSKI *(j. w.)*
Jeślibym — jeśli za cenę mej duszy
Uzyskał władzę, by ci rozkazywać?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tobym cię słuchał. Może wtedy Polska
Mogłaby wznieść się; — bo twoje rozkazy
Duchy-by szybko mogły wykonywać,
I pewnie lepiej, aniżeli ludzie.
Ale zważ, Mistrzu, na co się narażasz;
Za Twoją Polskę chcesz siebie poświęcić;
Za Twoją Polskę, chcesz się żywcem oddać
Piekielnym mękom, jakich nie pojmujesz....

TWARDOWSKI *(j. w.)*.

Żywcem się oddać?....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak jest, każdy człowiek,
Co posługuje się w życiu szatanem,
Ciałem i duszą oddaje się piekłu....

TWARDOWSKI.

(przechadza się długo w zamyśleniu, walcząc ze sobą. Czarny Książę patrzy na niego podstępnie).

(po długiej chwili).

Ojczyzno moja! Na twoim ołtarzu
Największą składam ci dzisiaj ofiarę!....
Boże! Ty wieczną nie ukarzesz męką
Tego, co swojej ojczyźnie nie — życie;
Nie — honor swój, sławę; nie — swoją rodzinę,
Ale swą wieczność oddaje w ofierze! *(chwilowe milczenie).*

(p. k. m. zdecydowany staje przed Czarnym Księciem).

Jestem już gotów. Jakież twe warunki?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Raz jeszcze rozważ, doktorze, co czynisz.

TWARDOWSKI.

Już rozważyłem. — Kiedy przyjdzie chwila,
W której zmuszony będę rzucić ziemię,
Aby....?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ta chwila daleko, mój Mistrzu!
Sam mi ją naznacz.

TWARDOWSKI.

Czyż wiem, kiedy będę
Mógł, dokonawszy tego, com zamierzył,
Spokojnie rzucić me ziemskie mieszkanie?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Skoro dokonasz tego, coś zamierzył,
Cóż zechcesz czynić?

TWARDOWSKI.

Wtedy będę wolnym
I chciałbym wtedy wędrować do Rzymu,
By w świętem mieście się z grzechów oczyścić.

CZARNY KSIĄŻĘ.

A zatem wtedy—?

TWARDOWSKI.

W pielgrzymce pokutnej
Wszędzie po drodze w klasztorach, w kościołach
Za moje grzechy błagać będę Pana —
A kiedy dojdę do świętego miasta,
Wstąpię do Rzymu, — to już wolnym będę.

CZARNY KSIĄŻĘ.

O Mistrzu! Ileż, ile dokonamy.
Nowe mi życie uśmiecha się teraz!....
Mistrzu! we dwójkę jesteśmy potęgą!....
Żal mi jedynie, że padasz ofiarą; —
Ale jeżeli ojczyzna wymaga,
To nawet taka ofiara jest słodka....

(p. k. m.).

Wybacz mi Mistrzu — nie mogę inaczej —
Muszę mieć pewność — czyż w tem moja wina?
— Inaczej Tobie nie zdołałbym służyć —
Muszę mieć pewność, czyli wtedy mogę
Na ciebie liczyć, gdy wejdziesz do Rzymu?

TWARDOWSKI.

Wchodząc do Rzymu, oddaję się tobie,
Gdy me rozkazy aż do tego czasu
Wiernie i ściśle zawsze będziesz spełniać.
Czy mam cyrograf ci jaki podpisać?....

CZARNY KSIĄŻĘ.

O nie, mój Mistrzu: twoje słowo starczy,
Słowo Polaka i w piekle jest świętem!
A teraz — jestem na twoje usługi....

(p. k. m.)

Aby cię zaraz jednakże przekonać,
Jak szczerze myślę obrać dobrą drogę,
U wstępu zaraz daję ci sposobność
Spełnić czyn dobry. Ty nie znasz swej matki;
Żebraczką biedna jest, odkąd twój ojciec
Zmarłszy, opieki jej swojej nie dawał.
Ja cię powiodę do matki twej, Mistrzu,
Byś przywiązaniem synowskiem naprawił,
Co niegdyś ojciec twój, niechcąc, zawinił.
W tej chwili jeszcze, gdy twoje papiery
Już są spalone, a więc nieszkodliwe,
Do synowskiego serca przytul matkę, —
A potem — potem z jej błogosławieństwem
Oddaj się drugiej swej matce, Ojczyźnie.

TWARDOWSKI.

Matka ma żyje? — Ach, i jest żebraczką?
Prowadź mię do niej, prowadź przyjacielu!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ona śpi teraz. Wszak północ minęła.
Jutro o świcie odwiedzisz ją, Mistrzu. —
Tylko Maćkowi każ odejść do domu,
Bo on tu jeszcze ciągle ciebie czeka.

TWARDOWSKI *(ogląda się w koło)*.

Maciek!

MACIEK *(wchodzi drżący)*.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Nie karaj go, Mistrzu mój drogi;
On z troskliwości szedł tutaj za tobą.

TWARDOWSKI.

Czemuś nie słuchał rozkazów mych, chłopcze?

MACIEK *(przypadając mu do kolan).*

O panie! panie!

TWARDOWSKI.

Gdy chcesz u mnie zostać,
Zawsze wypełniaj dokładnie mą wolę.
Odejdź do domu i na dom uważaj.

(Maciek odchodzi, ocierając łzy ukradkiem).

CZARNY KSIĄŻĘ *(z dziewiczym wdziękiem).*

A teraz, Mistrzu, jesteś moim gościem,
Jesteś znużony i musisz odpocząć;
Jak mogę tutaj cię przyjmę, — lecz wybacz —
Chata tem rada tylko, czem bogata.

(Na znak dany przez Czarnego Księcia daje się słyszeć cicha, piękna muzyka. Zasłona w głębi się podnosi i ukazuje się altana z drzew złożona, w niej łoże z mchu, a w koło kwiaty i krzewy najpiękniejsze. Czarny Książę wiedzie Twardowskiego ku altanie).

Chodź, spocznij Mistrzu, a za parę godzin
Do twojej matki przyprowadzę syna.

TWARDOWSKI *(sennie).*

Aż teraz czuję, że jestem znużony,
Dzięki ci, Książę. Upadam z zmęczenia.
Do domu pewniebym teraz nie doszedł.

(Twardowski wchodzi do altany. Czarny Książę wraca, zasłona w głębi spada).

Scena druga.

CZARNY KSIĄŻĘ *(występuje na przód sceny i klaszcze w dłonie)* DYABLI I DYABLICE *(schodzą się w cichości i okalają Księcia. Rozmowa w tej scenie i następnej toczy się półgłosem).*

CZARNY KSIĄŻĘ.

Żywo! mam ważne dziś dla was zlecenia!
Masz list, Ziewonio?

ZIEWONIA *(podając list).*

Oto list jest, Książę.
Biskup Krasicki wieczorem wyjechał.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Dobrze. A gdzie jest — *(ogląda się)* Flins niechaj się jawi!

FLINS.

(przybiega z za sceny i ugina kolano przed Księciem).

Jestem, mój Książę. Rozkaz twój spełniony.
Hanna zajęła się ową żebraczką,
Która się przed nią niechcąc wymówiła,
Że Twardowskiego Szczęsnego jest matką.
Żebraczka teraz w pawilonie Hanny
Od śmierci pewnej przez nią ocalona
I pokrzepiona jadłem, dobrem słowem
Usnęła właśnie błogosławiąc pannę.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Powstań więc Flinsie, *(do wszystkich)* Bracia! Siostry moje!
Nadchodzi chwila dla nas bardzo ważna,
Którą troskliwie przygotowywałem
Przez długie czasy, — przez was wspomagany.
Już czas niedługi — może dni niewiele
Dziś nas oddziela od spełnienia celów ,
Do których z wami całe wieki zmierzam.
Nadchodzi chwila, w której panowanie,
Albo niewolę wieczną uzyskamy: —
Gdy zrzucić jarzma nie możemy z siebie,
Spleciemy z jarzma berło i koronę!
Lecz, właśnie chwila ta rozstrzygająca
Wymaga wielkiej u nas oględności:
Za skutek pewny wtedy tylko ręczę,
Gdy teraz właśnie, jak zawsze dotychczas,
Ściśle i wiernie wypełniać będziecie,
Co dla waszego dobra ustanawiam.
Nie potrzebuję zachęcać was; tylko
Zalecam dzisiaj przezorność, staranność,
A przedewszystkiem bezwzględną uległość
Rozkazom moim lub mego zastępcy, —
Będę zmuszony opuścić was dzisiaj
Na czas niedługi; — Błędny Ognik jednak
Będzie przynosił wam moje zlecenia,
O których ścisłe wykonanie proszę.
Jeśliby Ognik zaś wkrótce wam doniósł,
Że jam zmuszony był na dłużej odejść,
Na wiek — dwa może, to jemu oddajcie
Swe zaufanie i swe posłuszeństwo:
On sam we wszystkiem niechaj mnie zastąpi.
Odejdźcie teraz. Ognik tu zostanie.

(wszyscy skłaniając się odchodzą zwolna).

Ziewonio! Pilnuj-że mi teraz króla,
A nie zapomnij także o Giżance.
Każdy niech idzie na swe stanowisko.
Życzę wam szczęścia! Do widzenia, dzieci!

Scena trzecia.

CZARNY KSIĄŻĘ. — BŁĘDNY OGNIK.

(Czarny Książę przechadza się chwilę w zamyśleniu, poczem staje przed Błędnym Ognikiem, który na niego patrzy stroskany).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Winszuj sukcesu mi, Błędny Ogniku.
Twardowski w mojej znajduje się mocy.
Król Zygmunt August cieniem tylko króla,
Bezrząd i zbytki wkrótce zgubią Polskę.

BŁĘDNY OGNIK.

Korzę przed tobą się, mój drogi Książę,
Ale się trwożę zarazem....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Czy wiesz już....?

BŁĘDNY OGNIK.

O czem?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mów dalej. — Dlaczego się trwożysz?

BŁĘDNY OGNIK.

Jeżeli plany twe wielkie i wzniosłe
Przy samym celu doznają przeszkody....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Więcejbyś trwożył się, jeślibyś wiedział,
W jakich warunkach mi Szczęsny się oddał.

BŁĘDNY OGNIK.

Co mówisz, Książę?.... Miałyżby warunki
Inne być, niźli ty przepowiadałeś?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Nie — są te same, a przecie.... znów inne.
(p. k. m.).
Począłem teraz ryzykowną walkę
I rolę trudną mam do prowadzenia:
Rolę anioła z naturą szatana.
Mam Twardowskiego wieść na dobre drogi,
Mam dobro, piękno wskazywać mu tylko,
By w sieci złego wprowadzić go zręcznie.
Dziś ryzykuję tak, że wszystkie cele
Na jednę stawię kartę; — mogę wygrać,
Lecz mogę także najstraszliwiej przegrać.

BŁĘDNY OGNIK.

O, drogi Książę! Wart — że Szczęsny tego?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Czy on wart tego! — Słuchaj mnie, Ogniku
I uważ dobrze, co ci dziś polecam....
Jeśli Twardowski nie da się tam zawieść,
Gdzie mieć go pragnę, — jeśli się poważy
Myśleć o swoich politycznych celach,
Gdy mu spokojne i piękne dam życie,
To wtedy zmuszę go spełnić warunek,
Który mi podał do swego porwania.
Lecz podstęp taki, jakiego użyję,
Może mnie zgubić już w ostatniej chwili —
I mogę strącon w piekielne przepaści
Znów na wiek cały, albo nawet więcej
Być na wygnanie ze ziemi skazanym.
Jam na to gotów. I na to się ważę,
Bo wszystko dzisiaj chcę stawić na kartę.
Jednakże wtedy ty, Błędny Ogniku
Musisz zastąpić mnie tutaj skutecznie.
Bezemnie Polska pewnie nie upadnie —
Ale ty możesz wszystko przygotować,
Aby, gdy kara moja się ukończy
Gdy wrócę znowu pomiędzy was wszystkich,
Jednym zamachem skończyć można dzieło.
Na błędne drogi masz wieść tutaj wszystkich:
Przyjaciół swoich niechaj tam szukają,
Gdzie znajdą wężów. Wiesz, co pod tem myślę.
Niechaj swe męstwo innym poświęcają,
Bronią Europę przed nieprzyjaciółmi, —
Ta zaś potrafi pewnie być niewdzięczną.
Niechaj bez troski ramiona otworzą
Obcym żywiołom. Niech cudzoziemczyzna
Zewsząd się wedrze, zamąci im głowy; —
Fałsz nieprzyjaciół z uściskiem wężowym
Niechaj ich uśpi. Niechaj, jako ciemni
Dobro co samo nastręczać się będzie
Odrzucą z śmiechem aby przyjąć fałsze. —
A kiedy wszystko wiernie przygotujesz,
Wrócę — i zdrada już dokona reszty.

BŁĘDNY OGNIK.

Ja drżę o ciebie, szlachetny mój Książę.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ja dla was pragnę, bym cel mój osiągnął —
Lecz jeśli runę, spełnij me życzenia.

BŁĘDNY OGNIK.

One mi prawem. Pragnę byś powrócił;
Lecz gdy nie wrócisz, przekonam cię, Książę,
Żeś twe zlecenia złożył w ręce godne.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wiem o tem z góry. — Dniem przed katastrofą
Dam ci znak zwykły: trzy pioruny w lesie.
Jeśli więc później za dobę nie przyjdę,
Wiedz, żem zamknięty w otchłaniach nicości
I że powrócę za wiek — za dwa może.

BŁĘDNY OGNIK.

Moje życzenia tobie towarzyszą.

CZARNY KSIĄŻE.

Jeżeli runę — z wami będą moje.
Więc do widzenia. *(podaje mu rękę).*

BŁĘDNY OGNIK.

(uginając kolano, całuje rękę).
Bądź szczęśliwym, Książę.
(odchodzą w strony przeciwne).

Zmiana.

Scena czwarta.

(Sala ogrodowa u Herburta, zajmująca prawie całą scenę. Z lewej jej strony ścieżka ogrodowa. W sali wielkie drzwi szklane prowadzące na ścieżkę; przez mnóstwo okien sali widok na ogród. Po lewej stronie ścieżki domek z zamkniętemi drzwiami. — Świt. — Herburt i goście jego w różnych grupach, a w ubiorach myśliwskich XVI wieku. Pomiędzy gośćmi GRABOWIECKI, RYLSKI, BOROWSKI, DOWMUND, ŻELIGA, STAROWIEJSKI, STRAŃSKI, OCIESKI, MŁODY MNISZECH. *Goście zwolna jeszcze się schodzą. Pachołki obnoszą jadła i napoje. Przed podniesie-*

niem zasłony słychać gwar śniadania myśliwskiego, wiwaty itp. W czasie podnoszenia zasłony obnoszą Herburta pośród okrzyków: Wiwat! Niech żyje!)

HERBURT *(wracając do stołu i biorąc puhar).*

Z mojej strony wnoszę zdrowie najstarszego pomiędzy nami, wielce szanownego Komornika J. K. M., a drogiego teścia mojego, pana Macieja Grabowieckiego!

WSZYSCY *(pijąc).*

Niech żyje! Wiwat!

(Służący wchodzi i mówi po cichu do Herburta, który wstaje i wychodzi. Grupy są ułożone w następujący sposób: Przy stole Grabowiecki, obok niego Dowmund, z boku 1-szy gość. Opodal, więcej koło drzwi druga grupa, w której stoją Rylski, drugi i trzeci gość jakoteż Rożanowski, który wchodzi w chwili, gdy Herburt wychodzi. Borowski siedzi przy stole, niedaleko od tej grupy. Z prawej strony trzecia grupa: Żeliga, Starowiejski, Strański, Ocieski i młody Mniszech rozmawiają. Czwarty i piąty gość wychodzą do ogrodu).

RÓŻANOWSKI *(wchodząc, do pachołka).*

Aquam vitae, kochanku. — Widzę, żem się spóźnił. *(do 2-giego gościa).* Jak się masz, Stanisławie. *(do 3-ciego).* I ty tu Jaśku? *(do Rylskiego).* Sługa, panie Józefie. *(Kłania się drugiej i trzeciej grupie)* Sługa Waszmość panów. *(pije podany kubek wódki).*

STAROWIEJSKI. *(w trzeciej grupie do młodego Mniszka).*

I zgadnij, kto to był? Ni mniej ni więcej, tylko siostra naszego gospodarza, panna Hanna Herburtówna.

(Razem):

2-GI GOŚĆ *(w drugiej grupie, do Różanowskiego):*

Mocno się spóźniłeś.

ŻELIGA *(w trzeciej grupie do Starowiejskiego):*

Mój panie, wypraszam sobie wymawiać to imię w tem miejscu.

RÓŻANOWSKI *(w drugiej grupie):*

Bom zabawił się wczoraj do północy u kasztelanostwa.

(w drugiej grupie rozmawiają dalej półgłosem).

(Razem):

STAROWIEJSKI. *(w trzeciej grupie):*

Oho! czy ja mówię co krzywdzącego?

GRABOWIECKI. *(w pierwszej grupie do Dowmunda):*

Całe szczęście, że ten zawadyaka stał się teraz nieszkodliwym i że mamy już te nieszczęśliwe papiery.

(Razem):

DOWMUND. Toć to formalna rewolucya u nas [się przygotowywała.

(rozmawiają dalej półgłosem).

ŻELIGA. *(podniesionym głosem do Starowiejskiego):*

Nawet to imię w obec kieliszków nie powinno [być wymówione!

STRAŃSKI *(do Żeligi).*

Unosisz się zanadto, mój drogi; — wszakżeż pan Mieczysław mówił tylko, że była królową w zebraniu, a to...

STAROWIEJSKI *(szyderczo).*

Pan Żeliga gorąco kąpany...

(w drugiej grupie śmiech z jakiegoś opowiadania Różańskiego. Żeliga nagle ku niej się obraca i znów z gniewem zwraca się do Starowiejskiego).

ŻELIGA.

A Waszność jesteś nieuczciwym, jeżeli...

STAROWIEJSKI.

Ho! mój panie! *Calumnia?!*

OCIESKI *(wchodząc między nich).*

Stójcie bracia! Tu w domu obcym! *(stara się ich uspokoić i wraz ze Strańskim trochę na boku rozmawia z Żeligą, podczas gdy Mniszech bierze pod ramię Starowiejskiego; lecz oni obydwaj ciągle na siebie rzucają groźne spojrzenia).*

RÓŻANOWSKI *(w drugiej grupie).*

Pierwszy raz mi się to zdarza, żem torbę zapomniał. Gdyby mój *famulus* miał rozum, toby mi ją przyniósł. Ale już wy mnie wspomożecie.— A za to *ex occasione aquae vitae* opowiem wam...

RYLSKI *(podchwytując).*

Facecyjkę....?

RÓŻANOWSKI.

Nie facecyjkę, tylko dowcip, jaki wczoraj palnąłem pannie kasztelance.

BOROWSKI *(wstaje i zbliża się).*

Pan Różanowski znów opowiada facecyjki?

RÓŻANOWSKI.

Wczoraj przed kolacyą na zapytanie pana kasztelana, czy pozwolę likieru, czy gdańszczanki, mówię, że proszę o zwykłą *aquam vitae*. Kasztelanka — a wiecie, że ona *expedite* mówi po łacinie, ba nawet po grecku — — tylko szkoda, że tak mało zna się na gospodarstwie białogłów, — kasztelanka tedy powiada do mnie śmiejąc się, że woda życia znajduje się za siódmą górą i siódmą rzeką. Wszyscy w śmiech — — ale ja nie w ciemię bity, odpaliłem zaraz, biorąc kubek podany, że nie potrzeba za siódmą górę i siódmą rzekę wędrować, jeżeli czarodziejki są w miejscu i piję na zdrowie czarodziejki. Powiadam wam, że dom się zatrząsł od wiwatów, które za to dostałem.

3-CI GOŚĆ.

Wszystko to bardzo piękne, mój drogi. Ale pozwól sobie powiedzieć, że wczoraj nawet nie byłeś u kasztelanostwa. *(śmiech).*

RÓŻANOWSKI.

Ja nie byłem? — Ha, co? Może ty byłeś?

3-CI GOŚĆ.

Tak jest, byłem z wujem moim, panem Oczosalskim. *(śmiech).*

RÓŻANOWSKI.

Bajki, panie ten tego. A *ex occasione* tej jego przechwałki opowiem wam facecyjkę... *(Mówią dalej półgłosem, idąc w głąb).*

1-SZY GOŚĆ *(w pierwszej grupie do Grabowieckiego).*

Ale to moje przypuszczenia tylko; — proszę o tem nikomu nie mówić.

GRABOWIECKI.

Hm, dziwna, Mościeju.

DOWMUND.

Dziwna, dziwna, panie.

STAROWIEJSKI.

(do Mniszcha, ale tak głośno, aby Żeliga stojący trochę dalej z Ocieskim, słyszał). Pan Żeliga dawno szuka zwady, a ja choć jej nie szukam, to przecież nigdy nie ustępuję przed obelgami.

MNISZECH.

Ależ mój drogi...

ŻELIGA *(podniesionym głosem do Starowiejskiego).*

Bo dla Waćpana nic nie ma świętego! Rozumiesz Waćpan? Bo językiem zjadliwym nibyto grzecznie i zgrabnie, a w rzeczy złośliwie i bez czci wszystko kalasz! Czy Waćpan rozumiesz? *(chwyta za rękojeść szabli).*

STAROWIEJSKI *(dobywa szabli).*

Zamilcz teraz łotrze i broń się!

ŻELIGA *(dobywa szabli).*

Łotrem obznaczony! *(Ocieski, Strański i Mniszech ich rozrywają. Wszyscy się zbliżają z innych grup).*

OCIESKI.

Bić się musicie. Na to już rady nie ma. Ale nie tu, w obcym domu. Na jutro spotkanie, a dzisiaj się więcej nie schodźcie.

(odprowadzają Żeligę do stołu, i on siada koło Grabowieckiego, rzucając spojrzenia groźne na Starowiejskiego. Ten ostatni z Mniszchem i Strańskim idzie w przeciwną stronę).

(Razem):

DOWMUND *(do Ocieskiego)* O co tu poszło?

RYLSKI *(do Mniszcha)* Co to tu się stało?

RÓŻANOWSKI *(do Mniszcha)* Kto to z kim się bije?

GRABOWIECKI *(do Żeligi)* O co wam poszło, panie Żeligo?

RÓŻANOWSKI.

Opowiem wam doskonałą...

HERBURT *(wchodząc).*

Jestem zgubiony! *(wszyscy zbliżają się do Herburta, który przystępuje do stołu).* Czy macie panowie tutaj te papiery, które nam wczoraj dał Lecci?

STRAŃSKI.

Ja mam je przy sobie *(sięga do kieszeni).*

GRABOWIECKI.

I ja takiego papieru nie zostawiłbym w domu. *(Kilku sięga do kieszeń. Strański najprzód powoli, potem gorączkowo przerzuca swe papiery. Grabowiecki ogląda uważnie każdy z swych papierów. Po chwili u wszystkich oznaki przerażenia).*

(Razem):

STRAŃSKI. Papierów tych nie ma!

OCIESKI. Zgubiłem moje papiery!

GRABOWIECKI. Cóż u kaduka?

KILKU. I ja nie mam papieru mego!

KILKU INNYCH. Kradzież! Zdrada!

HERBURT *(padając na krzesło).*

I ja go nie mam. Znikł mi z biurka zamkniętego!

MNISZECH.

To daje wiele do myślenia.

BOROWSKI.

A toż to cała szajka złodziejów musiała się sprzysiądz!

RÓŻANOWSKI.

Jest, jest!

HERBURT *(prędko).*

Ten papier?

RÓŻANOWSKI.

Nie — moja torba! Niesie ją mój *famulus! (odbiera od służącego torbę).*

HERBURT.

Moi panowie, tu radzić potrzeba, bo Twardowski po tym fakcie staje się niebezpiecznym. Proponuję, abyśmy znów tu się zebrali...

STRAŃSKI.

Tu pod żadnym warunkiem, bo twoja żona chora, a na dworze nie będziem mogli w nocy obradować. Zapraszam panów po polowaniu do siebie, gdyż sąsiadując z tymi dobrami, mam dwór najbliżej. —

OCIESKI.

Ja myślę, że w obec tak ważnej sprawy należałoby odłożyć polowanie...

BOROWSKI.

Polowanie?!

KILKU INNYCH.

Polowanie odłożyć?...

HERBURT.

To niepodobna. A dzień jeden nas nie zgubi.

OPALIŃSKI *(szybko wchodząc)*.

Dzień dobry panom. Widzę, żem się nie bardzo spóźnił.

HERBURT *(patrząc na niego badawczo)*.

Bo ważna sprawa nas tu zatrzymała. Papiery Twardowskiego zniknęły.

OPALIŃSKI *(przerażony)*.

Zniknęły? Jakto?

HERBURT.

Od każdego z nas ktoś je wykradł.

OPALIŃSKI.

To być nie może! *(do Strańskiego)* Ty miałeś mi oddać moje pisma!

STRAŃSKI.

Nie mam ich — zniknęły!

OPALIŃSKI.

Ah! jestem zgubiony!...

OCIESKI *(wzruszając ramionami)*.

Tak jak my wszyscy. Zgubiony? Cóż znaczy Twardowski naprzeciw wszystkich? Nie mogę dłużej znieść tego, ażeby mężowie, którzy Ojczyźnie i królowi tylokroć się zasłużyli, dawszy się raz ująć podstępom młokosa, nadal przed nim drżeli. Papiery wykradł posłannik Twardowskiego, w jego imieniu i dla niego. To rzecz jasna. W jaki sposób — nie wiemy; — kto wie, czy nie sam Lecci... Ale teraz, kiedy ten fakt niemiły już raz zaszedł, tchórzostwem byłoby znowu ugiąć karku przy pierwszem niepowodzeniu. Ja na Twardowskiego rzucam anatemę obywatelską i oświadczam, że łotrem ten, który po jego stronie.

RYLSKI.

Rękawicę rzuconą podnoszę w imieniu Twardowskiego!... *(zdumienie wszystkich)*. Skoro wola pana Ocieskiego, załatwimy tę sprawę po rycersku. Bronię zaś nieobecnego *primo* z tej przyczyny, iż wcale nie jest dowiedzioną rzeczą, jakoby on całą szajkę złodziejów wysłał, zaledwie mogąc się dowiedzieć, że jemu zginęły papiery, — *secundo* będąc pewnym, iż Twardowski nie używa takich środków, jakich niektórzy przeciw niemu użyli *(kilka głosów: Oho! Holla!); tertio* dlatego, że Twardowskiego poważam i cenię jako najszlachetniejszego z ludzi, których dotychczas poznałem. Jestem gotów do rozprawy z każdym, czyja wola.

POMIĘSZANE GŁOSY:

Precz z nim! Na szablach go roznieść! Zdrajca! Rozsiekać! *(rzucają się na niego z dobytemi szablami. Rylski z szablą wzniesioną na stół wskakuje. Herburt i Grabowiecki broniąc go, przed nim się ustawiają, przez co wszyscy się powstrzymują)*.

HERBURT.

Stójcie! Ja bronię gościa mojego i nie dozwolę, aby mu w moim domu włos spadł z głowy! *(zwracając się do Rylskiego)*. Masz pan wolny owrót. Czyja wola, z panem się rozprawi; ja mu rękę podaję nie na znak zgody z jego zapatrywaniem, tylko w uznaniu za postępowanie pańskie w obronie przyjaciela. Zazdroszczę Twardowskiemu.

RYLSKI *(ściskając podaną rękę)*.

Proszę przyjąć i moje zapewnienie szacunku. *(wychodzi. Przechodząc koło Opalińskiego, mówi głośno: Podły! — Opaliński udaje, że nie słyszy; widząc to inni zwolna od Opalińskiego się usuwają)*. —

HERBURT.

(p. k. m., pośród którego zaczęto się znowu dzielić na grupy, i najprzód cicho, potem głośniej rozmawiać).

Sądzę, moi panowie, że dłużej nie możem odwlekać polowania. Jeżeli wola panów, dam znak.

STRAŃSKI.

Jeszcze ktoś konno przybywa.

BOROWSKI.

To Rylski odjeżdża.

STRAŃSKI.

Nie, — tętent się zbliża.

GŁOS ZA SCENĄ.

Przeprowadzić konia stępą, niech się wydyszy.

KILKU.

To Raciborski!

RACIBORSKI *(wchodząc)*.

Ah! panowie! Jestem bez tchu! Ważne odkrycie! *(rzuca się w krzesło)*. W głowie mi szumi. Dajcie mi miodu.

(podają mu puhar, który on chciwie wychyla podczas ciszy, wśród której wszyscy go okalają).

RACIBORSKI.

Czy wiecie, że Twardowski — Ah, ależ skąd możecie wiedzieć? — Twardowski zapisał się dyabłu!

POMIĘSZANE GŁOSY.

Ah! Co? Tak? Skąd ta nowina? Kto ci mówił?

RACIBORSKI.

Słuchajcie. Jadąc tutaj, spotkałem Maćka, jego sługę, którego wszyscy znamy. *(złośliwie do Herburta)* Wszak twój dawny poddany?

HERBURT *(z marsem)*.

Więc...?

RACIBORSKI.

Więc miałem ochotę ściągnąć chłopa po grzbiecie, bom był zły, — gdyż mi się zawieruszyły gdzieś papiery, co mi wczoraj dał Lecci...

STRAŃSKI.

Te listy się wszystkim zawieruszyły, mój drogi.

RACIBORSKI.

Jakto? Co mówisz? *(ogląda się po obecnych).*

HERBURT.

Tak jest. Papiery nam wszystkim zginęły.

RACIBORSKI.

A więc rzecz jasna i nie ulega żadnej już wątpliwości. — Słuchajcie dalej. Chcę go więc jak mówię, ściągnąć harapem, ale naraz mi przychodzi myśl — skąd on się po nocy bierze na drodze i myślę, że dobrzeby było się coś dowiedzieć o jego panu. Więc krzyczę: „Stój!" — a on bęc na kolana. Pytam go się, co mu brakuje, czy jego panu co się stało: występując oczywiście jako przyjaciel Twardowskiego. Dopieroż on zaczyna mi opowiadać! *(wstaje).* Włosy powstają na głowie na to, co on mi opowiadał. Dziś o północy w Bierzanowskim lesie Twardowski wywoływał dyabłów. Mówił z kilkoma; jeden od drugiego straszniejszy. Włosy ze żmii, pioruny, gwałty, historye. I nareszcie ostatniemu się zapisał pośród jakichś okropnych ceremonii, jakich Maciek nawet nie umiał opisać. A potem jeszcze podobno całował się z tym ostatnim dyabłem. Powiadam wam, okropności. Teraz dopiero on nam galimatyaszu narobi. Ja mówię, niech się ten strzeże, na którego on zagiął parol. Z dyabłami to sprawa nie łatwa, zwłaszcza, jeżeli nad nimi taki jak Twardowski panuje.

PIERWSZY GOŚĆ.

To okropne!

RÓŻANOWSKI.

Wszelki duch pana Boga chwali!

GŁOS SKĄDSIŚ.

I ja Go chwalę!

KILKU.

Jezus Marya! *(rozbiegają się).*

HERBURT.

Stójcież u licha! Stój Różanowski! Strański! zostaw strzelbę i zbliż się tutaj! Mości Borowski! To nie po rycersku pod stół się schylać! Panowie! — co wam się stało! Do mnie, kto w Boga wierzy!

(gromadzą się wahając w około niego).

HERBURT.

(mówi cicho do pachołka, który zaraz wychodzi. Następnie głośno do Strańskiego).

Twoją gościnność przyjmuję w imieniu wszystkich tych panów na dziś wieczór. Naradzimy się tam, co czynić mamy. Niechaj Twardowski się nie chlubi, że zdołał zamącić ochotę tylu godnych obywateli. — Jedziem na polowanie!

(słychać sygnał trąbki za sceną).

Do strzelb panowie!

(Zamieszanie i gwar chwilowy. Pośród rozmów wychodzą).

Scena piąta.

(Pachołkowie sprzątają zastawę śniadania. MATEUSZ, *stary sługa domu kieruje porządkowaniem. Po chwili wchodzi* MARTA, *dawna piastunka Hanny).*

MATEUSZ.

Żywo, żywo! Hej Jaśku, a ostrożnie z talerzami, aby ci nie pospadały! Uważaj na dzbany, Marcinie. A tam koło domu cicho się sprawujcie, aby chorej pani nie przebudzić. Ruszaj się, Jaśku! Bartku, złożysz ze mną obrus.

(Składa obrus z innym służącym).

Hej, mocny Boże! Prawda, Bartku, że tego dawniej nie bywało? Pani słaba, a nasz pan sobie na polowanie sprasza i hałasuje tutaj, aż pani mnie posyłała. Ale przecie to lepsze jeszcze, jak to, co opowiadają o panu Twardowskim. — Zabierz jeszcze te grabki, Antoszku! — Taki dobry panisko! Taki poczciwy dla chłopków!

MARTA *(wchodząc).*

Ano sprzątajcie prędzej! Panna chce przyjść tutaj, aby skończyć kapę do naszego kościoła.

MATEUSZ *(mrukliwie).*

A panna nie może w pałacu haftować?

MARTA, *(stawiając na stole koszyk z robotą).*

O patrzcie na tego gderę! Musi zawsze coś pomrukiwać. Przecież pan Mateusz wie dobrze, że panienka lubi tylko na świeżem powietrzu haftować. A pan Mateusz co ma przeciwko temu, hę!

MATEUSZ.

Żywo! żywo! Jeszcze ten dzban zabierajcie! Ot i porządek będzie, tylko ten stół przesuniemy i te ławki na swoje miejsce. Józefie! Uciekł hultaj! Pomóżcie mi, Marto, to dla waszej panny. — Czy wiecie wy, Marto, co powiadają o panu Twardowskim?

MARTA.

Pewnie znów plotki jakieś.

MATEUSZ.

Oj nie plotki, Marto; — toć to pan Raciborski opowiadał, że on dyabłów tej nocy wywoływał.

MARTA.

Jezusie Nazareński!...

MATEUSZ.

I potem pan Raciborski sam go widział, jak leciał w powietrzu na ognistym wozie zaprzężonym czterema smokami...

MARTA *(składając ręce).*

Matko Najświętsza!...

MATEUSZ.

Oj, w takich my teraz czasach żyjemy. Boże zmiłuj się nad nami...

MARTA.

I to myślicie, panie Mat... Ot nasza panienka...

Scena szósta.

HANNA. MATEUSZ. MARTA.

MARTA *(do Hanny).*

Panienko, toć to Mateusz okropności opowiada...

HANNA.

Proszę was, Marto, przyślijcie do mnie tę kobietę.

MARTA.

Zaraz, moja złota panienko, tylko Mateusz...

HANNA.

Nie zatrzymujcie się, Marto; chciałabym widzieć się z nią zaraz. *(Marta wychodzi trzęsąc głową. Hanna siada przy stole i wyjmuje robotę.)* — Cóż to Mateusz opowiadał Marcie?

MATEUSZ.

Okropne rzeczy, co tu panowie opowiadali przy śniadaniu.

HANNA.

Cóż takiego?

MATEUSZ.

O panu Twardowskim.

HANNA *(ze zajęciem).*

O panu Twardowskim?

MATEUSZ.

Że pan Twardowski, Boże odpuść, złemu duchowi się zapisał.

HANNA *(uspokojona z uśmiechem).*

Śni się Mateuszowi! To mówili ci panowie?

MATEUSZ.

A toć pan Raciborski widział na własne oczy, jak on siadł okrakiem na promienie księżyca i potem te promienie w smoka się zmieniły...

HANNA *(j. w.)*

Mateusz, jak zwykle przesadza.

MATEUSZ.

Panienka się śmieje, a tu dalibóg nie żarty. Niech Matka Boska nas uchroni od nieszczęścia. Toż to już dawno ludziska opowiadali, że zły duch — Boże odpuść — różne wyprawiał harce koło Krakowa i że pan Twardowski jemu zapisał duszę...

HANNA.

To bajki, Mateuszu i Pan Bóg gniewa się na takich, co w to wierzą. Pan Bóg nie dozwala złym duchom chodzić po ziemi. *(Widząc zbliżającą się matkę Twardowskiego).* Idźcie Mateuszu i nie wierzcie, co pierwszy lepszy naplecie. *(Mateusz odchodzi żegnając się).*

Scena siódma.

HANNA. MATKA TWARDOWSKIEGO *(w czystem wiejskiem ubraniu).*

HANNA

Dzień dobry wam, kobieto. Jakżeż się miewacie?

MATKA TWARDOWSKIEGO.

(zbliża się i całuje Hannę w rękę, a potem odstępuje parę kroków i mówi z patetycznością zwykłą prostych ludzi).

Niech Pan Jezus Nazareński i Matka Jego Najświętsza odpłacą pannuńci wszystkie dobrodziejstwa, jakie panna mnie biednej wyświadczyła. Niech Bóg wszechmocny weźmie w opiekę życie pannuńci....

HANNA *(przerywając z uśmiechem).*

Dziękuję wam, dobra kobieto. Chciałam z wami pomówić. Usiądźcie sobie.

MATKA TWARDOWSKIEGO.

Dziękuję panuńci. Ja sobie postoję.

HANNA

Cóż wy myślicie teraz robić ze sobą?

MATKA TWARDOWSKIEGO.

A cóż, moja złota pannuńciu, mam robić? Ja już do szycia niezdarna, bo niedowidzę; — do ciężkiej pracy także brać się nie mogę, bo mnie piersi bolą i tchu mi braknie, skoro ino się schylę trochę; — wezmę znowu kij i muszę odłożyć te ładne suknie, które mi panienka dzisiaj przysłała, taj pójdę w świat znowu szukać litości u ludzi i czekać zmiłowania Pańskiego!

HANNA.

Ależ to być nię może, kobieto. Mówiliście mi przecież wczoraj, że... że... gdybyście tylko chcieli, tobyście mogli znaleźć kogoś, coby się wami zaopiekował...

MATKA TWARDOWSKIEGO.

A gdzieżbym ja się o to starała, moja panienko. Jabym mu tylko przeszkodziła, jeślibym chciała iść do niego i jego o co prosić. A on podobno nawet nie wie, że ma jeszcze matkę przy życiu. Mnie dosyć, że on szczęśliwy; — ot, aby jeszcze kilka razy od niego dostać jałmużnę, napatrzyć się na jego szczęście, taj potem zasnąć spokojnie. Ja byłam u niego już dwa razy po żebrach; obdarzył mnie poczciwy tak hojnie, że aż się rozpłakałam, jakie ma dobre serce. I mnie dosyć wiedzieć, że jego tak wszędzie chwalą, że on taki uczony, bogaty i sławny — na cóż mam jemu włazić w drogę, kiedy mi już i tak niedaleko do końca?

HANNA.

Powiedzcie mi jednak, kobieto, czy ja nie mogłabym coś dla was zrobić? Możebyście przynajmniej chcieli w Krakowie sprzedawać na targu jarzyny i owoce; jabym się postarała...

MATKA TWARDOWSKIEGO.

O nie, pannuńciu. Niech Pan Bóg nagrodzi złote serce panny; — ale mnie tam już znają żebraczką; wyśmieliby mnie ludziska. A przy tem ja nie mam tak wygadanej gęby jak przekupki i nie umiałabym wziąć się do tego. Ja do mego chleba już przyzwyczajona, pannuńciu, i nie jest on taki

gorzki, jak się wydaje. Jeszcze są miłosierni ludzie na świecie i wspomagają biedną. Nigdy jeszcze nie marłam z głodu.

HANNA.

Ale przecież lepiejby było, gdybyście mogli gdzie osiąść spokojnie. Przychodzi mi myśl właśnie — czybyście nie objęli karczmy na Rozdrożu? Jabym się postarała o czynsz dzierżawny za pierwszy rok, a dalej jużbyście sobie pomogli.

MATKA TWARD. *(po krótkim namyśle).*

A czemże ja biedna zasłużyła na takie dobre obejście się ze mną, pannuńciu?! Jabym ta może... Ale ja nie chcę, aby pannuńcia z mojej przyczyny... Nie, nie, pannuńciu, to taki nie pójdzie. Ja codziennie pięć pacierzów za pannę odmówię, ażeby Bóg Miłosierny dał pannie zdrowia i szczęścia i męża bogatego, młodego a ładnego, za dobre serce panny; ale nie mogę przyjąć....

Scena ósma.

TE SAME. TWARDOWSKI. CZARNY KSIĄŻĘ *(w skromnej odzieży młodej dziewicy).*

HANNA *(powstaje zarumieniona).*

Pan Twardowski!

CZARNY KSIĄŻĘ *(do Twardowskiego).*

Oto jest matka twoja Mistrzu.

TWARDOWSKI.

Matko!

(bierze ręce matki w swoje dłonie i patrzy jej w w oczy długo, serdecznie).

MATKA TWARDOWSKIEGO.

Synu! Sokole mój! Ty mnie poznałeś!

(z uczuciem patrzy na syna).

TWARDOWSKI *(nie puszczając rąk matki, zwraca się do Hanny).*

Wybacz mi, pani. — To jest matka moja. —
Wybacz mi, pani, i przyjmij me dzięki,
Żeś mi na chwilę matkę przytuliła.
Pani wybaczysz, że ja z moją matką...?

HANNA.

Cieszę się szczerze, żeś pan znalazł matkę
I nie przeszkadzam w tak radosnej chwili.

(chce odejść).

(Razem):

TWARDOWSKI. *(prowadzi matkę do ławki i z nią siada).*

Niedobra matko: — i wy mając syna
O nim nie chcieliście nigdy pomyśleć?

(mówią dalej półgłosem).

CZARNY KSIĄŻĘ *(zatrzymując Hannę).*

Pozostań pani. Mam do pani prośbę;
Znając twe serce, będę mieć odwagę.

HANNA.

(występując na przód sceny z Czarnym Księciem).

Czem mogę służyć?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Pani na mnie patrzysz
Z takiem zdziwieniem, że mogłabym sądzić,
Iż o Twardowskim chcesz coś złego myśleć.
Jestem sierotą biedną, opuszczoną —
I pan Twardowski swoim wzniosłym duchem
Prawie od śmierci głodowej mnie zbawił
I jakby brat się mną zaopiekował.
Czy zechcesz pani posłuchać mnie teraz,
I, aby jemu tutaj nie przeszkadzać,
Przejść się cokolwiek po ogrodzie ze mną?

HANNA.

Chodźmy. *(wychodzą).*

Scena dziewiąta.

TWARDOWSKI. MATKA JEGO *(którzy przedtem rozmawiali cicho).*

TWARDOWSKI.

I o tem wszystkiem ja nic nie wiedziałem!

MATKA.

A na cóż miałam zaburzać twój spokój, twoje szczęście? Widzisz — za tę jedną chwilę, że ty mnie poznałeś i nie powstydziłeś się przy obcych ludziach, chętnie już dałabym życie i dziękowałabym Bogu, gdyby mnię teraz do siebie powołał.

TWARDOWSKI.

O nie, moja matko. Ty żyć będziesz dla mnie i zawsze przy mnie. Ja ci dam u siebie tak potrzebny ci spokój i szczęście domowe. Będziesz patrzyła na dzieci swoje i będziesz szczęśliwa ich szczęściem.

MATKA.

Co tobie, synu? Gdzieżbym ja umiała stąpać po waszych pałacach i cobym ja tam robiła? Twoja żona młoda i ty młody, możebyście przyjęli z początku starą matkę, ale też zaraz może musielibyście się jej wstydzić. Przytem i jabym była nieswoją w tych waszych salonach, a choćbyście nawet tylko jaką komórkę dla starej przeznaczyli, i choćbym stamtąd nie wychodziła — to cóż mi z tego przyjdzie, że za syna będę musiała się wstydzić jego matki? Nie, nie, sokole mój, ani ja dla was, ani wy dla mnie. Ot tutaj mamy szczęście teraz, a kiedy tu się pożegnamy, to i niech będzie to na wieki. Przynajmniej będę mogła wspominać, żem miała w życiu szczęśliwą chwilę.

TWARDOWSKI.

I ty myślisz matko, że ja na to pozwolę? Matka Twardowskiego w jego domu zawsze panią będzie; —a jakżebym ja sam śmiał podnieść czoło, gdyby było inaczej?

MATKA.

A wszak to nie twoja wina, że jest inaczej, ino wola Boga, któremu cześć i chwała. Opowiedz mi coś o sobie, dziecko. Ja wiem, że tobie się dobrze powodzi dla oka ludzkiego; — ale czyś ty także w domu szczęśliwy? Czy kocha ciebie twoja ładna żona? Czy macie dzieci?

TWARDOWSKI.

Nie, matko!

MATKA.

Ale pewno bardzobyście chcieli?

TWARDOWSKI.

To jedno, co mi jest małą chmurką w domu.

MATKA.

Oj, tak to, tak. Pan Bóg zsyła na ludzi różne dopuszczenia. Nie daje dzieci, jak go prosić, a obdarza dziecięciem, kiedy się prosi, aby nie dawał. Ale niech będą błogosławione Jego święte wyroki — otżeż i z mojego nieszczęścia dożyłam dzisiaj szczęścia, o jakiem mi się nie śniło. Mój poczciwy, złoty synu!

TWARDOWSKI.

Moja matko droga! *(Całuje jej rękę).*

MATKA *(przez łzy).*

Synu mój jedyny — widzisz — ja na takie szczęście nie zasłużyłam. Tyś mi rękę pocałował, synu. Za to Bóg ciebie nagrodzi, będzie ci błogosławić, synu, synu jedyny. Ja nie życzyłam sobie śmierci, kiedy mnie jak psa wygnali; kiedy bez litości chłopcy uliczni mnie wyśmiewali i błotem na mnie rzucali, — nie życzyłam sobie śmierci, kiedy byłam bardzo nieszczęśliwą. A teraz — teraz — widzisz synu — ja chciałabym umrzeć.

TWARDOWSKI.

Nie, matko, nie mów tego; ty żyć będziesz dla mnie. Czyż nie chcesz nic — nic synowi twemu zawdzięczyć? Patrz, jam bogaty, poważany, szczęśliwy, a teraz najszczęśliwszy z ludzi, kiedy Bóg mi oddał matkę — czyż chcesz mnie zrobić nieszczęśliwym, matko?

MATKA.

Ja do ciebie pójść nie mogę, synu. Ale ja wiem, że tobie będzie przyjemnie coś dla mnie zrobić. Czy zrobisz to, o co cię będę prosić?

TWARDOWSKI.

Matko, szczęśliwym będę!

MATKA.

Więc najprzód przed ludźmi tego nie okazuj, że masz we mnie matkę.

TWARDOWSKI.

Matko!

MATKA.

Synu mój, ja ciebie proszę o to dla mojego szczęścia, bo mojem szczęściem jest szczęście twoje. I ty mi obiecałeś, że mi zrobisz wszystko. A jeżeli zatęsknisz za sercem matczynem, to gdzieś sobie znajdziemy komórkę, gdzie nam nie będą przeszkadzać — i tam będziemy matką i synem.

TWARDOWSKI.

A cóż z tobą będzie, matko moja?

MATKA.

Przedtem mówiła mi panna Hanna, poczciwa, złota panienka, że radaby mi dać w dzierżawę karczmę na Rozdrożu i że chce za mnie zapłacić pierwszy czynsz dzierżawny. Jeżelibyś ty to chciał zrobić...

TWARDOWSKI.

Z rozkoszą, matko moja, jeżeli cię to uszczęśliwi.

MATKA.

Ale daszże słowo„ że ci to nie przyjdzie z trudnością?

TWARDOWSKI.

Ależ matko, ja bogaty jestem i nie wiem, co robić z pieniądzmi! Dokupię ci do tego kawał gruntu i ogródek założę ładny, który będziesz mogła pielęgnować...

MATKA.

Synu mój, ty takie poczciwe, złote masz serce! Bóg ci to wynagrodzi stokrotnie.

TWARDOWSKI.

Moglibyśmy tam pójść zaraz, to stąd niedaleko. Chciałbym tylko wprzódy podziękować Hannie za jej zajęcie się tobą. Czy pójdziemy do ogrodu?

MATKA.

Dobrze, zaraz, tylko wprzódy musisz pójść do mojej izdebki. Pokażę ci skarby moje, pamiątki po twoim ojcu, które zachowałam jeszcze. Mam tam krzyżyk z drogich kamieni, który dam tobie, bo wierzę, że on ci szczęście przyniesie i od nieszczęścia ustrzeże. Mam także kantyczkę z twojemi pieśniami, mój synu, twojemi pieśniami. Ach tak byłam szczęśliwą, kiedy mi powiedziano, że to ty te pieśni napisałeś! *(wstaje).* Chodź, pokażę ci to wszystko, zabiorę moje manatki i moje żebracze ubranie na pamiątkę, a potem pójdziemy razem podziękować pannie Hannie.

TWARDOWSKI.

Chodźmy, matko moja. *(odchodzą ręka w rękę).*

Scena dziesiąta.

(Za oknem widać Hannę idącą z Czarnym Księciem ścieżką).

HANNA. CZARNY KSIĄŻĘ.

CZARNY KSIĄŻĘ *(na ścieżce).*

Popatrz. Już wyszli. Zapewnie Twardowski
Poszedł z swą matką oglądać jej skarby,
Które ze sobą wszędzie zawsze nosi.

(wchodzą).

Pewnie powrócą tu wkrótce. Usiądźmy.

(siadają).

HANNA.

A teraz powiedz mi, moja Sofronio,
Co to zagraża panu Twardowskiemu.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wybacz mi siostro. Wspomnieniami memi
Nudziłam ciebie, zamiast zaraz mówić
O tem, co ciebie zapewne zajmuje, —
Więcej zajmuje, niż treny sieroty.

HANNA

O nie, Sofronio; wdzięcznam ci za powieść,
Bom uzyskała w tobie przyjaciółkę
I przyjaciółkę, spodziewam się, szczerą,
Której od dawna tak bardzo pragnęłam.
Ale mówiłaś, że ci pomódz mogę
Przy odwróceniu groźnego nieszczęścia,
Jakie ma spotkać pana Twardowskiego...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ach, my mu obie nie zdołamy pomódz,
Choćbyśmy obie rade oddać życie,
By cios odwrócić od ukochanego...

HANNA *(wstaje zarumieniona).*

Jakto, Sofronio?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Nie gniewaj się, siostro,
Że tajemnicę, którą tak ukrywasz,
Że i przed sobą pragniesz ją zataić,
Tak śmiało w słowa odziewam przed tobą.
Ty jego kochasz...

HANNA *(siadając).*

Proszę cię, Sofronio....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ty jego kochasz, Hanno moja droga...
Czyż wątpisz o tem, że ja umiem milczeć,
Że tajemnica twa, którą znam dawno,
Bezpiecznie w mojem ukrytą jest łonie?
Albo czy nie chcesz być w obec mnie szczerą?
Więc nie chcesz zwać mnie swoją przyjaciółką?

(Hanna zwiesza głowę.)

Obie kochamy nad życie Szczęsnego:
Ja jego kocham ubóstwianiem córki,
A ty go kochasz miłością młodzieńczą
I tem silniejszą, iż jest bez nadziei...
A przecież obie nie zdołamy teraz
Odwrócić ciosu, który mu zagraża —
I jeśli ciebie teraz niepokoję,
Tem, co go spotkać musi lada chwila,
Czynię to tylko dlatego, że pragnę,
Abyś nie była nieprzygotowaną,
Kiedy z ust obcych dowiesz się nowinę,
Która ci może stać się niebezpieczną.

HANNA.

Trwożysz mnie, siostro...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Cios najboleśniejszy
Z ręki przyjaznej traci na swej sile.

(p. k. m.)

Dziś Twardowskiego po rozkosznej chwili,
W której swą matkę staruszkę powitał,
Najboleśniejszy w życiu cios go dotknie...

HANNA

Ach! ty kroplami sączysz swą truciznę...

CZARNY KSIĄŻĘ.

O, bo mnie samej trudno wypowiedzieć...

(p. k. m.)

Mówiłam tobie, że wczoraj wieczorem
Twardowski po mnie przyjechał do Dębnej,
I żeśmy w nocy tudotąd jechali.
Otóż ja znając jego starą matkę,
I widząc jeszcze dniem przedtem ją w Dębnej,
Chciałam go zaraz na ślad naprowadzić —
I wszędzie w drodze pytaliśmy o nią.
Aż wreszcie w karczmie za wsią jacyś ludzie
Nam powiedzieli, że widzieli wczoraj,
Jak tyś ją z ziemi podniosła, i potem
Z sobą do zamku swojego zawiodła.
Twardowski wyszedł na chwilę do karczmy,
Aby zasięgnąć bliższych wiadomości,
A ja zostałam w kolasie. Wtem jakiś
Stary służący przybliża się do mnie —
I nasz woźnica poznał w nim Andrzeja,
Sługę Szczęsnego. Ten tedy drżąc cały
Zbliża się do mnie i mówi, że wyszedł
Naprzeciw Szczęsnego z złowrogą nowiną —
Lecz widząc pana, utracił odwagę
I prosi, abym ja mu to doniosła,
Co jego czeka, gdy wróci do domu,
Pytam strwożona, co się w domu stało —
I on wśród łez mi wreszcie opowiada,
Że w nocy Stella, żona Twardowskiego
Z Fernandem Leccim uszła z jego domu...

HANNA *(przerażona).*

To być nie może!

CZARNY KSIĄŻĘ *(smutno).*

Ty wiesz, Hanno droga,
Że to być może — wszakże ty znasz Stellę...
Chciałam strwożona Andrzeja wypytać
O bliższy szczegół tego wydarzenia,
Lecz wszedł Twardowski i Andrzej znikł z trwogą.

HANNA.

A więc on nie wie...?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Nie miałam odwagi
Jemu powiedzieć o tem w chwili, kiedy
Spotkania matki swojej oczekiwał... *(pauza).*

HANNA

Boże, cóż czynić?...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Jego już szukają
I pewnie zaraz któryś z domowników
Przyjdzie z okropną tą wieścią do niego;
Drżę na tę chwilę...

HANNA *(z wzrastającą trwogą).*
Boże mój, cóż czynić?!

CZARNY KSIĄŻĘ.
Poczciwa Hanno, my nie odwrócimy
Od niego ciosu, co go oczekuje.
Leczbym pragnęła, ażebyś mi Hanno
Przyrzekła teraz—tu nas nikt nie słyszy,
Tylko Bóg w niebie—abyś w obec Boga
Przysięgła, Hanno, że przygnębionemu,
Gdy w pierwszych może dniach będzie rozpa-
[czać,
Gdy może później już na całe życie
Straci swój spokój, straci swą swobodę,
Że będziesz kiedyś mu pocieszycielką,
Że rada zechcesz wszystkiego dokonać,
Co mu powrócić dawny spokój zdoła, —
Że i nie troszcząc się o ludzkie plotki
I nie zważając na sąd świata — ludzi,
Oddasz mu nawet — nawet swoją rękę,
Jeśli cię o to z czasem prosić będzie.
Że też w tym celu już się nie zaślubisz,
Aby swe życie poświęcić Szczęsnemu...
Jeśli go kochasz, uczynisz to Hanno...

HANNA
Sofronio — mowa twa tu nie na miejscu...
Teraz, gdy jego spotyka nieszczęście,
Ty mi... — Sofronio, ja nie wyjdę za mąż,
Tom ślubowała Matce Boskiej dawno — —
Lecz nie dlatego, aby — — *(wybucha płaczem)*
O, Sofronio,
Ja się tak boję — patrz — już tam ktoś idzie —
Może do niego — —

CZARNY KSIĄŻĘ.
Do niego — To Maciek!
(obejmują się w trwodze).

Scena jedenasta.

CI SAMI. MACIEK. *Za chwilę* TWARDOWSKI i *JEGO MATKA.*

MACIEK.
Czy pan mój jest tutaj?
TWARDOWSKI *(wchodząc z matką).*
Czego ty chcesz Maćku?
(Maciek mu podaje list, który Twardowski rozrywa i czyta. Ponure milczenie, Hanna szlocha. Twardowskiemu drży ręka, wreszcie ją opuszcza bezwładnie i patrzy przed siebie w gwałtownej, niemej boleści. Bardzo długa pauza).
CZARNY KSIĄŻĘ *(zbliża się do niego z współczuciem).*
Wiem, Mistrzu drogi, co ciebie spotkało.
Pójdź...
TWARDOWSKI *(głosem bezdźwięcznym do Maćka).*
Gdzieś list ten znalazł?
MACIEK *(przez łzy).*
W pokoju pani...
TWARDOWSKI.
(usiłując być spokojnym, mówi głosem bez dźwięku, patrząc na obecnych).
Wybacz mi matko. Wybacz pani. Ja muszę odejść. Powrócę zaraz po południu. Muszę odejść. Zostań tu matko do południa. Chodź Sofronio.
(odchodzi z Czarnym Księciem).
MATKA TWARD. *(z trwogą do Hanny).*
Co się stało?...
HANNA.
(ocierając łzy, odprowadza matkę Twardowskiego).
Chodźmy, matko, opowiem wam...
Zasłona spada.

Koniec aktu trzeciego.

AKT czwarty

(W karczmie nadgranicznej gościnny pokój. Proste sprzęty).

Scena pierwsza.

STELLA *(siedzi przy stole z głową opartą na ręku).* FERNANDO *(wchodzi).*

FERNANDO.

Za godzinę obydwa wozy będą naprawione i będziemy mogli podróż dalej odbywać. Czy nie dasz mi całusa za tę nowinę, Estelko? *(siada przy niej, biorąc jej rękę).* Cóż tak zamyślona, Stello? *(obejmuje ją drugą ręką).*

STELLA *(opierając głowę na jego ramieniu).*

Jestem niespokojną, Fernando, dopóki znajdujemy się na polskiej ziemi.

FERNANDO.

Niespokojną przy mnie, Stello? Czegoż możesz się przy mnie obawiać? — A mnie właśnie twojego spokoju teraz potrzeba. Mamy godzinę przed sobą. — Chciałbym z niej korzystać.

STELLA.

(zaniepokojona podnosi głowę i patrzy mu w oczy)

Czy — coś nieprzyjemnego?

FERNANDO *(z zamaskowaną złośliwością).*

O, przeciwnie, coś bardzo zabawnego, Estello.

STELLA.

Ty tak dziwnie patrzysz, Fernando....

FERNANDO.

Nie, moja Stello, zdaje ci się. Patrzę tylko z niedowierzaniem na szczęście moje. Całe lata czekałem na dzień dzisiejszy — całe lata myślą o dniu tym żyłem — a kiedy nadszedł, nie mogę, nim się nacieszyć, nie umiem się nażyć tą rozkoszą. Ty mnie bardzo, serdecznie kochasz, Estello?

STELLA *(z uśmiechem pół-smętnym).*

Dałam ci dowód, Fernando, jakiego nie daje każda kobieta...

FERNANDO.

A przecież mojego szczęścia nie mogę pojąć. Czuję, że jestem go niegodnym i dlatego — wybacz mi Stello, że ci to mówię — dlatego tylko mi się wydaje, że ty nie z miłości ku mnie, tylko ze wstrętu ku swemu tyranowi mnie się oddałaś. Czy nie mam słuszności, Estello?

STELLA.

Tyranowi, Fernando? Twardowski mi nigdy nie był tyranem. On mię kochał, choć tylko po swojemu i starał mi się dogodzić, jak umiał. Był dla mnie bardzo, bardzo dobrym; — ja ubolewam nad nim, że mu sprawiłam boleść. Cóż on winien, że nie umiał mnie pojąć, że wielkim był dla świata, a w uczuciach swoich zbyt trzeźwym? Cóż winien, że mnie nie umiał zrozumieć? — Ja nad nim ubolewam szczerze, Fernando; — a stąd osądź, jak ciebie kocham, jeżeli ci poświęciłam moje dobre imię, mój spokój, siebie samą i męża, — męża największego w Polsce! Czy możesz wątpić, że cię kocham, Fernando?... Czy inna kobieta byłaby zdolną tyle poświęcić?...

FERNANDO *(w zamyśleniu)*.

A przecież był czas, w którym odrzuciłaś moją miłość...

STELLA *(biorąc go czule za rękę)*.

Na cóż o tem teraz wspominać, drogi?... Byłam dzieckiem, któremu zachciało się błyskotki; ty wiesz, że byłam dzieckiem nieopatrznem. Jeżeli o tem wspominasz teraz, w tej chwili, to chyba ty mnie nie kochasz, Fernando!...

FERNANDO.

Ja ciebie, jedyna? Ty wiesz, że Włoch — to nie Polak; że miłość Włocha jest albo nieskończenie szczytną, albo przerażająco mściwą.

STELLA *(z drżeniem)*.

Nie ma tego albo, Fernando. *(Z uśmiechem)*. Widzisz, jak mnie tem słowem przeraziłeś, drogi. Na cóż słów takich tutaj?

FERNANDO *(z dwuznacznym uśmiechem)*.

Więc ty nie pojmujesz mściwości, Estello? Ach! to i miłości nie pojmiesz prawdziwej.

STELLA.

Dla czegoż tutaj, w tej chwili... Fernando, dlaczego mi sprawiasz tę przykrość? *(przymilając się)* Dzisiaj, w pierwszy dzień szczęścia naszego?...

FERNANDO *(j. w.)*

Bo jabym chciał, abyś moją zemstę pojęła.

STELLA *(wstaje zdziwiona, nie pojmując)*.

Fernando?...

FERNANDO.

(wstaje również i bierze ją za rękę z uśmiechem).

Czy pamiętasz że ci przyrzekłem zemstę?

STELLA *(trwożliwie j. w.)*.

Fernando?...

FERNANDO.

Dzień ten pamiętasz? Podobno dziesięć dni przed ślubem twoim... Przyrzekłem ci, że się zemszczę, że miłość twą uzyskam. Czy się zemściłem, Estello?... *(serdecznie)* Powiedz mi, Estello, czy zupełnie się zemściłem?

STELLA.

(sądząc, że go teraz pojmuje; z uśmiechem, przez łzy).

O, zupełnie, zupełnie, Fernando.

FERNANDO *(z udaną serdecznością)*.

I ty mnie kochasz bardzo, serdecznie?

STELLA.

Wątpieniem twem mnie czynisz nieszczęśliwą. Patrz, mimowoli łzy mi się wcisnęły do ócz. *(Z uśmiechem łzy ociera)* Niedobry!

FERNANDO.

A więc mi powtórz droga: bardzo, serdecznie?

STELLA.

Powinnam cię ukarać słówkiem: nie!

FERNANDO.

Ale mnie tak nie ukarzesz, nieprawdaż?... Serdecznie?...

STELLA *(rzucając się mu na szyję)*.

Z całej duszy!

FERNANDO.

(ręce jej ze szyi zdejmuje i odtrąca je. Głosem zmienionym, szyderczym).

Nie tak gorąco, moja droga! *(odstępuje o krok i patrzy na nią szyderczo)*. Jestem pomszczony, Signora. *(Kłania się ironicznie)*.

STELLA *(osłupiała głosem stłumionym)*.

Fernando!

FERNANDO.

Jestem pomszczony, Signora. Włoch zemsty zaprzysiężonej zawsze dotrzymuje. Uprowadziłem cię, ażeby cię rzucić zbezszczeczoną. Widzisz, że rzeczy nazywam po imieniu. Uprowadziłem cię, ażeby usłyszeć od ciebie słodkie wyznanie i potem w twarz ci je rzucić, jak ty mnie niegdyś. Czy ty wiesz, Stello, co ty wtedy ze mnie uczyniłaś? Łotra, łajdaka, który sam sobą później musiał pogardzać; — bo stałem się płatnym szpiegiem i uprzywilejowanym zbrodniarzem. Dlatego, żeś mnie odrzuciła, Stello, bo dlatęgo zostałem w Polsce, aby módz zemścić się kiedyś — i odrzuciłem świetną karyerę jaką mi krewni ofiarowali we Włoszech. Aby zostać przy tobie, a mieć żyć z czego, byłem szpiegiem i zbrodniarzem. To dlatego jedynie, że mnie odrzuciłaś, Stello. Kolej na ciebie, moja droga. I ty poznasz, co znaczy odrzucona miłość. Jesteś dość ładną na — dziewkę publiczną —

STELLA.

(która naprzemian to bladła, to rumieniła się, z nagłym wybuchem).

Ah, podły!...

FERNANDO.

Chachacha! Bawisz mnie, Stello. Jesteś zachwycająca z tym rumieńcem gniewu i żałuję, że niema tu mego woźnicy, który właśnie przed chwilą cmokał ustami, nie mogąc się nachwalić, jaka to piękna pani! Ale prawda, cóż ci z jednego woźnicy, kiedy ich tu mieć będziesz dziesiątkami?... Ah, wściekasz się! I ja się wściekałem, kiedy tyś śmiała się; — kolej śmiechu na mnie, iż dumna rodzina Bertuccich i jeszcze dumniejsza Twardowskich w osobie jednej kobiety właśnie ma się poświęcać dla dobra publicznego... Chachacha!...

STELLA.

Precz stąd, nikczemny!

FERNANDO.

Jeszcze krew dumna Bertuccich mało jest upokorzoną? Czy może chcesz słyszeć jeszcze, jaką będziesz za czas krótki? Słów mi brak na to; rzeczywistość zawsze przejdzie oczekiwanie...

STELLA *(która odzyskała już częściowo spokój).*

Odejdź, Fernando! Pochodzę z rodziny Bertuccich i jestem Włoszką, słusznie powiedziałeś! Odejdź Fernando!

FERNANDO.

Groźby, gołąbko? Przyznaj, że trochę zabawne są na tem miejscu. Powinienbym odejść i ciebie tutaj zostawić. Ale chcę być wspaniałomyślnym i jeszcze rycerskim się okazać. Musiałabyś może z głodu zginąć; zostawię ci trochę pieniędzy, dopóki nie znajdziesz zatrudnienia. Powiedz mi, ile cenisz twoje całusy? Mogę za nie jak książę zapłacić, chociaż je wkrótce będziesz sprzedawać za grosze!

STELLA.

(z wybuchem wściekłości chce rzucić się ku niemu; Fernando usuwa się ze złośliwym uśmiechem. Stella nową myślą uderzona, stara się uspokoić).

Masz słuszność, Fernando... Zabrałeś walizy moje i wszystko... Aby powrócić do Twardowskiego, muszę mieć pieniądze. Daj mi je.

FERNANDO.

Jestem zachwycony, moja droga. Do męża chcesz wrócić? Brawo, brawo, Stelko! Myślisz, że będzie mała scenka małżeńska, a potem się wszystko ułoży. *(Wzruszając ramionami)* Cóż mi zresztą do tego? Żądasz zapłaty za swe pieszczoty; żądanie twoje słuszne i ja za nie płacę. Oto. *(zbliża się do niej i podaje jej sakiewkę. Stella, która jego ruchy śledziła gorączkowo, w tej chwili dobywa sztyletu i chce go ugodzić. Fernando chwyta ją za rękę i zamach unicestwia).* Ah, oso! żądełko pokazujesz? *(ściska silnie jej rękę, z której sztylet pada na ziemię i trąca ją na krzesło. Podejmuje następnie sztylet i ogląda go).* Na Maryę Pannę, sztylet zatruty! Draśnięcie byłoby mnie zabiło! Znam firmę: jest niezawodną. Pozwolisz, że go zachowam na pamiątkę. *(wskazuje na sakiewkę leżącą na ziemi).* Zgubiłaś sakiewkę, Signora. *(Kłania się i chce odejść).*

STELLA *(usiłując zachować spokój).*

Fernando!

FERNANDO.

Czem mogę służyć?

STELLA.

Zwróć mi ten sztylet.

FERNANDO.

Będę się strzedz, szanowna pani. Mogłabyś się uszkodzić: to broń nie dla dam. Szkodaby było życia tak drogiego. A propos, Signora. Pieniądze te możesz wziąć bez skrupułów: są one ceną za wiadome ci papiery twojego małżonka.

STELLA *(przerażona bledniejąc).*

Szatanie!

FERNANDO.

Ah, to nowina niemiła, nieprawdaż? Spodziewam się, że nie będziesz tak nierozsądną, aby wrócić do męża, na którego w tej chwili już pewnie podpisują dekret uwięzienia? *(Stella mdleje, Fernando jeszcze nie spostrzega tego).* Fernando nie mści się w połowie; zemsta tylko wtedy jest prawdziwą, jeżeli jest nieubłaganą. *(Patrzy uważnie na Stellę i zbliża się).* Zemdlona?... Zdaje się, że zemdlała naprawdę... *(odchodzi gwiżdżąc. We drzwiach spotyka Twardowskiego i Czarnego Księcia. Cofa się z okrzykiem przerażenia).*

Scena druga.

CI SAMI. TWARDOWSKI. CZARNY KSIĄŻĘ *(w ubraniu męskiem, jakoby kancelisty XVI wieku).*

CZARNY KSIĄŻĘ.

(wprowadzając Twardowskiego, wskazuje na Stellę):

Popatrz, zemdlała. *(wskazuje na Lecciego).* To ten szatan winien!

TWARDOWSKI.

(przechodzi koło Lecciego, nie patrząc na niego i zbliża się do Stelli. Bierze szklankę wody na stole stojącą i skrapia jej skronie. Stella przychodzi zwolna do siebie. Twardowski śledzi jej ruchy i chcąc ją przyprowadzić do przytomności, kładzie rękę na jej ramieniu, wymawiając jej imię).

Stello!...

STELLA.

(na wpół przytomnie, otwierając oczy, dostrzega Twardowskiego. Czule):

Feliksie!

(przychodzi do siebie zupełnie i przypomniawszy sobie, co się dzieje, zakrywa twarz z okrzykiem).

Ah!...

(Twardowski stoi przed Stellą z wyrazem niewypowiedzianego bólu. Czarny Książę wzruszony na pozór, Lecci, który powstrzymany przez Czarnego Księcia, napróżno starał się wymknąć, również).

TWARDOWSKI.

(po długiej bardzo pauzie głosem przytłumionym, ale stanowczym).

Pomódl się, Stello!....

STELLA

(osuwa ręce z twarzy i patrzy przez łzy na męża).

Teraz nie mogę.... Czyliż w takiej chwili
Można się modlić?... Ty wiesz, że nie mogę...

TWARDOWSKI *(cokolwiek łagodniej).*

Pomódl się, Stello, by ci Bóg przebaczył....

STELLA *(rzucając się na kolana).*

Mój Bóg na ziemi. Ja tamtego nie znam.
On nie ma prawa mi tego przebaczyć,
Jeżeli wprzódy ten mi nie przebaczy....
(Twardowski milczy schmurzony).
Ja pragnę śmierci; — śmierć dla mnie zbawieniem,
Śmierć mi potrzebą... Wszakże żyć nie mogę...
Lecz mężu — błagam — o słowo litości....

TWARDOWSKI.

Powstań, Estello.

STELLA.

Ach, ty mną pogardzasz....

TWARDOWSKI *(surowo).*

Powstań, Estello....

(Stella usiłuje powstać, ale osłabiona nie może. Twardowski podaje jej rękę, którą ona całuje, i usadawia ją na krześle łagodnie).

TWARDOWSKI *(po chwili).*

STELLA *(wijąc się z rozpaczy).*

O Boże, Boże! Ty mi nie przebaczysz!....

TWARDOWSKI *(gorzko).*

A zatem sądzisz, żem niesprawiedliwy?
Czy na obronę masz mi co powiedzieć?
Czy łagodzące masz okoliczności?
Mów Stello, słucham....

STELLA.

O, jam wiele winna....
Lecz kara moja winę mą przewyższa....

TWARDOWSKI.

Kara twa, Stello?... Że cię łotr opuścił?...
Za przeniewierstwo karą przeniewierstwo?...

(Lecci znów chce się wymknąć, lecz powstrzymuje go Czarny Książę).

STELLA *(z promykiem nadziei).*

Ah! więc ty wiesz już....?

TWARDOWSKI.

Wiem, że cię opuścił.

(p. k. m.)

Czy zatem winę twą to już obmyło?
Czy mam żałować teraz ciebie, Stello?
Czy mam otworzyć ci moje ramiona?
Czy mam cię prosić, byś do mnie wróciła?
Mów Stello, słucham słów twych z ciekawością.

STELLA.

Ach, w twoich oczach niema przebaczenia!
Niema litości dla cierpiącej tyle!

TWARDOWSKI.

A więc ty tyle — tak straszliwie cierpisz,
Że wiarołomny łotr ciebie opuścił?
Twojeż cierpienie porównywasz z mojem,
Kiedy mię własna opuściła żona?....

STELLA.

Moje cierpienie?... Że mię on opuścił?
Na tem polegać ma moje cierpienie?!....
Na tę ironię ja nie zasłużyłam....
Możesz mię zabić, na to zasługuję,
Lecz na szyderstwo jam nie zasłużyła....

TWARDOWSKI *(p. k. m. trochę zdziwiony).*

Ironia, Stello? Nie rozumiem ciebie....
Cóż ciebie więcej od tego dotyka?....

(szyderczo)

Czy może przykro ci, że ja boleję?
Może żałujesz za twe przewinienie?....

(gorzko).

Przyznaj, że trudno mi uwierzyć skrusze,
Która przychodzi w chwili ukarania.
Za taką skruchę niema przebaczenia....

STELLA.

Ja przebaczenia nie żądam, Feliksie;
Za mój występek niema przebaczenia....
Ja błagam tylko o słowo współczucia,
Błagam, gdy karę odbiorę z twej ręki,
Abyś z pogardą o mnie nie wspominał....
Występek ukarz ręką sprawiedliwą,
Ale nieszczęściu oddaj łzę współczucia....
Sądzisz, że ja się mienię nieszczęśliwą,
Z błahej przyczyny, iż mię ten opuścił,
O którym z wzgardą, z wstrętem tylko myślę;—
Mniemasz, że skruchą udaną chcę znowu
Wkraść się na miejsce, któregom niegodna;—
Na wszystko święte przysięgam ci mężu,
Że myśli takiej nigdy nie dopuszczę, —
Że śmierci teraz — śmierci tylko pragnę
Jeżeli tylko ——
Lecz ty mi nie wierzysz,
Nie chcesz uwierzyć; — bom niegodna wiary,—
Ty mi nie wierzysz, że przez wieść dopiero
Iżeś zdradzony; — iż ja, twoja żona,
Do zdrady strasznej, ohydnej, piekielnej

Pomimowoli mej byłam pomocną —
Tylko w tej chwili, przez tę tylko pewność
Tak nieskończenie byłam nieszczęśliwą
Iż i przed śmiercią wzdrygnąć się musiałam.
(p. k. m.)
Mężu! Za chwilę mnie nie będzie więcej;
Za chwilę stanę przed obliczem Boga,
Aby za grzechy me odpokutować —
A w takiej chwili nikt nigdy nie kłamie....
Czy mi uwierzysz, żem cię nie zdradziła?
Czy mi uwierzysz, że twoje papiery
Które wydałam prawie przymuszona,
Lecz zawsze w myśli, że dla twego dobra, — —
Mimo mej wiedzy i wbrew mojej woli
Na twoją szkodę były obrócone?
Pomnij, że cierpieć nieskończenie muszę,
Wiedząc, co ciebie przez tę zdradę czeka;
Pomnij, że przez to z bolejącem sercem
Będę musiała zginąć wśród rozpaczy —
Czyliż chcesz jeszcze bym z tem przeświadcze-
[niem,
Iż ty mnie swoją mianujesz zdrajczynią,
Skonała w bólu strasznym, niepojętym?
Umierającej czyli nie uwierzysz?

TWARDOWSKI.

(którego oblicze przybierało zwolna łagodniejszy, wreszcie wzruszony wyraz).
Wierzę ci, Stello.

STELLA *(przyciskając rękę jego do ust).*
O dzięki ci, Szczęsny!
Skon mi łatwiejszym teraz uczyniłeś....
(p. k. m. spuszczając oczy).
Lecz jeszcze słowo. Ja byłam występną,
Ciebie, ideał męża opuszczając....
Za ten występek niema przebaczenia,
Niema dla niego usprawiedliwienia....
Byłam występną.... Lecz Bóg ukarawszy,
I widząc skruchę, grzechy zapomina,
Jeżeli wprzódy grzechy te zopomną
Ci, przeciw którym występki zwrócone....
Mego występku się nie zapomina,
Wiem to niestety.... Ale — ale — mężu,
Ty widzisz karę, jaką tu ponoszę,
Ty widzisz męki niewypowiedziane,
Które skonowi memu towarzyszą....
Czyż kara taka nie zmywa występku?
Czy ty — z pogardą żonę zawsze wspomnisz,
Czy — ach, ja czuję, żem łaski niegodna!
(wybucha płaczem).

TWARDOWSKI *(łagodniej, ale bez wzruszenia).*
Ja ci wybaczam. Niech ci Bóg wybaczy.

STELLA *(uśmiechając się).*
Ach, Bógby Bogiem nie był, będąc mściwszym...

TWARDOWSKI *(p. k. m. łagodnie).*
Czy masz życzenie jeszcze jakie, Stello?

STELLA *(wahając się).*
Jeśli mi wolno mieć jakie życzenie,
To niech ten człowiek.... On chciał mścić się
[na mnie,
A nie na tobie... Niechaj wyjdzie wolno....
(Na skinienie Twardowskiego Czarny Książę puszcza Lecciego, który się wymyka).

TWARDOWSKI.

Czy masz zlecenie dla twojej rodziny?

STELLA.

Nie mam rodziny. Matka moja w grobie,
Siostry i bracia mej matki.... niegodni....
(spuszczając oczy).
Jednakże pragnę.... pragnęłabym wiedzieć,
Jakie mieć będzie skutki jego zdrada....

TWARDOWSKI.

Żadnych. Papiery te wszystkie spalone. —

STELLA *(z radością).*
Dzięki ci, mężu! O, dzięki ci, Boże!
Jestem szczęśliwą i umrę szczęśliwą.

TWARDOWSKI *(odwracając się).*
Chcesz umrzeć, Stello?....

STELLA *(wahając się, zdziwiona).*
Wszakże tu przyszedłeś....

TWARDOWSKI.

Możesz żyć, Stello... Ja ci wybaczyłem,
Jeśli chcesz, dam ci.... zapis jednej wioski...
Lub jeśli wolisz — u Benedyktynek....

STELLA *(p. k. m.).*
Ja o śmierć proszę....

CZARNY KSIĄŻĘ *(zbliżając się).*
I ja ją rozumiem.
Przyzwyczajona błyszczeć, być szczęśliwą,
Cichego życia, w spokoju nie pojmie....

STELLA
(patrząc zatrwożona na Czarnego Księcia).
Kto jest ten człowiek?....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Przyjaciel Szczęsnego
I współczujący twój przyjaciel, pani.

STELLA.

(trwożliwie, nie odwracając oczu od Czarnego Księcia).
Mężu!.... *(z wzrastającą bojaźnią).*
Feliksie!.....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mnie się nie trwóż, pani;
Ja cię pojmuję — i Twardowski we mnie
Ma najszczerszego pewnie przyjaciela....

STELLA *(j. w.)*
Każ wyjść mu, Szczęsny....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Sam odejdę, pani,
Jeśli obecność moja jest ci przykrą.
(kłania się i w głąb odchodzi).

STELLA *(ciągle zaniepokojona).*
Tyś do wyboru dał mi życie, Szczęsny....
Boję się umrzeć.... Daj mi życie, mężu....

TWARDOWSKI.
Możesz, żyć, Stello. Spocznij tutaj trochę,
A ja ci wkrótce nadeślę kolasę,
Która zawiezie cię do twojej wioski.
(chce odejść).

STELLA *(powstaje i porywa jego rękę).*
Litości, mężu!.... Ja życia się boję!....
Litości mężu!.... Ja tu być nie mogę....
Ach, śmierć tak straszna!.... Życie takie stra-
[szne!....

TWARDOWSKI.
Stello, uspokój się.... Pomódl się, dziecię....
To tobie ulży....

STELLA.
Modlić się nie mogę —
Śmierć — życie — wzrok twój... Wzrok twój
[mnie zapalił....
Bogarodzico!... Szatanie!... Tam — w kącie...
Ziemia mnie chłonie... Litości! Litości!....
(pada na krzesło bez życia).

CZARNY KSIĄŻĘ *(zbliża się).*
Umarła, Mistrzu....

TWARDOWSKI *(zbliżając się do umarłej).*
Umarła?!

CZARNY KSIĄŻĘ.
Umarła.
Z trwogi przed życiem i z trwogi przed śmiercią
Umarła, Mistrzu. Krew jej mózg zalała....

TWARDOWSKI.
(pośród daremnych usiłowań przywrócenia jej do życia).
I bez modlitwy!....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Nie bluźnij, mój Mistrzu.
W ostatnich chwilach odpokutowała.
Tyś jej wybaczył, więc jej Bóg wybaczył.
(Odchodzą).

—o—

Zmiana.

Scena trzecia.

(Drogi krzyżujące się. Z prawej karczma „na Rozdrożu". Za nią las. Po lewej pola. W dali góry).

TWARDOWSKI. CZARNY KSIĄŻĘ.
(przychodzą drogą z lewej).

TWARDOWSKI.
To więc jest karczma na Rozdrożu?

CZARNY KSIĄŻĘ.
Tak jest.

TWARDOWSKI *(chcąc otworzyć drzwi).*
Ale zamknięta.

CZARNY KSIĄŻĘ *(wzruszając ramionami).*
Zamknięta i pusta.
Już od miesiąca tu niema pachciarza.
Wkrótce nadejdzie tu Hanna z twą matką;
Czy tu poczekasz? Może pójdziesz do nich?

TWARDOWSKI.
Poczekam trochę *(siada na ławce przed kar-
[czmą).*
Chcę trochę ochłonąć.
(p. k. m.)
Powiedz mi, Książę! ona cię poznała?....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Dziwisz się, Mistrzu? Nie rozumiesz tego?
Hanna mnie przeczuć nie mogła, bo czyste,
Niewinne dziecię w złem dobro odkrywa,
Z złem igrać może, zła nie przeczuwając —
A zła istota, która zna występek,
Nawet i w dobrem wszędzie zło odkrywa.

TWARDOWSKI *(w zamyśleniu).*
Tyle przeżyłem w ostatnich godzinach,
Że mi się wszystko snem tylko wydaje....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Czyliż snem nie jest całe ludzkie życie?
Tyś wiele przeżył w tych kilku godzinach,
Bo żyjesz teraz życiem nadzwyczajnem.
Masz przewodnika, teraz nadziemskiego,
A więc jak Bogu w tych kilku godzinach
Całe się wieki życia zamykają....

TWARDOWSKI.
Ale za słaby człowiek na te przejścia:
Ja czuję w sobie teraz rozstrój dziwny.

CZARNY KSIĄŻĘ.
To nowe życie, mój Mistrzu, nie rozstrój.
(dotyka go nieznacznie laseczką).

TWARDOWSKI *(zaniepokojony).*
Czuję niepokój jakiś dziwny w sobie....
Co to jest, Książę?....

CZARNY KSIĄŻĘ.
Przeradzasz się, Mistrzu.

TWARDOWSKI *(wstając).*
Krew w żyłach żywiej poczęła mi krążyć —
W głowę się wznosi — w oczach mi się ciemni...

CZARNY KSIĄŻĘ.
W nowego, Mistrzu, człeka się przedzierżgasz...

TWARDOWSKI.
Lecz ja samego siebie nie rozumiem!
Dziwna się we mnie odbywa przemiana....
(patrzy przed siebie jakoby zdumiony)
Opadły z oczu mi ćmiące obłoki,
I czuję lubość dotychczas nieznaną....
Potęgą ducha stałem się olbrzymem!

(głęboko oddycha. Krótka pauza. Twardowski najprzód na drzewo przed sobą, potem w około rozgląda się z wzrastającym zachwytem. Czarny Książę patrzy na niego z uśmiechem).

(półgłosem, bezwiednie).

Świat cały teraz....
W przecudnej harmonii
Cała przyroda akordem dźwięknęła —
(z wybuchem zachwytu).
Jawąż — to? Snem — że to złudnym?....
Życie wpłynęło
W drzewa i zioła,
Wszystko dokoła
Owionęło
Czarem przedziwnym a cudnym!....
W listeczkach i trawkach zatętniło życie,
Szmer dziwnie wymowny przebiegł po roślinach.
W górach i dolinach,
W chmurach i na ziemi
Znaki tysiącznemi
To jawnie się dusza objawia, to skrycie....
W żyłkach przyroda liść każdy ożywia,
W cudnych fantazyach źdźbła trawki rozwiesza
To je roztkliwia,
To je rozśmiesza,
To je ku sobie nachyla figlarnie,
To znów swawolnie wietrzyk naprowadza,
Który je garnie
I znów rozprasza,
Jednym tchem zbawia i zdradza....
A w koło kwiatów mnóstwo żyjątek
Jej sławę rozgłasza.
Po milion ich żywią wszystkie liścia nerwy,
Po milion kołyszą zgięcia źdźbła każdego,
To rodzą się ciągle, to giną bez przerwy,
A zgon każdego
Innemu się zmienia w życia początek!
I w ziemi pod stopą zatętniło życie,
Harmonią jestestwa zadźwięczały skały,
Radosnym im szmerem chmury odśpiewały
I w polach
I w rolach
To jawnie się dusza objawia, to skrycie!....
I ja je rozumiem, to boskości tchnienia —
I ja ją pojmuję, tę anielską zgodę,
Pojąłem to życie, co się rozpromienia
Z obłoków, z skał, z lasów i pól ——
Objąłem mym duchem dziś całą przyrodę
Ja, człowiek, jej władca i król!....
(patrzy z zachwytem w około).

CZARNY KSIĄŻĘ.

(p. k. m. kładzie mu rękę na ramieniu).
Marzysz, mój Mistrzu. Patrz, człowiek, jej [władca
W łachmanach pełznie i ku nam się zbliża...
(z za kulis żebrak pełznie po ziemi wlokąc za sobą złamaną nogę).

ZEBRAK *(przypełzawszy).*

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje....

TWARDOWSKI.

A ja go podniosę! Król światów i życia
Ja, — go podniosę. Widzę jego życie,
Widzę nieczystość i soki żywotne,
Które zepsute kalectwo mu dały.
Ale mam życie tu w około siebie,
Mam wszystkie skarby, które jemu brakną,
Których nie widzi, choć go dotykają,
Których nie widzi, bo mnie nie dorównał,
Ale ich skutki na sobie dostrzeże.. ..

ŻEBRAK *(żałośnie).*

Dajcie grosz biednemu kalece, dajcie nieszczęśliwemu! Dwoje dzieci maleńkich mi po żebrach chodzą.... Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna....

TWARDOWSKI.

Czuję olbrzymią potęgę w mem łonie: —
Na me skinienie dzielą się żywoty
I stu prądami za wolą mą idą —
Jam je rozpoznał, ja niemi kieruję,
One mej woli królewskiej posłuszne
Płyną, krzyżują się.... *(p. k. m. do żebraka [wyciągając rękę).*
Powstań, człowiecze!
(Żebrak pomimo woli nogę złamaną wyciąga i kurczy, wreszcie trwożnie wstaje i z początku niepewnie, stopniowo coraz pewniejszym krokiem postępuje).

ŻEBRAK *(wzruszonym tonem).*

O Boże mój!.... Panie!....

TWARDOWSKI *(dając mu sakiewkę).*

Odejdź, człowiecze. Niech cię szczęście wiedzie.
(żebrak odchodzi).
(Chwila milczenia. Twardowski zamarzony).

CZARNY KSIĄŻĘ *(p. k. m.).*

Szczęśliwyś, Mistrzu?....

TWARDOWSKI.

O, nad wszelki wyraz....
Światom panuję mym duchem, mą siłą....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Za lat tysiące ludzie tacy będą,
Jakim ty dzisiaj się stałeś, mój Mistrzu!
Jeszcze tysiące lat spłyną, nim wszyscy
Staną się godni swego posłannictwa
I uzyskawszy majestat boskości,
Poznawszy własną potęgę i godność,
Rzeczywistymi się staną panami
Całej przyrody, tak, jak być powinni....

TWARDOWSKI.

Za lat tysiące.... Jakże ludzie biedni....

CZARNY KSIĄŻĘ.

I wtedy szczęście pośród nich zamieszka,
Wtedy się wzajem kochać, cenić będą, —

Wszyscy królowie nad piękną przyrodą
W zgodnych współrządach, światy uszczęśliwią
Ale do tego daleko.... daleko....

TWARDOWSKI.

Za lat tysiące!.... A jam dziś już pojął....!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Żmudnem badaniem, żmudnem wyrywaniem
Przyrodzie cudnej wszystkich jej tajemnic,
Jedna po drugiej, — i żmudnem walczeniem
Z ślepotą wielu, żółwim tylko krokiem
Tam dojdą, gdzieby dawno być powinni....
A ty, mój Mistrzu, bez trudu nabyłeś
Przyrody całej wszechpojęcie w mgnieniu. —

TWARDOWSKI.

Lecz ja nabyłem tę wiedzę nie dla mnie,
Ona jest wszystkich własnością — i ja ją
Mogę i muszę podzielić z wszystkimi!....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ach! godne siebie powiedziałeś słowa;
Aleś nie zważył — boś jeszcze nie pojął
Jaką olbrzymią jest cała twa wiedza.
Ty rzutem oka światy obejmujesz,
Przed twoją wiedzą nic nie ma skrytego,
Niepojętego nic dla ciebie nie ma....
Lecz jeszcze sprawy zdać sobie nie możesz,
Jaki jest przedział między twoją wiedzą,
A między wiedzą nędznych twych współziemian,
Między pojęciem twem doskonałości,
A popędami zwierzęcymi innych.
Czyż pojmiesz pracę, jakiej będzie trzeba,
Aby powoli wprzód ich przygotować
I tak stopniowo ich umysły kształcić?
Chyba rozłożysz swą pracę na lata,
Dniami i nocą wydołasz pracować —
A któż w twem miejscu tego się podejmie?....

TWARDOWSKI *(z zapałem).*

Ja się podejmę! Dniami i nocami
Będę pracować.... Sto im wydam tomów
I w stu tych tomach dam im całą wiedzę!....

CZARNY KSIĄŻĘ.

Sto tomów, sądzisz?.. Popatrz na ten kwiatek:
Czyli sto tomów na niego za wiele?....

TWARDOWSKI.

(biorąc Czarnego Księcia za ramię).

Ty mi pomożesz — wszak mi pomódz musisz...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wiernym ci będę zawsze pomocnikiem.
Pozostań, Mistrzu, przy twoim zamiarze,
A będziesz wielkim, będziesz nieśmiertelnym!...

Scena czwarta.

CI SAMI. *Zwolna schodzą się* RÓŻNI WŁOŚCIANIE. *Ku końcowi sceny* HANNA I MATKA TWARDOWSKIEGO.

(Żebrak z poprzedzającej sceny prowadzi kobietę z dzieckiem na ręku).

CZARNY KSIĄŻĘ *(z uśmiechem).*

Czego wy chcecie?

(Nadchodzi więcej włościan i kobiet).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Czegoż żądacie? Mówcie dobrzy ludzie.

(Pomiędzy włościanami naradzania i szepty. Jeden z młodych włościan przystępuje do Twardowskiego i nisko mu się kłania. — Zwolna jeszcze nadchodzą włościanie, dziewczęta, kobiety).

WŁOŚCIANIN.

My tu proszę Wielmożnego pana *(kłania się)* przyszliśmy za poradą tego człowieka *(wskazuje na żebraka)*, bo on nam mówił, że Wasza Miłościwość jemu poradził na nogę. My mamy u siebie tyle różnej biedy, że za przeproszeniem honoru Wielmożnego pana chcieliśmy także prosić o poradę.

TWARDOWSKI *(z uśmiechem).*

A ty najpierwiej, nieprawdaż, walny mój chłopcze? Idź do domu i pomódl się do Matki Bożej, aby wstawiła się do Boga za ojcem twoim, który już od trzech lat łóżka nie opuszcza. A potem pójdź do starego, połóż mu łagodnie rękę na czoło z serdecznem życzeniem, aby był uzdrowiony i kiedy zaśnie, to go nie opuszczaj, tylko objąwszy rękoma szyję jego, skłoń głowę na jego wezgłowie i także uśniesz. Kiedy obydwaj się ockniecie, to ojciec twój już będzie o wiele zdrowszym i powoli wstawać będzie. Kochaj ojca, bądź poczciwym i ufaj, a wyzdrowieje zupełnie. *(Wieśniak kłania się i odchodzi uradowany).* — Cóż to wam, kobieto, brakuje?

KOBIETA.

(z dzieckiem na ręku wysuwa się i kłania).

A to proszę Wielmożnego pana, mój mąż....

TWARDOWSKI.

Zalewa się wódką, nieprawdaż? A przez to i dobytek marnieje i wszystko? Klin klinem trzeba wybijać, moja kobieto: mieszajcie mu do każdej strawy wódkę, ale tak, aby poczuł pijaczysko, a obaczycie, że wkrótce sobie zbrzydzi oparę. *(Kobieta dziękując odchodzi).* — Nie wstydź się dzieweczko; i tobie pomogę, jeżeli mogę.

DZIEWCZYNA.

(popychana przez innych wysuwa się i zakłopotana bawi się fartuszkiem, spuszczając oczy).

TWARDOWSKI.

Jontek sobie rękę złamał, nieprawdaż Marysiu? Trochę ci wstydno, że nie on najładniejszy we wsi? Narwij paproci w lesie dębowym, ugotuj i zmięszaj z oliwą — a tę maść niechaj twój narzeczony przykłada. Wyzdrowieje wkrótce, jeżeli

ty mu przy tem pomożesz. *(Dziewczyna odchodzi prędko zakłopotana. Z grupy wysuwa się człowiek, w wyszarpanej miejskiej kapocie, typ skąpca).*

SKĄPIEC.

Jeżeli Jaśnie Wielmożny dla wszystkich taki łaskawy, to i ja w mojej biedzie....

TWARDOWSKI.

Wiem, wiem, stary kutwo, czego ci trzeba.

SKĄPIEC *(zaciera ręce).*

Ta to proszę pana....

TWARDOWSKI.

Tak, gdyby skarb maleńki znaleźć?

SKĄPIEC *(oblizując się).*

Ach, panie, taka nędza!

TWARDOWSKI.

I po cóż ci to tego, po co? Aby liczyć pieniądze i dać im pleśnieć w kufrach! Ale cóż mi tam do tego; chcesz, dam ci sposób odkrycia skarbu. Jest pusta chata w Bierzanowskim lesie. O zmroku pójdź tam i weź z sobą świecę, dziesięć groszy i worek. Przez całą noc licz tych dziesięć groszy od jednego do dziesięciu i znowu od dziesięciu do jednego. Skoro kur zapieje, otworzy się ziemia przed tobą i ukaże skarb wielki, który będziesz mógł w wór swój zabrać. Pamiętaj jednak, że jeżeli raz się omylisz, albo przestaniesz na chwilę, to nic z tego.

SKĄPIEC.

Stopki wielmożnego pana całuję. *(Odchodzi śpiesznie). (Znów narada między wieśniakami, jeden drugiego wypycha).*

CZARNY KSIĄŻĘ.

(półgłosem do Twardowskiego, wskazując w kulisy w prawo).

Widzisz ich, Mistrzu? Czy poznajesz Hannę?
Patrz na nią; teraz ją potrafisz poznać.

TWARDOWSKI *(półgłosem patrząc na Hannę).*

Czyste, niewinne i przecudne dziewczę;
Dusza jej śnieżną ma czystość anioła,
A przy tem — Książę! — Ona mnie — mnie [kocha!....
(wychodzi na spotkanie matki i Hanny).

CZARNY KSIĄŻĘ *(do ludu).*

Odejdźcie teraz. Mistrz Twardowski teraz
Nadto zajęty. Kto chce, niechaj przyjdzie
Do jego domu w Krakowie. Tam każdy
Zna i pokaże wam jego mieszkanie.
(Ludzie się rozchodzą powoli. Twardowski, Matka jego i Hanna wchodzą do karczmy ,którą Hanna otwiera.).

Scena piąta.

CZARNY KSIĄŻĘ *(sam).*

(patrząc za Twardowskim, szyderczo).

Idź zaślepieńcze! Idź na swoją zgubę!
Mienisz się wielkim i królem przyrody!
Chcesz uszczęśliwiać ludzkość swoją wiedzą,
Jednym zamachem świat cały przetworzyć!
Idź zaślepieńcze! I z ideałami.
Wystąp przed ciemnym rodem ciebie godnym,
Nie pomnij na to, żeś wyprzedził ludzkość
Swojem marzeniem, swemi ideami
O wieki całe; — że ich zdziwisz wiedzą,
Lecz potem znudzisz — potem dopniesz tego,
Że cię szaleńcem i głupcem ogłoszą!
Idź zaślepieńcze z swoją nową wiedzą,
Gdy chcesz zamachem jednym świat przetwo- [rzyć;
Nie pomnij na to, że przez długie drogi
I przez powolne przygotowywanie
Nowym ideom kolej się buduje; —
Nie pomnij na to, że światłość i prawda
Zćmiewają oczy nieprzygotowanych
I zaślepiają ich, miasto oświecić!
Przepomnij o tem, że twoja ojczyzna
Na ciebie czeka jak na zbawiciela —
I swą ideą uszczęśliwiającą
Miasto u siebie porządek utworzyć,
Aby stopniowo dalej go rozszerzać,
Jednym zamachem zamęt więcej zamąć!
Idź zaślepieńcze i pracuj gorliwie,
A szatan ciebie uściśnie z radości!
(z szatańskim śmiechem wybiega).

Scena szósta.

ŻELIGA. BOROWSKI *(z lewej strony).*

BOROWSKI.

Oto miejsce, w którem się zejść macie panowie. Mówił mi Różanowski, że ma przybyć ze Starowiejskim na plac przed karczmą na Rozdrożu.

ŻELIGA.

A więc poczekajmy. Spodziewam się, że na Różanowskiego można liczyć pod tym względem?

BOROWSKI.

I na Starowiejskiego.... Przyjdą niezawodnie. *(p. k. m.)* Wybaczysz mi pan, że jako wtórujący zapytam się o właściwy powód pojedynku, — bo go nie znam, a znać powinienem.

ŻELIGA *(z marsem).*

Czy to ma być wymówką, Mości Panie, że obawiasz się, czyli nie wtórujesz niegodnemu?

BOROWSKI.

Nie, Mości Żeliga; biorąc na siebie bez wahania obowiązek wtórowania panu, udowodniłem, że Waszmość Panu ufam zupełnie. Ale jest zwyczajem....

ŻELIGA.

Mój przeciwnik obraził pannę Herburtównę.

BOROWSKI.

Czy masz pan prawo jej bronić?

ŻELIGA.

Łotrem, kto białogłowy nie broni!

BOROWSKI.

Idą nasi przeciwnicy.

Scena siódma.

CI SAMI. STAROWIEJSKI. RÓŻANOWSKI *(z prawej)*.

RÓŻANOWSKI.

Jesteśmy, moi panowie. Jeżeli jest możliwa jaka zgoda, to ja z obowiązku mojego....

ŻELIGA.

Nie trać Waćpan słów nadaremnie.

STAROWIEJSKI.

Zgoda jest niemożliwą.

RÓŻANOWSKI.

Pozwólcie jednak, że wam opowiem....

ŻELIGA *(przerywa z marsem)*.

Oznaczcie miejsce, i — oto moja szabla. *(podaje obnażoną szablę Różanowskiemu)*.

STAROWIEJSKI.

Oto moja. *(podaje swoją Borowskiemu. Borowski i Różanowski mierzą szable)*.

Scena ósma.

CI SAMI. *Nadbiega* RACIBORSKI. *Potem* HERBURT. *Ku końcowi* TWARDOWSKI i HANNA.

RACIBORSKI *(bez tchu)*.

Stójcie panowie! Do pojedynku przyjść nie może! *(głęboko oddycha)*.

ŻELIGA.

Co to się znaczy? *(Herburt wchodzi)*.

RACIBORSKI.

Ta, o którą się bijecie, jest niegodną!

ŻELIGA.

Łotrze!

HERBURT *(porywając za rękojeść szabli)*.

Przedemną zdasz ztego sprawę!

RACIBORSKI *(do Żeligi)*.

Łotr spadnie na tego, kto nie jest w słuszności! *(do Herburta)* Siostra Pańska w tej karczmie ma schadzkę z Twardowskim. Widziano ich!

HERBURT.

Bezczelne kłamstwo! *(rzuca się ku karczmie, której drzwi w tej chwili się rozwierają i ukazuje się Hanna, która zaraz się cofa. Wychodzi Twardowski. Wszyscy chwilę osłupieni)*.

TWARDOWSKI *(postępując parę kroków)*.

Co to się znaczy?

HERBURT.

Rozsiekać czarownika! *(wszyscy, z wyjątkiem Borowskiego chwytają za szable, i rzucają się ku Twardowskiemu)*.

TWARDOWSKI *(wyciągając rękę)*.

Fiant tenebrae!

(Nagła ciemność. Wszyscy padają w różnych kierunkach. Twardowski uderza nogą o ziemię i zapada się).

Zasłona spada.

Koniec aktu czwartego.

AKT piąty

(Kancelarya Twardowskiego jak w akcie II-gim. Mnóstwo rękopisów na biurku i krzesłach).

Scena pierwsza.

TWARDOWSKI *siedzi przy biurku i pisze. Przy stole stoi* CZARNY KSIĄŻĘ *(w ubraniu męskiem), otwiera i czyta listy.*

PACHOŁEK *(wchodząc, półgłosem do Czarnego Księcia).*

Z Białej przybyła deputacya chłopów.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Już ci mówiłem, że pan dziś zajęty
I tylko ważne przyjmuje wizyty.
Jutro niech przyjdą; jutro dzień audyencyi.

(Pachołek odchodzi. Po chwili Twardowski odkłada pióro i zamyśla się).

CZARNY KSIĄŻĘ *(zbliżając się z listem).*

Przykro mi, Mistrzu, że ci przerwać muszę; —
A choćbym nawet nie miał tej przyczyny,
To czas, byś przestał. Od rana pracujesz, —
A wszak to piąta z południa wyciekła.

TWARDOWSKI *(opiera się na krześle).*

I jestem nawet cokolwiek zmęczonym.
Nadto skończyłem właśnie pierwsze dzieło. —
Masz co nowego?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak, i niedobrego...

TWARDOWSKI *(z niechęcią).*

Ach, niedobremi ciągle nowinami
Mię karmisz, Książę. Nie pojmuję tego.
Wszak obowiązkiem twym mnie od nich chronić.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak jest, mój Mistrzu; — lecz mnie nie chcesz słuchać,
A ja przemocą ciebie nie uchronię
Od przejść, przeciwko którym niema rady.
Wszakżeż ja woli twojej się poddałem,
A tej przełamać nie jest w mojej mocy.

TWARDOWSKI.

Cóż znów nowego?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mówiłem ci, Mistrzu
I od dni pięciu to ciągle powtarzam,
Że lepiej, abyś tę Polskę opuścił
I za granicą spokojnie pracował.

TWARDOWSKI.

Czy wiesz ty, Książę? ja miałem sen piękny,
Żem był Polakiem... I że Polska moja
Mojej pomocy i rady czekała...
Dziwny sen, prawda?... Gdzieś ten sen uleciał—
(wstrząsa się i wstaje).
Że też ta struna wciąż we mnie odbrzmiewa!...

CZARNY KSIĄŻĘ.

To słabość, Mistrzu, która przejdzie wkrótce.
Masz już skończone swoje pierwsze dzieło?
Pozwól, przyczytam jego zakończenie.
(Twardowski chodzi po pokoju. Czarny Książę bierze manuskrypt i czyta).
„Oto jest krótkie zestawienie praw, jakie nam
„przyroda wykazuje jawnie na każdym kroku.
„Ludzie ciemni ich nie widzą, chociaż mogą ich
„dotknąć, chociaż one im wszędzie wciskają się
„pod zmysły, chociaż się udowadniają same przez
„siebie. — I takiemi, jakie są, uczą człowieka,
„czem być powinien, na jakie wznieść się stano-
„wisko, dokąd dążyć, jak uporządkować ma sto-
„sunki całej ludzkości, ażeby każdy z ludzi kró-
„lem, każdy z nich Bogiem ziemi został. A jest to
„możliwem uczynić jednem wstrząśnieniem ol-
„brzymiem, — jest łatwem znieść w jednej chwili
„wszelkie istniejące a człowieka poniżające różni-
„ce, które jednych wynoszą na bogów otoczenia,
„innych zniżają do zwierząt — byleby człowiek
„chciał uczuć sam siebie i ze snu długiego lwiem
„się ocknął wstrząśnieniem." — — —
Dasz mi to, Mistrzu?

TWARDOWSKI.

Daję ci to, Książę;
Z tego dzieł tysiąc masz mi wkrótce stworzyć:
Z każdej stronicy może powstać dzieło.

CZARNY KSIĄŻĘ.

A ty sam dalej zamyślasz pracować;
W następnem dziele dasz poznać ludzkości,
Cele i środki, jakimi ma dążyć
Do osiągnięcia tego, co powinna?

TWARDOWSKI *(roztargniony).*

Tak jest. — —
(w zamyśleniu).
Czy wiesz ty? Sen był przecież piękny...
Podobno Polska jest w niebezpieczeństwie...
Oddawna nie wiem, co się u nas dzieje...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ludzkość, mój Mistrzu, jest w niebezpieczeń-
[stwie:
Polska, Europa, cała kula ziemska...
Dla nich pracujesz: uszczęśliwisz Polskę,
Jeżeli ziemię całą uszczęśliwisz...

TWARDOWSKI *(j. w.)*

Tak jest... Masz słuszność... Cóż się u nas
[dzieje?...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Nie warto, Mistrzu, nawet mówić o tem:
Musisz wyjeżdżać, tak, jak ci mówiłem.

TWARDOWSKI.

Wyjeżdżać? Czemu?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wygnano cię z Polski.

TWARDOWSKI.

Wygnano?! Z Polski?!

CZARNY KSIĄŻĘ *(wzruszając ramionami).*

Tak, jesteś banitą,
A jako powód dano czarnoksięstwo.

TWARDOWSKI.

Za czarnoksięstwo?... Któż wie...? któż śmie
[wiedzieć?...
Ach! ci! tam—w lesie—w karczmie na Roz-
[drożu —

CZARNY KSIĄŻĘ.

A nie! Ci wszyscy łatwo uwierzyli,
Że to zaćmienie słońca nagłe było.
Ci nic nie wiedzą—lecz cię zdradził Maciek.—

TWARDOWSKI.

Maciek...?! *(porywa list z rąk Czarnego Księcia, i czyta go. Po chwili klaszcze w dłoń, pachołek wchodzi).*
Zawołać mi Maćka tu zaraz!
(Pachołek odchodzi).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mistrzu, uspokój się. Człowiek tak wielki
Nigdy gniewowi nie winien się poddać.

TWARDOWSKI.

Jestem spokojny; — o, nie bój się, Książę;—
Ale oddalić chcę od siebie zdradę.

Scena druga.

CI SAMI. MACIEK.

TWARDOWSKI.

Zbliż się tu, chłopcze. Prawda, żeś mię zdradził?

MACIEK *(drżąc).*

Ja... zdradziłem?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak jest. Powiedziałeś panu Raciborskiemu, że twój pan dyabłu się zapisał, co, jak wiesz, wierutnem jest kłamstwem.

MACIEK *(wzdycha i ukradkiem się żegna).*

CZARNY KSIĄŻĘ.

Bo, że pan twój wtedy w lesie znalazł we mnie przyjaciela, to tylko twoja głowa mogła we mnie coś podobnego do dyabła upatrzyć.

MACIEK *(pada na kolana przed Twardowskim)*.

Wielmożny Panie, Dobrodzieju mój, Tatku jedyny! Ja wszystko powiem. Czyż ja mógłbym zdradzić mojego dobrodzieja, ojca mojego? Ja, co na kawałki dam się za niego posiekać? Zabij mnie, panie, ale nie odpędzaj od siebie. Ja nieszczęśliwy w głupocie mojej myślałem, że uratuję mego dobrodzieja, pana mojego. Bóg świadkiem, że tego tylko chciałem...

TWARDOWSKI.

Jeśliś jednakże zdradził mnie z głupoty,
To mi głupota twoja niebezpieczną.

CZARNY KSIĄŻĘ.

A potem rozpowiadałeś, że pan zabił swoją żonę, znowu bezczelnie kłammiąc — bo pani twoja paraliżem tknięta, umarła.

MACIEK *(do Twardowskiego)*.

Ja nie powiedziałem tego, panie! Mówiłem tylko panu Herburtowi, że znalazłem moją panią umarłą w karczmie i że szukam pana, aby mu o tem donieść.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wreszcie skłamałeś, że pan twój miał schadzkę z panną Hanną w karczmie na Rozdrożu.

MACIEK *(j. w.)*

I to nie! Panie, panie, to nieprawda!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Cóżeś wtedy mówił pani Raciborskiemu, gdyś go spotkał?

MACIEK.

Że idę do pana mojego do karczmy na Rozdrożu, bo mi panna Hanna mówiła, że właśnie tam idzie i że pan mój tam także będzie.

TWARDOWSKI.

Dość, powstań Maćku. Trzymać cię nie mogę;
Twoja głupota nadto mię naraża.

MACIEK.

Ach, dobrodzieju mój. Tatulu drogi! Nie wypędzajcie mnie od siebie! Milczeć będę jak kamień, nigdy słówka nie powiem. Wiernego sługi pan niema, ja jeden jak pies wierny muszę od nich...

TWARDOWSKI *(przerywa)*.

Stój! teraz właśnie chcesz znów zdradzać
[chłopcze.

MACIEK.

Tatku! Dobrodzieju! Już nic mówić nie będę! Zamień mnie w muchę, pająka, ptaka, rybę, abym tylko mógł być koło ciebie i chronić cię —

TWARDOWSKI *(nagle pod wpływem nowej myśli)*.

Chcesz?... Dobrze Maćku! Idź, pomódl się,
[chłopcze.
Daję ci kwadrans,—za ten kwadrans jednak,
Pamiętaj chłopcze, coś sam chciał, uczynię.

MACIEK *(wstaje drżący z obawą)*.

Panie?...

TWARDOWSKI.

Nie bój się, chłopcze, daję tobie szczęście
Za twe usługi. Idź, pomódl się, Maćku.

(Maciek całuje rękę Twardowskiego i odchodzi).

Scena trzecia.

TWARDOWSKI. CZARNY KSIĄŻĘ.

TWARDOWSKI.

Za kwadrans ma się zamienić w pająka!

CZARNY KSIĄŻĘ *(skłania się na znak przyzwolenia)*.

(p. k. m.)

Cóż więc uczynisz, mój Mistrzu?

TWARDOWSKI.

Zostanę.
Stąd nie odjadę. Niechaj mnie szukają...
Weź ten rękopis.... Ja pracuję dalej....
(Chce znów zasiąść do stolika).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mistrzu!

TWARDOWSKI.

Cóż jeszcze?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Hanna wypędzona.
Brat ją wypędził za to, że was spotkał
Tam na Rozdrożu. Jest biedna bez rady;
Teraz się błąka nie wiedząc, co począć.

TWARDOWSKI.

Hanna? Wygnana? Z braterskiego domu?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak jest. Czy zechcesz co dla niej uczynić?

TWARDOWSKI.

Książę! Ty ciągle mię męczysz i dręczysz,
Zamiast we wszystkiem być wierną pomocą.
Biedną dziewczynę na ten srom narażać!
(p. k. m.)
Ona mię kocha. Ja się z nią ożenię!
Gdzie ona, Książę?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Teraz wynajęła
Mały pokoik przy szewskiej ulicy.
Ale z nią żenić się nie możesz, Mistrzu.
Wszakże świat cały wie, żeś stracił żonę
Przed kilku dniami. Wyjedź za granicę,
Z nią wyjedź Mistrzu: tam się pobierzecie.

TWAROWSKI *(uderza w stół pięścią).*
Ja tu zostaję! Któż mi w tem przeszkodzi?
Prowadź mię do niej!

CZARNY KSIĄŻĘ.
Nie możesz, mój Mistrzu.
Skompromitujesz tem młodą dziewczynę,
Bo nie jest jeszcze twoją narzeczoną.
Ma być wieczorem dziś u twojej matki,
Tam się znajdziecie.

TWARDOWSKI.
Dobrze, więc tam pójdę.

Scena czwarta.

CI SAMI. MROWIŃSKI. RYLSKI *(wchodzą śpiesznie).*

MROWIŃSKI.
Panie Twardowski! w ważnym interesie
Tu przychodzimy. Zechcesz nam darować
Mały kwadransik poufnej rozmowy?

TWARDOWSKI.
Upraszam usiąść.
(do Rylskiego)
Witaj mi, Józefie.
Dawno u siebie ciebie nie widziałem. —
Jestem do usług.

RYLSKI.
Prosimy cię, Szczęsny,
Abyś bez świadków z nami się rozmówił.

TWARDOWSKI.
Sofron jest moim szczerym przyjacielem
I przed nim nie mam bynajmniej tajemnic.

RYLSKI.
Lecz proszę o to, — proszę cię usilnie.

TWARDOWSKI.
Więc wyjdź, Sofronie.
(Czarny Książę z złowrogiem spojrzeniem odchodzi).

Scena piąta.

TWARDOWSKI. MROWIŃSKI. RYLSKI.

TWARDOWSKI.
Czemże mogę służyć?

MROWIŃSKI.
Smutno się stało, mój panie, że teraz
Do domu twego wkradać się potrzeba,
I wchodząc w dom twój oglądać się w koło,
Czyli kto tego czasem nie dostrzeże.

TWARDOWSKI *(z marsem).*
Cóż to się znaczy?

RYLSKI.
Niestety, mój Szczęsny;
Banitą jesteś teraz ogłoszonym
Za głupie bajki o twem czarnoksięstwie.
Uznaj w nas obu twych szczerych przyjaciół,
Gdy nie zważając na ludzkie języki
Przyszliśmy dzisiaj seryo się zapytać,
Co to się znaczy? Co się z tobą stało?

TWARDOWSKI *(schmurzony).*
Głupcy są ludzie. Bądźcie też głupcami,
I tak jak oni omijajcie dom mój.
Jestem banitą przez zawiść i zazdrość,
Przez to, że panom jestem solą w oku,
Przez to, że może coś więcej wiem od nich.
Rzućcie banitę. Idźcie z prądem tłumu.

MROWIŃSKI.
Nie o to chodzi, Mosterdzieju panie;
Lecz kto z banitą obcuje — wiesz o tem —
Ten także prawem ulega banicyi. —
Dlatego musim przychodzić ukradkiem.

TWARDOWSKI.
Lecz nie przychodźcie — na cóż się narażać?

RYLSKI.
Mój Szczęsny, stałeś się innym człowiekiem,
Ja ciebie pojąć, zrozumieć nie mogę....
Gorąco kochasz twoją Polskę drogą
(Twardowski ponuro się chmurzy)
A widzisz zimno, że ginie powoli....
Co ci się stało? Od tygodnia prawie
O tobie słychu ni dychu nie mamy;
A gdym onegdaj chciał ciebie odwiedzić,
To odprawiono mnie z tem, żeś zajęty.
Biskup Krasicki przed wyjazdem swoim
List tobie przesłał, abyś jechał za nim
(Twardowski się zrywa)
Do Knyszyńskiego zamku, i wyraźnie
Dodał, że jest *periculum in mora.*

TWARDOWSKI.
Biskup Krasicki?!

RYLSKI *(zdziwiony).*
Czyś nie dostał listu?

TWARDOWSKI.
Nie mam pojęcia! Cóż się stało znowu?!

RYLSKI.
Ależ nic nie wiesz?! Król nasz dogorywa,
A ty nic nie wiesz? Co się z tobą dzieje?!

TWARDOWSKI.
Król dogorywa? — Słuchaj, jeśli kłamiesz —

MROWIŃSKI.
On prawdę mówi. Pańska obojętność
Nas zadziwiła. — Teraz niewiadomość
O wszystkiem jest nam nową niespodzianką.....

TWARDOWSKI.
O ślepy! ślepy! — jakież wiadomości —
Jakie ostatnie macie wiadomości?

MROWIŃSKI.

Król opatrzony już Sakramentami;
Giżanka razem z consortami kradnie,
Wywożą skarby, jakie mogą wywieźć.

TWARDOWSKI.

Jego następca....?

RYLSKI.

Nie jest wyznaczony.
Bez przytomności król zostaje ciągle.

TWARDOWSKI.

Jadę!

RYLSKI *(wstając)*.

Chcesz jechać?

MROWIŃSKI.

Za późno! Banita!
Wszędzie po drodze mogą cię przytrzymać.

TWARDOWSKI.

Jadę, panowie! Niech się, co chce dzieje.
(klaszcze w dłonie. Pachołkowie)
Zaprzęgać konie! *(pach. odchodzą)*.
Wybaczcie panowie. —

RYLSKI.

Żegnam cię, Szczęsny. Życzę powodzenia.
O, ja wiedziałem, że lew tylko zdrzemnął
I że się ocknie, gdy go wzruszyć. Żegnaj!

MROWIŃSKI.

Nasze życzenia szczere weź na drogę!
(Rylski i Mrowiński odchodzą).

Scena szósta.

TWARDOWSKI *(sam)*.

(coraz głębszy zmrok zapada).
Mędrcze! Geniuszu! Nędzny zlepku ziemi!
Światy przetwarzać, uszczęśliwiać światy
Zachciało ci się! Bogiem stać się chciałeś!
Co miliony próżno będą tworzyć,
Co pokolenia ledwie wykonają,
Tego dokonać nędznem chciałeś piórem!
Tytanem Olimp wstrząść usiłowałeś
By runąć — słowem zmiażdżony niewinnem!....
(p. k. m.)
Jakiż mię dziwny obłęd opanował?
Dokąd dążyłem? Pod jakimże czarem?
Ach jam chciał światom być wybawicielem!.....
(siada znużony)
W mej głowie chaos.... Tysiąc myśli krąży,
W niej się krzyżują i ją rozpierają — —
Głowa mi pęka od tego nawału....
Ale te myśli dziwaczne i mgliste
Mnie się wydają już fantasmagoryą,
Która pierzchnęła, jak cienie przed zorzą,
Przed jednem słowem czarującem: Polska!.....
(wstaje)
Cóż ze mną było? Czemże byłem nędzny?....
(po chwili)
Ah! Czarny Książę! To był wpływ Książęcia!!
(p. k. m.)
Czyliż możliwa, że mu się udało —
Że mnie, jak dziecię wyprowadził w polę — —
Że ja — nie jego w mej walce zwalczyłem,
Tylko już pierwszej doznałem porażki?....
To niewątpliwa.... Jego imię zdrada....
Wszak mi sam mówił, i on — on mnie zdradził,
I on mnie zdradził, jak nieletnie chłopię,
Któremu cacko pokażą zdaleka,
Aby mu brylant zręcznie z ręki wykraść....
On mi ideą cudną zaćmił oczy,
I ukrył szczeble, co wiodą do prawdy —
I ja, Twardowski, dałem siebie uwieść
I ja, Twardowski, nie poznałem zdrady — —
Ha! Czarny Książę! Ja ożyłem dzisiaj!
Źle obliczyłeś wszystkie twoje plany:
Do Rzymu jeszcze daleka mi droga,
A teraz — TYŚ mi winien posłuszeństwo!
Ha! Czarny Książę! Zdarta Twoja maska!
Walczyć będziemy z otwartą przyłbicą, —
Do walki ciebie wyzwałem, i walczyć
Z sobą będziemy choć do upadłego!
(Klaszcze w dłonie. Pachołkowie.)
Hej! pachołkowie! zaprzęgać, a żywo!
(pachołkowie odbiegają).
(p. k. m.)
Zaprzęgać? Po cóż? On pod moją władzą —
On mnie ma słuchać: jestem jego panem —
I on mnie w chwili na miejsce przeniesie!
Gdzież jest? Wszak był mi duchem
[opiekuńczym,
A teraz znikł mi? Sam przyznaje zdradę?!
(uderza nogą w podłogę)
Wynijdź szatanie! Twój Pan rozkazuje!
Wyjdź Czarny Książę — lub — —
Scena siódma ręcznie

Scena siódma.

TWARDOWSKI, BŁĘDNY OGNIK.

BŁĘDNY OGNIK *(wchodząc)*. ..
Jestem do usług.

TWARDOWSKI *(zdziwiony)*.

Kto jesteś, duchu?

BŁĘDNY OGNIK.

Wysłannik Książęcia.

TWARDOWSKI *(z marsem)*.

Cóż to się znaczy?

BŁĘDNY OGNIK.

Książę w ważnej sprawie
Musiał do karczmy na Rozdrożu spieszyć.

TWARDOWSKI *(j. w.)*

Nieposłuszeństwo? Książę nieposłuszny?
Na me wezwanie on śmie się nie stawić?....

BŁĘDNY OGNIK.

Twa matka, Mistrzu, jest w niebezpieczeństwie:
Nagle zasłabła: tylko nadzwyczajne
Mogą ocalić ją środki, więc Książę
Pośpieszył tamże, by ją uratować.

TWARDOWSKI.

..Prowadź mię do niej! *(bierze kołpak).*

PACHOŁEK *(wchodząc).*

Powóz zaprzężony!

Scena ósma.

.TWARDOWSKI. BŁĘDNY OGNIK. HANNA. *(wciska się w pośpiechu).*

HANNA.

Panie! Nie wychodź! zaklinam cię, Panie!

TWARDOWSKI *(chcąc odejść).*

Pozwól mi pani — wybacz — muszę spieszyć —

HANNA *(powstrzymując go za rękę).*

Ach! Pan nie wyjdziesz! Musisz mię wysłuchać!
Na Maryę Pannę zaklinam cię, Panie,
Nie wychodź teraz....

TWARDOWSKI *(zdziwiony, staje).*

Uspokój się, Pani;
Ja muszę odejść....

HANNA *(błagająco)*

Chwilę! jedną chwilę!

BŁĘDNY OGNIK *(zniecierpliwiony na pół z obawą).*

Odejdźmy, Mistrzu!

TWARDOWSKI.

(patrzy z nieufnością na Błędnego Ognika, po chwili odrzuca kołpak i prowadzi Hannę do krzesła).

Uspokój się Pani;
Ja cię posłucham. Usiądź, spocznij Pani.
(groźnie do Błędnego Ognika)
Ty tu poczekasz pod zaklęciem!
(Klaszcze w dłonie. Pachołek.) Światła!
(siada koło Hanny).
Słucham cię, Pani. Czy jaka przygoda,
Albo nieszczęście spotkało cię, Hanno?
(pachołek wnosi świeczniki z zapalonemi świecami).

HANNA.

Ach, czyżbym wtedy tem Pana trudziła?
Mnie tu przywiodła obawa o Pana;
Panu zagraża dziś niebezpieczeństwo!

TWARDOWSKI.

Niebezpieczeństwo? Ty się mylisz, Hanno!
O mnie się trwożysz? Czyżem ja wart tego?
Lecz ty się mylisz, bo to być nie może:
Ja się nie boję żadnych niebezpieczeństw.

HANNA.

A przecież tak jest.... Szłam teraz, o zmroku
Do pańskiej matki ścieżyną za miastem,
Która się wije koło brzegu lasu, —
Gdy nagle światłość niezwykła z za krzaków
Najprzód strwożyła mię bardzo, a potem
Dziwnym ku sobie nęciła powabem.
Gdy się zbliżyłam, spostrzegłam.. Ach, Panie,
Czyż mi uwierzysz?.... Czyż się cuda dzieją?
Wszak ty wiesz wszystko! Czy ty w cuda
[wierzysz?....

TWARDOWSKI.

Wierzę w nie, Hanno. Więc w krzakach
[spostrzegłaś....?

HANNA.

Śnieżysty Anioł z złotemi skrzydłami
Stanął przedemną. Z podziwem, bez trwogi,
Padłam na ziemię przed boskiem zjawiskiem.
I anioł Boga rzekł mi.... Abym ciebie
Uratowała od niebezpieczeństwa,
Które ci grozi; — że tylko ja zdołam,
(ciszej)
Że cię ocalić tylko.... *(spuszczając oczy)*
miłość zdoła....

TWARDOWSKI.

I ty mnie kochasz! Ty mię chcesz ocalić!

HANNA.

Rzekłszy te słowa, anioł wzniósł się w górę,
Gdzie potem w gwiazdkę się małą zamienił,
Która dotychczas jasnym świeci blaskiem....
Ja wstałam szybko, aby tu pośpieszyć — —
(błagająco)
Panie! nie wychodź dziś z domu, zaklinam!...

TWARDOWSKI *(wstając).*

Ja muszę Hanno. Lecz ty pójdziesz ze mną,
Ty mię ocalisz od niebezpieczeństwa,
Jeśli mi jakie po drodze zagraża; —
A potem, Hanno, u matki cię mojej
Na czas zostawię — mam podróż daleką —
Więc póki wrócę, będziesz, Hanno droga,
Mi narzeczoną, abyś potem zawsze
Poruczonego ci przez same niebo
Miała pod swoją opatrzną opieką....
(Hanna wstaje).

HANNA.

Ach, ja się trwożę!....

TWARDOWSKI *(czule).*

Wszak jesteśmy razem!
(wszyscy wychodzą).

Zmiana.

Scena dziewiąta.

(Pokój w karczmie na Rozdrożu. Sprzęty zwykłe, ale ładne i czyste. Z prawej strony stół z zastawą. W głębi drzwi główne, po których obydwu stronach ławki; przed temi stoły. Z lewej, przy ścianie tylnej, kominek. Na stołach świeczniki z świecami zapalonemi).

MATKA TWARDOWSKIEGO.
(sama, krząta się po pokoju).

Poczciwe chłopczysko! Pamiętał o wszystkiem, tak, że chyba tylko ptasiego mi mleka brakuje. I mnie to na starość dożyć takiej pociechy! Hej, nie było się szczęśliwym w młodości, to widocznie Pan Bóg łaskaw na starość daje spokojnego chleba kawałek....

Już tak późno, a gości nie widać. Ależbo zawierucha tam, że psa trudno wypędzić; — trudno, aby tu kto zaglądnął dzisiaj. Lepiej, że i poczciwa panienka nie przyszła, bo w takiej burzy — *(piorun za sceną)*. W imię Ojca i Syna!... *(siada koło kominka)*. Tak to przyjemnie mieć ciepły kącik, kiedy burza na dworze. Samiusieńka tu jedna, to i przykro trochę... Ale Bogu najwyższemu dzięki, że się tułać nie trzeba. *(Piorun. Matka Twardowskiego znów się żegna)*. Ot, biedni podróżni! Chyba pacierz zmówię za tych, co muszą teraz być na dworze...

(Chwila milczenia przerywana świstem wiatru i piorunami. Matka Twardowskiego przesuwa paciorki w koronce, modląc się półgłosem).

Scena dziesiąta.

MATKA TWARDOWSKIEGO. CZARNY KSIĄŻĘ *(w ubraniu kobiecem, wchodzi zmoczony z wałkiem zwiniętego płótna).*

CZARNY KSIĄŻĘ.

Dobry wieczór, Matko.

MATKA TWARDOWSKIEGO.

Wszelki duch pana Boga chwali! A wy tu skąd panienko? W taką zawieruchę?!

CZARNY KSIĄŻĘ.

O, i milsze wam jeszcze, matko, mam zapowiedzieć odwiedziny. Pozwólcie jeno, że się trochę rozgrzeję.

MATKA TWARDOWSKIEGO *(robiąc mu miejsce przy kominku).*

Siadajcie panienko, rozgośćcie się. Dałabym wam piwa grzanego, — to będzie w jednej chwili i rozgrzeje was trochę. Mój Boże, w taką zawieruchę!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Dziękuję wam, matko, za dobre chęci. *(złośliwie)* Wkrótce tu syn wasz przyjdzie także, to wtedy piwa nawarzymy. Ja tylko pośpieszyłam naprzód, aby z wami razem zgotować mu miłą niespodziankę.

MATKA TWARDOWSKIEGO *(składając ręce)*.

O mój Boże, niespodzianka dla niego! A cóż ja biedna mogę mu przygotować, aby go ucieszyło?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mówiliście z nim, matko, już dawno o tem, aby waszą karczmę inaczej przezwać.

MATKA TWARDOWSKIEGO.

Co prawda, to prawda. Karczma na Rozdrożu miała dawniej złą sławę dla przyjezdnych, bo szelma żyd, co ją pierwej trzymał, obdzierał bez litości i historye przy tem tu się działy. I mój poczciwiec mi obiecał, że mi wyrobi kancesię na nowe przezwisko.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Otóż tę koncesyę ja sama jedna wyrobiłam, aby wam i jemu zrobić niespodziankę. Oto jest koncesya *(wyjmuje z zanadrza papier)* — i od wczoraj już karczma wasza nosi inne nazwisko, choć sama właścicielka o tem nie wiedziała. A co? podziękujecie mi, matko?

MATKA TWARDOWSKIEGO *(biorąc papier do góry dołem)*.

Kancesia! A jakże ja mam wam podziękować panienko? — — I jakże się moja karczemka nazywa?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Śliczną ma nazwę. Nazywa się tak, jak najświętsze miasto na ziemi, Rzym!

MATKA TWARDOWSKIEGO *(w pół z obawą, w połowie z radością)*.

Rzym?! A czy to nie grzech tak karczmę nazywać?

CZARNY KSIĄŻĘ *(z złośliwym patosem)*.

Przeciwnie, moja matko. Karczma tylko dlatego tak nisko dotychczas jest cenioną, iż w niej się najczęściej tylko hulanki, pijatyki i grzechy odbywały. A wasza karczma, matko, nie ma do tego służyć. W niej zgromadzać się będą różni ludzie tylko dla poważnej rozmowy i zabawy statecznej. Trunek tu nie będzie celem, tylko środkiem ożywiającym stateczną zabawę. Karczma wasza będzie wzorem wszystkich karczem i okaże światu, jakie powinno być jej przeznaczenie; wy matko uczynicie z karczmy miejsce święte zgromadzeń dla ludzi najzacniejszych i będziecie kapłanką spokoju i zgody. Słuszną jest zatem rzeczą, aby wasza karczma nosiła nazwę Rzymu, jako miejsce, które z najgrzeszniejszego stanie się po kościele najświętszem.

MATKA TWARDOWSKIEGO.

Jak wy to ślicznie mówicie, panienko! Moja karczemka, mój Rzym! Ależ to będzie uciecha dla syna mojego!

CZARNY KSIĄŻĘ *(złośliwie).*

I ja tak sądzę; będzie zachwycony. Już nawet postarałam się że od dworu jest nad drzwiami złoty napis. *(Matka Twardowskiego chce wyjść; Czarny Książę ją zatrzymuje).* Nie wychodźcie jeszcze matko; przybijemy jeszcze tutaj nad drzwiami ten napis. *(rozwija zwój płótna, na którem wielkiemi literami wyrysowany napis: „Rzym!").* Umyślnie go na ten cel dałam wyrysować. — I patrzcie! nad drzwiami są ćwioki jakby umyślnie na to zrobione! Stańcie tam na ławce, matko i trzymajcie ten napis; ja tu wyskoczę. *(Stają na ławkach po obu stronach drzwi i zawieszają napis). (Schodzą).* Tak, teraz dobrze. Nieprawdaż, że ślicznie wygląda?

MATKA TWARDOWSKIEGO.

(przypatrując się z zachwytem napisowi. Po chwili).

Ale pozwólcie, że jeszcze na tamten napis popatrzę, musi być jeszcze ładniejszy. Deszcz nie taki wielki, a jak się trochę zmoczę, to i nic nie zaszkodzi.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Jak chcecie, matko. I zdaje mi się, że syn wasz jedzie. Nie mówcie mu o niczem, póki tu nie przyjdzie, bo za to, że ja przygotowałam tę niespodziankę, chcę mu pierwsza o tem oznajmić.

MATKA TWARDOWSKIEGO.

Dobrze pannuńciu, dobrze! *(wychodzi).*

Scena jedenasta.

CZARNY KSIĄŻĘ *(sam).*

(szatańsko).

Witaj mi, dawno upragniona chwilo!
Ah! dla tej chwili warto żyć lat tysiąc!...
(Rozdziera na sobie kobiece ubranie i odrzuca je, ukazując się w ubraniu męskiem takiem, jak w akcie II i III. Odgarnia włosy, które mu do pasa spadają i na głowie jego ukazuje się złota korona, przedtem ukryta. Patrzy z szatańską złośliwością na drzwi).

Scena dwunasta.

CZARNY KSIĄŻĘ. TWARDOWSKI. MATKA JEGO, HANNA. BŁĘDNY OGNIK.

TWARDOWSKI *(jeszcze ze sceną).*

Tyś zdrowa, matko? Jużeś wyzdrowiała?

MATKA JEGO *(za sceną jeszcze).*

Czyż ja byłam słabą? Ach i pannuńcia moja złota tutaj! Proszę, proszę do pokoju ogrzać się. Synu, mam dla ciebie niespodziankę...

TWARDOWSKI *(wchodząc).*

Jaką niespodziankę?

(spostrzegłszy Czarnego Księcia patrzy zdziwiony. Hanna wchodzi i przerażona na widok Czarnego Księcia, obejmuje Twardowskiego instynktownie za ramię).

MATKA JEGO *(wchodząc).*

Bo oto panna Sofronia... *(spostrzegłszy metamorfozę Czarnego Księcia milknie przerażona).*

CZARNY KSIĄŻĘ *(szyderczo kłaniając się).*

Tak, niespodzianka, i to wielce miła;
Ta karczma Rzym się nazywa, mój Mistrzu!
(Wskazuje tablicę. Potem uderza nogą w ziemię. Piorun. Powała się rozwiera i spuszcza się obłok na scenę. — Matka Twardowskiego pada na kolana i skłania głowę ku ziemi, pozostając w tej postawie do końca sceny. Hanna konwulsyjnie obejmuje ramię Twardowskiego. Błędny Ognik u drzwi stoi).

TWARDOWSKI *(bledniejąc).*

Co to jest, Książę?

CZARNY KSIĄŻĘ *(z uśmiechem szyderczym wstępuje na obłok).*

To — koniec komedyi;
Proszę cię, abyś dopełnił umowy.

TWARDOWSKI *(j. w.)*

To zdrada, Książę! To nie jest umowa:
Nie jestem w Rzymie, w świętem mieście [Rzymie.

CZARNY KSIĄŻĘ *(wzruszając ramionami).*

Ja geografii dobrze nie rozumiem;
W naszej umowie Rzym był wymieniony,
Bez tej klauzuli, by był całem miastem.

TWARDOWSKI.

Ależ ta karczma...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Od wczoraj się wabi
Tem pięknem mianem. Tam leży koncesya.
(wskazuje na stół).

TWARDOWSKI.

(po przelotnem na stół spojrzeniu, z tłumioną wściekłością).

Ah! zdrajco!

(coraz częstsze pioruny).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Tak jest, moje imię zdrada;
Wszak ci mówiłem, jeśli się nie mylę?
Czy mogę prosić, byś tu raczył wstąpić?
(sarkastycznie)

Gwiazdy mrugają nam na powitanie,
Wietrzyk rozigrał się dla naszej chmury,
Pioruny seryo już się rozhulały,
Więc będziem mieli podróż czarującą.

HANNA.

Ah! Szczęsny, idźmy! On ciebie nie dotknie —
Wyjdźmy stąd Szczęsny! Ja cię wyprowadzę!

CZARNY KSIĄŻĘ.

Proszę Cię, Mistrzu, zechciej ją oddalić,
Bo nam opóźnia naszą ważną podróż.

TWARDOWSKI.

Ah, zamilcz zdrajco! Równą twojej bronią
Ciebie odeprę! Ty jej dotknąć nie śmiesz;
Czystej dziewicy ty dotknąć nie możesz.
Ja jej nie rzucę i z ciebie drwię sobie.
(Chce odejść do drzwi. Błędny Ognik mu drogę zagradza).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Po co komedyi, mój Mistrzu, i po co
Przewlekasz podróż o tych minut parę?
Oddal ją, Mistrzu, i nie traćmy czasu.

TWARDOWSKI.

Ja z nią zostanę. Ty jej dotknąć nie śmiesz.
(odprowadza Hannę do ławki i siada z nią).

CZARNY KSIĄŻĘ.

Mistrzu! Czyż warto jeszcze się targować
O tych chwil parę? Czy prędzej, czy później
O parę godzin nie zrobi różnicy —
A stąd nie wyjdziesz, ręczę ci mem słowem.
(Twardowski milczy ponuro. P. k. m.)
Pójdź, Mistrzu przecie. Na cóż mnie masz [zmuszać,
Abym przeciwko tobie użył siły?
(j. w.)
Patrz, matka twoja tu z przestrachu ginie
Czyż nie uwolnisz jej od tej męczarni?
(j. w.)
Chcesz-że i Hannę, która ciebie kocha
Za swoje grzechy czynić nieszczęśliwą?
Ja nie ustąpię. Wszakże wiesz, mój Mistrzu,
Że wieki dla mnie są krótką godziną;
Mogę cię trzymać tu choć całe lata.
Chcesz-że z swym losem skuć także los Hanny?
(j. w.)
Dziwna rzecz; —u nas tam krąży pogłoska,
Że *verbum nobile* — *stabile* bywa,
Jeżeli wyjdzie kiedy z ust Polaka;
(Twardowski waha się i puszcza Hannę, która go tem silniej obejmuje).
Widzę, że kłamią. Widzę żywy przykład,
Że *verbum nobile* szlachty nic warte.
(Twardowski wstaje gwałtownie. Hanna również wstaje, obejmując ciągle jego ramię).

HANNA.

Szczęsny, zaklinam cię!

TWARDOWSKI.

Odejdź ma Hanno,
Ja tu iść muszę. Ja mu dałem słowo.

CZARNY KSIĄŻĘ *(szyderczo).*

O, na cóż znowu brać tak *stricte* słowo!
Wszak *verba volant, scripta* tylko *manent*,
A ja nic nie mam od ciebie na piśmie!

TWARDOWSKI.

Odejdź, Anusiu.

HANNA.

Ach! ja cię nie puszczę!

CZARNY KSIĄŻĘ *(j. w.)*

Nawet kobieta ci to mówi, Mistrzu,
Że słowa dyabłu się nie dotrzymuje.
Nawet kobieta; — czegoż żądasz więcej?...
(Twardowski, który napróżno starał się wyrwać od Hanny, odtrąca ją. Hanna pada z lekkim okrzykiem bez życia. Twardowski staje przed nią).

TWARDOWSKI.

Hanno!...

CZARNY KSIĄŻĘ *(sucho).*

Umarła.

TWARDOWSKI.

(chce jeszcze zbliżyć się do matki, ale rozmyśla się. Wchodzi na obłok i staje obok C. K.)
Więc masz mię, szatanie!...
(Pioruny, błyskawice. Czarny Książę i Twardowski unoszą się w górę).

Koniec aktu piątego.

(Przestrzeń ponad ziemią; ciemne obłoki zapełniają scenę. Na jednym z nich wpływa fantastyczny okręt, raczej łódź wielka w kształcie ciemno-szarego smoka skrzydlatego. U jej boków, w miejsce wioślarzy, po trzech dyablików wprawia w ruch nietoperzowe skrzydła smoka; siódmy niejako steruje z tyłu, ogonem smoka kieruje. Nozdrza smoka buchają dymem i skrami. W środku łodzi siedzi TWARDOWSKI *z głową opartą na ramieniu. Obok niego stoi* CZARNY KSIĄŻĘ *ponuro zapatrzony w dal. W chwili, gdy łódź znajduje się w środku sceny, zrywa się Twardowski, jakoby pod wpływem nagłego postanowienia).*

TWARDOWSKI.

Stój, Czarny Książę! *(Łódź się zatrzymuje).*

CZARNY KSIĄŻĘ *(gniewnie).*

Czemu mię wstrzymujesz?
Czyś się nawrócił? Za grzechy żałujesz?
Przyznaj, że późno. — Daleka nam droga.
Puść mię.

TWARDOWSKI *(sarkastycznie).*

Dlaczegoż dziwna jakaś trwoga
Cię obejmuje? Czemu słuchasz, Książę?
Czemu mój rozkaz jeszcze ciebie wiąże?
W „Rzymie" skończyła się przecież ma władza.
A ty mię słuchasz? Jakże to się zgadza?

(Książę milczy ponuro).

Nie odpowiadasz? Co ten *casus* znaczy?...
A więc twój Mistrz, twój pan ci wytłómaczy,
Żeś jego sługą! Musisz słuchać, sługo,
Bom panem twoim tak jak zechcę długo!
Musisz mię słuchać, bo słowo się rzekło,
Które słyszały i ziemia i piekło!
Musisz mię słuchać, bo nasza umowa
Nie zwalnia ciebie jeszcze z twego słowa,
Bo w naszym pakcie było umówione
Iż skoro jakie nie będzie spełnione
Moje życzenie, to od tej umowy
Będę zwolniony, lub pakt zawrę nowy.
Musisz mię słuchać!... Zlecenia wydane

Nim byłem w „Rzymie", nie są wykonane:
Kazałem najprzód, aby moje dzieła
Wasza Książęca Mość do siebie wzięła
Lecz na to tylko, by w tysiącu tomach
Wkrótce znalazły się po wszystkich domach...
A moje dzieła? Gdzież podziałeś one?
Pewnie gdzieś w prochu leżą porzucone! —
Potem wołałem ciebie, Czarny Książę:
Tyś się nie jawił, posłałeś Ognika;
To też nasz pakt już mnie nie obowiąże,
Odpowiedzialność za me „verbum" znika.
I jestem Mistrzem, a ty moim sługą;
Nadto odemnie zależy, jak długo.
Chcesz walki? Walczyć potrafię z szatanem,
Bom zdarł twą maskę i jestem twym panem!

CZARNY KSIĄŻĘ *(ponuro)*.

Mylisz się nieco. Dobrze, pakt zerwany,
Ale jam teraz nie zobowiązany
Słuchać cię więcej. Chyba że na nowo
Ty mi dasz słowo, ja dam jakieś słowo,
I nowym paktem zyskasz sługę we mnie.

TWARDOWSKI.

Chcę tego; jednak dałeś niedaremnie
Dziś mi nauczkę; zrzuć świętoszka rolę,
Bo mnie nią więcej nie wywiedziesz w pole:
Wiem, że dyabłami całe dyabłów plemię.
Zawrzem pakt nowy: sprowadź mię na ziemię.

CZARNY KSIĄŻĘ *(ze złym uśmiechem)*.

Wstrzymam się, Mistrzu. Tutaj zostaniemy:
Tu naszą nową umowę zawrzemy;
Tutaj lub nigdzie. Gdy na ziemię wrócisz,
To moją pomoc poprostu odrzucisz.
Mnie pięknem słówkiem nikt także nie kupi;
Twardowski mądry, lecz dyabeł nie głupi.

TWARDOWSKI.

Tutaj? Byś swoje mi prawa dyktował?

CZARNY KSIĄŻĘ.

A tam? Byś sobie ze mnie zażartował?

TWARDOWSKI.

Tyś mię nieprawnie uprowadził w górę.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Ty dobrowolnie wstąpiłeś na chmurę.

TWARDOWSKI.

Bo mię moralnie do tego zmusiłeś.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Byłbym nie zmusił. Ty sam tu wstąpiłeś.

TWARDOWSKI.

Więc swe warunki chcesz mi tu dyktować?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wolno je przyjąć, albo nie przyjmować.

TWARDOWSKI.

A gdy nie przyjmę?

CZARNY KSIĄŻĘ.

To cię tu zostawię.

TWARDOWSKI.

Więc na twej łasce jestem?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Coś tak prawie.

TWARDOWSKI *(p. k. m.)*

Słucham cię zatem.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Chcę życiu cię oddać,
Chcę twym rozkazom nanowo się poddać;
Młodość, dostatki, znaczenie ci wrócę,
Świat naukowy pod stopy ci rzucę,
Poddane ci będą tajniki natury,
A tysiąc duchów przewidywać z góry
I spełniać będzie w lot twoje życzenia.
Wywyższon będziesz nad wszystkie stworzenia,
Ponad papieże, króle i cesarze,
A nadto życiem cię długiem obdarzę,
Kres mu położę jak zechcesz daleki,
Choćby przekroczył trzy lub cztery wieki.
I za to wszystko —

TWARDOWSKI.

Czegoż żądasz za to?
Wiem, że cię lichą nie zbędę zapłatą.

CZARNY KSIĄŻĘ.

Wiesz czego żądam, czego żądać muszę:
Musisz mi oddać i ciało i duszę.

TWARDOWSKI.

To wiem. Cóż dalej?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Malutki dodatek:
Muszę mieć mały twej duszy zadatek.

TWARDOWSKI.

Mej duszy? Jaki?

CZARNY KSIĄŻĘ.

Z brylantów miliona,
W które twa dusza jest uposażona,
Oddasz mi jeden.

TWARDOWSKI.

A tymże klejnotem?...

CZARNY KSIĄŻĘ.

Nie potrzebujesz nawet wiedzieć o tem.
Jest on dla ciebie tak bezwartościowy,
Że raz pozbyłeś go się do połowy...

TWARDOWSKI *(patrząc przenikliwie na Czarnego Księcia z przyciskiem, powoli)*:

I ty go, Książę, już w pazury brałeś
Już jego zgubę przygotowywałeś,
Nie przypuszczając, że ci się wyśliznie...

(Głuchy grzmot przeciągły, a równocześnie w wielkiej oddali daje się słyszeć śpiew anielski.— Pauza).

TWARDOWSKI *(po dłuższej chwili, z wielkim naciskiem).*

Brylantem tym zaś — Miłość ku Ojczyźnie!....

(głośniejsze grzmoty, trzy krótkie pioruny. Równocześnie wyraźniej daje się słyszeć śpiew Chórów anielskich. Czarny Książę ze straszną nienawiścią patrzy na Twardowskiego, robiąc ruch, jakoby chciał wyjąć szpadę; pomiędzy dyabłami zaniepokojenie i popłoch. Po chwili Twardowski, wzniósłszy ramiona do góry mówi natchniony):

Matko ma! Hanno! Módlcie wy się za mnie!
Patronie Polski! Siły uproś dla mnie!
Królowo nasza! Za Twoją przyczyną
Niech w pomoc hufce anielskie mi spłyną,
Niech pod skrzydłami ich gromem się stanie
Me słowo dla piekła!

(Przez chwilę pozostaje w niemej modlitwie, poczem opuściwszy nagle ramiona, z majestatycznym gestem wyciąga prawe ramię ku Czarnemu Księciu):

Odejdź precz, szatanie!

(Przez krótką chwilę straszliwy zamęt, w którym najprzód pioruny, ryki, świsty, wycia zupełnie przygłuszają oddalony śpiew i przez okamgnienie najzupełniejsza panuje ciemność. Nagle urwany hałas milknie; na rozjaśnionej scenie znikła łódź smocza z dyabłami, a na środkowym obłoku klęczy Twardowski u stóp Anioła-Stróża, który pochyla się ku niemu. Na innych obłokach jasnych i łukach tęczowych rozłożone malowniczo różne zastępy anielskie; grupy te gubią się w kulisach. Na obłoku przy Twardowskim widoczny wielki pająk trzymający się jego odzieży. Chóry anielskie śpiewają pieśń taką jak w prologu, a podczas tego Twardowski pochyla się i pada na obłok, z ciała zaś jego unosi się jego sobowtór, ciało astralne, któremu Anioł Stróż podaje rękę i powoli z niem wznosi się w górę, do czyśca, na innym obłoku. Epilog ten łączy się bezpośrednio z prologiem drugiej części trylogii).

Zasłona spada.

Koniec 1-szej części trylogii.

LIBRARY OF CONGRESS
0 002 725 922 4

NAKŁADEM I DRUKIEM
SPÓŁKI WYDAWNICTWA POLSKIEGO
1455-1457 WEST DIVISION ULICA
COPYRIGHT, 1915

LIBRARY OF CONGRESS
0 002 725 922 4